



LORRIE MOORE

O P O W I A D A N I A



K O R A

*Nikt lepiej niż Lorrie Moore nie pokazuje,
co to znaczy żyć we współczesnym świecie.*

PUBLISHER'S WEEKLY

 PWN

LORRIE

MOORE

O P O W I A D A N I A

KORA

Z języka angielskiego przełożyła Urszula Gardner

 PWN

Copyright © for the Polish edition by Dom Wydawniczy PWN Sp. z o.o., 2015

Grupa Wydawnicza PWN

ul. Gottlieba Daimlera 2

02-460 Warszawa

tel. 22 695 45 55

www.dwpwn.pl

Menedżer pionu wydawniczego: Monika Kalinowska

Wydawca: Marcin Kicki

Przekład: Urszula Gardner

Redakcja: Katarzyna Juszyńska

Korekta: Malwina Łozińska, Anna Żółkiewska

Projekt okładki: Anna Pol

Zdjęcie na okładce: Marianna Sztyma

Przygotowanie wersji elektronicznej: Ewa Modlińska

Skład wersji elektronicznej na zlecenie Domu Wydawniczego PWN: Aleksandra Łapińska

Tytuł oryginału: *Bark*

Copyright: © Lorrie Moore, 2014

Opisane w tej książce nazwiska, postacie, miejsca i wydarzenia są wytworem wyobraźni autorki i/lub są użyte wyłącznie dla potrzeb fikcyjnej fabuły. Wszelkie podobieństwo do rzeczywistych zdarzeń, miejsc lub osób, żywych i zmarłych, jest całkowicie przypadkowe.

ISBN 978-83-7705-799-5 (ePub)

ISBN 978-83-7705-800-8 (Mobi)

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejsza publikacja ani jej żadna część nie może być kopiowana, zwielokrotniana i rozpowszechniana w jakikolwiek sposób bez pisemnej zgody wydawcy.

prawolubni

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując jej część, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo.

Więcej na www.legalnakultura.pl

Polska Izba Książki

SPIS TREŚCI

Wysiadka

Krzak jałowca

Strata czasu

Wrogowie

Skrzydła

Odniesienia

Rewizja

Dziękuję za wspólnie spędzony czas

Podziękowania

Dla Deborah Rogers i Deborah Treisman

*Będę tu nadal [...] z uśmiechem
przerastając metalową siatkę korą.*

*Caroline Squire, An Apple Tree Spouts Philosophy in an Office Car Park (Jabłoń filozofująca na parkingu
biurowca)*

*W rozwodowym śnie
kłóciliśmy się o to, kto zatrzyma
psa,
Kurniawę. Ciekawe,
czemu akurat takie imię. Był to
mieszaniec czegoś wielgachnego i puchatego
z jamnikiem. Zresztą czyż
musi chodzić
o płęć? [...] Załóżmy,
że to ja jestem tym psem, niepokieszona
jak w niemowlęctwie, gdyż
wciąż na etapie prewerbalnym? [...]
O Kurniawo,
bądź dzielny pieskiem – to tylko
ciało; przebudzisz się
w innym świecie,
najesz się i wyrośniesz na poetę!
Życie jest bardzo dziwne, bez względu na jego kres,
niezwykle pełne snów.*

Louise Glück, Vita Nova (Nowe życie)

Nie warcz na mnie. Wszystko, co spadnie na podłogę, jest moje.

Amy Gerstler, Interview with a Dog (Wywiad z psem)

WYSIADKA

*

Jeszcze pół roku po rozwodzie Ira nie był w stanie zdjąć obrączki. Palec obrzmiał mu ciastowato wokół metalu – co stanowiło przejaw tłumionego pożądania, bezdennego żalu i źle ukierunkowanej ambicji, jak powiedział kumplom.

– Będę musiał amputować cały palec.

Obrączka (teoretycznie ze złota, a w praktyce kto wie z czego, skoro wszystko, co kiedykolwiek dostał od Marilyn, teraz stało pod znakiem zapytania) uciskała zarumieniony wałeczek ciała narastający dookoła niej niczym jakiś cholerny żywotny bluszcz.

– Może powinienem sobie odciąć dłoń. I jej wysłać – oznajmił przez telefon Mike’owi, koledze ze Stanowego Towarzystwa Historycznego, w którym pracował. – Zrozumiałaby aluzję.

Ira zdążył już dokonać ceremonialnego spalenia swego ślubnego smokingu w kolorze gołębiej szarości – wystawiając go w ogrodzie za domem jak stracha na wróble, na wysokim kiju, i podpalając jednorazową zapalniczką.

– Skurczybyk zajął się od pierwszego strzału – sapał przepraszająco do strażaków po tym, jak spłonął także żywopłot, i przed tym, zanim odwieziono go na noc do aresztu. – Błyskawicznie. Może to przez, bo ja wiem, śladowe ilości rozpuszczalnika do czyszczenia chemicznego.

– Zdejmiesz tę obrączkę, kiedy będziesz gotowy – odpowiedział mu Mike przez telefon.

Do obowiązków zawodowych Mike’a należało aprobowanie prac konserwacyjno-renowacyjnych w starych domach, co pozostawiało mu dostatecznie dużo wolnego czasu na to, aby mógł uczestniczyć w szkoleniach dla rodziców i czytać poradniki dla rodziców – jedno i drugie stopnia podstawowego.

– Oto, co możesz poradzić na swoją depresję. Nie każę ci się zatracić w pracy dobroczynnej. Nie każę ci nabrać dystansu poprzez oglądanie co wieczór wiadomości z kraju i rozważanie losu tych, którzy mają gorzej od ciebie, ponieważ... dajmy na to... wysadziło ich w powietrze. Ale powiem tak: rzuć picie, rzuć palenie. Odstaw kawę,

cukier, produkty mleczne. Trzymaj dietę przez trzy dni, po czym wróć do starych nawyków. Ta-dam! Gwarantuję ci, że od razu poczujesz się szczęśliwszy.

– Boję się – odparł Ira cicho – że obecnie uszczęśliwiłoby mnie wyłącznie przecięcie przewodów hamulcowych w aucie Marilyn.

– Wiosna – powiedział Mike, mimo że zima trwała w najlepsze – faktycznie potrafi człowieka zdołować[1].

– Hej. Może zaczniesz pisać piosenki? Byle nie za często.

Ira opuścił wzrok na swoje dłonie. Właściwie to zdjął raz obrączkę, w gorącej kąpieli, ale widok obnażonego palca, gołego jak u dziecka, przeraził go tak, że szybko wsunął ją z powrotem.

Teraz usłyszał, jak znajdujący się po drugiej stronie kabła Mike wzdycha i zaczyna czegoś szukać. Trzasnęły drzwiczki kredensu. Lodówka otworzyła się z cmoknięciem i znowu zamknęła z przeciągłym sykiem. Ira wiedział, że Mike i Kate mają swoje problemy – jak to się mówi – lecz ich małżeństwo jakoś przetrwało.

– Rozwiódłbym się z Kate – wyznał mu raz Mike – ale ona by mnie zabiła.

Tym razem rzucił:

– Wiesz co? Może wpadniesz do nas w niedzielę na postną kolację. Ma być parę osób i kto wie...

– Kto wie?

– Tak: kto wie...

– Ta postna kolacja, co to takiego?

– Nasz wynalazek. Z okazji Wielkiego Postu. Nie chcieliśmy obchodzić tłustego czwartku. Byłby to brak szacunku, szczególnie w obliczu sytuacji międzynarodowej.

– Więc zamiast tego pościecie. Mam w stosunku do postu mieszane uczucia. To znaczy wiem, czym jest dla nas, żydów. Ale rzadko łączy się z uroczystym posiłkiem. Na ogół starczą ciężkie westchnięcia.

– Potraktuj to jako przedwielkanocną kolację charytatywną – rzekł wolno Mike.

W tym małym, nierozważnym, tolerancyjnym środowisku nie było naturalnych drapieżców, roiło się tam więc od dziwacznych stworów i wytworów.

– Charytatywną?

– W czasie Wielkiego Postu wypada rezygnować z pewnych rzeczy. Zeszłego roku zrezygnowaliśmy z wiary i rozumu; w tym roku zamierzamy odpuścić demokrację i nadzieję.

Ira miał już przyjemność poznać większość gojowskich przyjaciół Mike'a. Sam Mike był powściągliwy, tolerancyjny, skromny do przesady. Zaszufładowawszy się raz jako „katolik etniczny”, poskarżył się ze smutkiem, że nawet ksiądz nie chciał go molestować.

– Duchowni wymieniali ze mną szybki uścisk dłoni i to wszystko – opowiadał.

Dla odmiany jego znajomi okazali się co do jednego sztywnymi, wyrafinowanymi

intelektualnie protestantami, którzy rozbijali się nowymi autami z metaliczną karoserią i potrafili w ciągu pięciominutowej rozmowy o niczym użyć co najmniej dwukrotnie wyrażenia „ściśle w ramach”.

– Kate zaprosiła swoją koleżankę, rozwódkę – dodał Mike. – Tylko nie myśl, że bawię się w swata. Nie cierpię tego. Po prostu cię zapraszam. Przyjdź. Zjedz coś. Mamy okres wielkanocny i no wiesz, przydałby się nam jakiś żyd. – Roześmiał się serdecznie.

– Uhm, specjalnie dla was zrekonstruuje tamte wydarzenia – powiedział Ira. I ponownie zerknął na spuchnięty palec. – O, tak. Pojawię się i wszystkim wam pokażę, jak się to robi.

★

Nowy dom Iry, aczkolwiek położony w dzielnicy, którą pośrednik nieruchomości nazwał „uroczym bezpiecznym zakątkiem” i która sąsiadowała z ulicami noszącymi nazwy od nazwisk prezydentów (choć sama składała się z uliczek nazwanych od gatunków ryb – Łososiowej, Dorszowej, Jesiotrowej), pełen był niedrożnych odpływów, przeciekających zaworów, zatkanych rur i grubej warstwy kurzu, w którym dało się kreślić sprośności. *Marilyn ciągnie druta*. Najbardziej przewiewne okna uszczelnił folią i okleił taśmą izolacyjną, tak jak instruuje Departament Bezpieczeństwa Krajowego; zimne powietrze wydymało folię niczym żagle na jachcie. W naprawdę wietrzne dni robiło to spore wrażenie.

– Cały dom może przez to odlecieć – zauważył Mike, rozglądając się wokoło.

– Aż tak to nie – odparł Ira. – Ale czasami czuć drżenie. Coś fascynującego.

Jak to w marcu, ziemia zrobiła się grząska i rabatki zaczęły się zielenić od cieniuchnych pędów bielunia i perzu. Istniała szansa, że do czerwca broń chemiczna skierowana przeciwko sercu kraju poradzi sobie też z chwastami w jego ogrodzie.

– Taką wojnę to rozumiem! – skomentował Ira w rozmowie z sąsiadem, wcale nie ścisząc głosu.

Z kolei dom Mike’a i Kate, wymuskany i artystycznie nieporządny oraz – jak podejrzewał Ira – zalatujący odpisami podatkowymi z tytułu konserwacji i renowacji, wydawał mu się nieosiągalnym marzeniem, czymś, co zostało przeniesione do rzeczywistości wprost ze stron kolorowego czasopisma, gdzie publikowano wspomnienia z dzieciństwa rojone na łożu śmierci. Bądź czymś, co dziewczynka z zapałkami dojrzała przez okno. Na zewnątrz podsufitka leżała idealnie równo.

Krokusy przypominały dzwonki, a kosaciec syberyjski wyglądał jak fiołkowe żelki rozrzucone w trawie. W środku zapach ciepłego posiłku nieomal doprowadził go do płaczu. Nie zdejmując płaszcza, wyminął pośpiesznie Kate, by zamknąć Mike'a w objęciach i wycałować w oba policzki.

– Całus dla przystojniaka! – zawołał przy tym.

Kiedy już ściągnął płaszcz i zawędrował do jadalni, wznosił toasty szampanem, który sam przyniósł. Gości było ośmioro, z czego większość znał w pewnym stopniu, co tak naprawdę mu wystarczało. Jak w gruncie rzeczy chyba każdemu. Mimo to wszyscy stukali się z nim kieliszkami.

– Za Wielki Post! – wołał Ira. – Za nasze ostatki! – I na wypadek gdyby zabrzmiało to zbyt ponuro, dodał: – I za nadchodzące Zmartwychwstanie! Niech tym razem wydarzy się gdzieś bliżej domu! Niech żyje Jezus Chrystus!

Niebawem był znów w kuchni, gdzie – czując, że tego się po nim oczekuje – wrzasnął na widok wieprzowiny. Później wrócił do gości, by przeproszać za Ukrzyżowanie.

– Wcale tego nie planowaliśmy – mamrotał. – Sprawy wymknęły się spod kontroli i jakoś tak samo wyszło. Nie było mowy o zabójstwie, kogoś musiało ponieść. Wszyscy wiemy, jak na człowieka działa wiosna. W każdym razie możecie mi wierzyć: jest nam bardzo, ale to bardzo przykro.

Rozwiedziona koleżanka Kate miała na imię Zora i z zawodu była pediatrą. Choć nikt inny tego nie robił, ona wyła ze śmiechu, ale kiedy nie miała twarzy rozdartej na dwoje ani nie szczykała bezgłośnie zębami (w czym Ira dopatrywał się porozwodowej hysterii; „Ile czasu jesteś po rozwodzie?” – zapytał ją potem. „Jedenaście lat” – odparła), dostrzegał, jak bardzo jest piękna. Miała krótkie ciemne włosy, przejrzyste zielono-brązowe oczy z domieszką barwy rdzy, wydatny orli nos (najpewniej chrapała), gęste rzęsy, które sterczały jej misterne i czarne niczym u motylejki kominkowej. Jej ciało było szczupłe i pulchne zarazem, a cera gładka i pomarszczona, jak to u czterdziestoparolatki. Starość i młodość, wyskandował milcząco, młodość i starość – nigdy żadnej zadość. Ira pracował nad tomikiem rymowanek, wstępnie zatytułowanym *Kobiety są z Plutona, mężczyźni z Kondona*. Względnie: *Tatusiek – musical*.

Podobnie jak wszyscy jego znajomi umiał dostrzec płytkość czyjegoś uroku jedynie wtedy, gdy ten dotykał kogoś innego. W przeciwnym razie uważał daną osobę za nieprzeciętnie miłą. Dlatego być może śmiech i uroda Zory postawiły go na z góry przegranej pozycji, czyniąc przesadnie wdzięcznym.

Natychmiast posłał jej kartkę, jedną z tych przedstawiających auto nowożeńców ciągnące za błotnikiem rząd puszek z mielonką. Napisał: *Kochana Zoro, było mi bardzo miło Cię poznać u Mike'a*. Po czym dopisał swój numer telefonu. Postawił na prostotę. Jego historia zalotów roiała się od wpadek, poczynając od plamy, którą dał jeszcze jako szesnastolatek, kupując swojej dziewczynie w sklepiku ze śmiesznymi rzeczami największe cudo, jakie widział w dotychczasowym życiu: pięknie rzeźbioną w drewnie dłoń z wystawionym środkowym palcem. Był to obiekt jego sekretnego pożądania od roku. Niemożliwe, żeby nie przypadł do gustu dziewczynie. Tym większe zdumienie i poczucie zdrady go ogarnęły, kiedy zamiast się zachwycić, wzgardziła zarówno prezentem, jak i nim. W wypadku Marilyn obrał inną strategię i grał trudnego do zdobycia, co zamieniło ich randkowanie w niekończące się „panie proszą panów” z nieuchronnym ślubem na horyzoncie zdarzeń, a po drodze – z upokarzającym i niemającym końca płaceniem po połowie.

Jednakże to, zabawna kartka i związły liścik, zdaniem Iry łączyło we właściwych proporcjach improwizację i determinację. Taki geometryczny środek ciężkości między natrętem a gościem urwanym z choinki wydawał mu się niezbędny w świecie randek po czterdziestce, chociaż z drugiej strony co on o tym świecie wiedział? Upłynęło tyle czasu, że prędzej można było mówić o zapomnianej cywilizacji czy planecie małpowania, gdzie siwiejący rozbitkowie z wypalonym wewnętrznym krajobrazem naśladowują młodzież, podejmując działania zarzucone dekady wcześniej, przy założeniu, że w ogóle coś z tego jeszcze pamiętają. Ira był mężem przez piętnaście lat, ojcem przez osiem (biedna mała Bekka kursowała teraz między dwoma domami, biorąc udział w rytuale niezwykle podobnym do podrzucania zakładników), tylko po to, by na koniec ponieść karę za niemający żadnego, żadnego, żadnego znaczenia flirt z koleżanką z pracy – karę, na którą składały się faktyczny romans żony i jej fałszywe delegacje (z udziałem w rzekomych konferencjach na temat metody Montessori), a wreszcie pozew rozwodowy wysłany z jakiegoś motelu. Przedtem robiły na nim wrażenie egzystencjalne wyzwania, odwaga i bezwstyd kryzysu wieku średniego, tak więc zwykł był podziwiać wszystkich tych, którzy przezeń przechodzili, kiedy patrzył na to z boku. Jednakże gdy jego żona, szanowana nauczycielka wychowania przedszkolnego, wyreżyserowała i obsadziła własny pełnoprawny kryzys czterdziestki, Ira zaczął nagle gardzić innymi ofiarami, które teraz w jego mniemaniu folgowały sobie, były pazerne i zidiociałe i co najwyżej zasługiwały na nietypową śmierć w mękach zaserwowaną za pomocą licznych ustrojstw, jakie można znaleźć w garażu.

W odpowiedzi Zora także przysłała mu kartkę. *Pokój van Gogha w Arles*. Pod

okrągłym jak tarcza zegarka stemplem pocztowym biegło jej pismo – dużymi, starannymi literami, z zakrętasami w wypadku „b” i „p”, napisała: *Było mi bardzo miło Cię poznać u Mike’a*. Czyż nie tak samo brzmiała jego wiadomość do niej? Zora nie dodała „też” ani nie użyła akcentowanej formy zaimka – powtórzyła tylko słowo w słowo to, co on napisał, jakby uprawiali jakiegoś wariackiego pocztowego ping-ponga. Albo była głupia bądź szalona, albo Ira zbyt wiele od niej wymagał. A miał za wszelką cenę („Nic, tylko warczysz na ludzi” – zarzucała mu na każdym kroku Marilyn) nie wymagać od innych za dużo. Ale wystarczyło, aby przypomniawszy sobie uroczą twarz Zory, i natychmiast wzbierało w nim uczucie dla niej. Również podała mu swój numer i podpisała się zawadiackim „Z” – jak Zorro. Uznał, że to słodkie. Tak sądził. Kto to mógł jednak wiedzieć. Należało mieć się na baczności.

✱

Bekka spędzała ten weekend u niego. Siedziała w salonie, oglądając Cartoon Network. Uwielbiała *Strusia Pędziwiatra* i *Ligę Sprawiedliwych*. Kiedy kreskówki przemykały po kremowej cerze jego córki, Ira od czasu do czasu zerkał na jej zahipnotyzowaną twarz z wielkimi, nieruchomymi oczyma roziskrzonymi od kształtów uchwyconych niczym hologram wewnątrz kamyka. Nie uważał się za dobrego ojca, lecz generalnie się starał: był czuły, mądry, odpowiedzialny, no i nie zamawiał pizzy co wieczór, choć akurat tego wieczoru znowu uległ. Tydzień wcześniej Bekka rzuciła uwagę:

– Kiedy ty i mama byliście małżeństwem, na kolację jadaliśmy purée ziemniaczane. A teraz jesteście rozwiedzeni i jemy wiecznie spaghetti.

– Co smakuje ci bardziej? – zapytał.

– Nic! – krzyknęła w odpowiedzi, podsumowując swój niesmak do wszystkiego. – Nie cierpię jednego i drugiego!

Tego wieczoru zamówił pizzę w połowie serową, a w połowie z papryczkami bananowymi i *jalapeño*. Oglądali we dwoje *Ligę Sprawiedliwych*, trzymając na kolanach tacki i zajadając każde ze swojej połówki. Ubrani kolorowo bohaterowie o sylwetkach w kształcie trójkąta – dobrze rozwinięta klatka piersiowa i wąskie biodra – uganiali się za wrogami z zadufaną pewnością siebie oraz oczywiście z bronią laserową. W końcu Bekka odwróciła się do niego.

– Mama mówi, że jak jej chłopak Danny się wprowadzi, dostanę pieska. Pieska i króliczka.

– I króliczka? – powtórzył Ira pytającym tonem.

Gdy wciąż byli wszyscy razem, stanowiąc pełną rodzinę, czteroletnia Bekka – ledwo zaznajomiona z liczbami i pojęciem upływu czasu – rozgłaszała tryumfalnie wśród koleżanek i kolegów:

– Rodzice mówią, że dostanę pieska! Jak tylko skończę osiemnaście lat!

O króliku nikt wtedy nawet nie wspominał. Być może to przez zbliżającą się Wielkanoc, pomyślał Ira. Wiedział, że jego córka kocha zwierzęta. Pewnego razu, dumając w kąpieeli, wymieniła pięć ulubionych osób, z czego cztery były psami. Piąta zaś – jej niebieskim rowerkiem.

– Pieska i króliczka – powtórzyła Bekka, a Ira musiał stłumić rodzący się w jego umyśle obraz zakrwawionego króliczego łebka w psich szczękach.

– A jakie ty masz na ten temat zdanie? – spytał ostrożnie, próbując wybadać, co też ona sądzi o Danielu i tak dalej.

Bekka, nie przestając przeżuwać, wzruszyła ramionami.

– Spoko – odparła, posługując się najnowszym słowem wytrychem, które mogło oznaczać „proszę”, „cześć”, „do widzenia” i „mam dopiero osiem lat”. – Wolałabym, żeby miał mniej rzeczy. Jego auto blokuje nasze na podjeździe.

– Załamka – stwierdził Ira, posługując się swoim najnowszym słowem wytrychem oznaczającym: „Powiniennem zachować neutralność” i „Z twojej matki jest dziwka”.

– Nie chcę mieć zapasowego ojca – oświadczyła Bekka.

– Może będzie mieszkał w zapasowej sypialni – pocieszył Ira córkę, która na to prychnęła ustami pełnymi mozzarelli.

– Poza tym – dodała zaraz – już bardziej lubię Larry’ego. Jest silniejszy.

– Kim jest Larry? – zainteresował się Ira, chwilowo rezygnując z „załamki”.

– Larry to ten drugi facet – wyjaśniła Bekka. Na matkę czasami mówiła „facetka”. Na co Ira zazwyczaj potakiwał: „Tak, prawdziwa z niej facetka”.

Tym razem jednak powiedział:

– Załamka. Wielka załamka.

*

Do Zory zatelefonował po czterech dniach, aby jej nie zniechęcić swym entuzjazmem. Sięgnął przy tej okazji do najgłębszych pokładów zdolności aktorskich.

– Witaj, Zoro. Tu Ira – powiedział, po czym w oczekiwaniu na jej reakcję zamilkł, co być może było przejawem narcyzmu z jego strony, lecz w gruncie rzeczy cóż jeszcze miał powiedzieć?

– Ira?

– Tak. Ira Milkins.

– Przykro mi – rzekła – ale nie mam pojęcia, z kim rozmawiam.

Ira ścisnął słuchawkę i zerknął po sobie, natrafiając wzrokiem na pustkę. Wyglądało na to, że zniknął od szyi w dół.

– Poznaliśmy się minionej niedzieli u Mike’a i Kate... – Głos mu drżał. Jeśli kiedykolwiek uda mu się wyciągnąć ją na randkę, będzie musiał zażyć którąś z tych pigułek gwałtu i zemdleć na jej kanapie.

– Ira? Aaaaaaaa... Ira. Taaa. Ten żyd.

– Taaa, ten żyd. Bingo. – Czy powinien się teraz rozłączyć? Nie czuł się na siłach kontynuować tej rozmowy. Jednakże nie miał innego wyjścia. Oto prawdziwy człowiek sceny.

– Udana kolacja – powiedziała.

– Owszem, bardzo udana.

– Na ogół nie zawracam sobie głowy Wielkim Postem.

– Zupełnie jak ja – podchwycił Ira. – To ułatwia sprawę. Na co tyle zachodu?

– Zdarza się, że zapominam, jak uspokajające i jednoczące może być takie spotkanie z przyjaciółmi, szczególnie w czas taki jak ten.

Ira nie mógł się nie zastanowić nad użyciem przez nią przymiotnika „jednoczące”. Zabrzmiało to zarówno z lekka newage’owo, jak i amiszowo.

– Ale Mike i Kate prowadzą właśnie taki dom. Pełen ciepła i życzliwości.

Nad tym także Ira się zastanowił. Jakie jeszcze są rodzaje domów, kiedy już ktoś zawraca sobie głowę ich prowadzeniem? Surowe, zimne i podłe – taki był, przynajmniej pod koniec, dom jego i Marilyn. Z jakiegoś powodu przed oczyma stanęły mu małpki wychowywane przez atrapy matek. Co takie małpie niemowlę wiedziało? Znało jedynie atrapę, czepiało się jej więc, całkiem jak on, nawet jeśli był to tylko wieszak na ubrania. *Mamusiu!* O ileż łatwiej wyrznąć sobie to słowo na ramieniu. Zwłaszcza gdy jest się odpornym na ból. Co z tego, że skończy się napiętnowaniem. Jako dziecko, w piątej klasie podstawówki, usiłował odtworzyć w domowej piwnicy eksperyment Konrada Lorenza z kaczkami. Ale przesadził z żarówkami w inkubatorze i ugotował niedosze kaczuszki na twardo, zaśmiardując pomieszczenie tak bardzo, że matka miała do niego pretensje całymi dniami. Wyniósł z tego pewną naukę – poznał granice odporności emocjonalnej przeciętnej żydówki – ale była to lekcja z zakresu nauk społecznych i jako taka mniej istotna.

– A ty jaki prowadzisz dom? – zapytał Zorę.

– Dom? Och, zamierzam kiedyś jakiś mieć. Tymczasem, jeśli mam być szczerą, tkwię w pałatce.

Oho, trefnisia z niej. Może ze śmiechem wkroczą razem w wiek podeszły.

– Przepadam za nimi – rzekł na wszelki wypadek. Tylko co to takiego, ta pałatka?

Nie umiał sobie przypomnieć.

– Tak naprawdę jestem matką nastolatka, więc trudno mi powiedzieć, jaki mam dom. Gdy dziecko wchodzi w okres dojrzewania, wszystko się zmienia.

Zapadło milczenie. Ira nie potrafił sobie wyobrazić nastoletniej Bekki. Czy też raczej był w stanie to zrobić, do pewnego stopnia, ponieważ jego córka już od jakiegoś czasu zdawała się przepełniona gniewem na niekompetentną obsługę, którą do jej stolika przypisało życie.

– No więc, chcesz się umówić na drinka czy nie? – zapytała ostatecznie Zora, jakby miała w tym spore doświadczenie. Z jej głosu przebijała mieszanina znużenia i pseudozawodowej radości osoby stanu wolnego, do której nudnych i przykrych obowiązków należy umawianie się na randki.

– Tak – odparł Ira. – Właśnie w tej sprawie dzwoniłem.

★

– Nie masz pojęcia, jak przeraźliwie monotonna jest codzienna praca pediatry – tokowała Zora, nie tknąwszy wina. – Zapalenie ucha, zapalenie ucha, zapalenie ucha. Ej, i dla odmiany, szczyt ekscytacji, cukrzyca młodzieńcza. Dzień po dniu trzeba patrzeć rodzicom w oczy i powtarzać w kółko jakże emocjonujące słowa: „Chyba coś lata w powietrzu”. Rozwazałam onkologię dziecięcą, gdyż na pytanie, czemu zajęli się tą widomie przygnębiającą gałęzią medycyny, koledzy lekarze odpowiadali mi, że dzieci nie dopada depresja. To mnie zainteresowało. I natchnęło nadzieją. Ale gdy z kolei spytałam odchodzących na wcześniejszą emeryturę onkologów dziecięcych, czemu nie doczekają normalnego wieku emerytalnego, dowiedziałam się, że mają dość patrzenia na umierające dzieci! Bo widzisz, dzieci nie popadają w depresję, one po prostu umierają! Czujesz już, jaki miałam wybór, kończąc studia? Wcześniej myślałam o sztuce, rzeźbiłam nawet trochę, właściwie wciąż rzeźbię, żeby twórcza strona mojej natury nie obumarła! Ale tak naprawdę to chciałabym pisać książki dla dzieci. Kiedy patrzę na te książeczki wyłożone w poczekalni, mam ochotę utopić je w akwarium. Za każdym razem myślę: ja napisałabym to lepiej. Jedną już nawet zaczęłam, o jeżozwierzu.

– Czym dokładnie jest jeżozwierz? – Ira zerkał to na jej pełny kieliszek, to na swój pusty. – Mylą mi się zawsze z jeżami i jeżowcami.

– Jeżozwierz... Co za różnica, jak wyglądają, skoro i tak noszą nakrapiane wdzianka, kamizele, kapelusze i całą resztę? – odparła poirytowana.

– Pewnie żadna – zgodził się potulnie, czując lekki strach.

Co było nie tak z tą kobietą? Ira nie cierpiał takich niezręcznych momentów w restauracjach. Każdorazowo zaczynał wtedy błędzić myślami, zastanawiając się, dlaczego te kawałki płótna nazywa się serwetami, a nie narwetami, lub też dochodząc do wniosku, że Bóg lubi masło. Usiłował się skupić na bodźcach wzrokowych, na tym, co Zora na siebie włożyła, a była to jedwabna bluzka w kolorze dyni, którą bał się skomplementować, na wypadek gdyby wzięła go za geja. Marilyn zagroziła odwołaniem ślubu, po tym jak wyraził uznanie dla materiału sukni, a następnie długo i marudnie szukał smokingu dla siebie, przebierając w odcieniach szarości i nie mogąc znaleźć „gołębiego”, o którym przeczytał w czasopiśmie dla nowożeńców.

– Jesteś homoseksualistą? – przyparła go do muru była żona. – Lepiej mi powiedz od razu. Nie popełnię tego samego błędu co moja siostra.

Niewykluczone, że poirytowanie Zory miało coś wspólnego z jej niewyżyciem artystycznym. Ira był pełen zrozumienia. Chociaż sam pracował w kadrach Stanowego Towarzystwa Historycznego, często pomagał w przygotowywaniu wystaw, malował plakaty i kleił makiety, a raz nawet zrobił kukiełkę, która wystąpiła w spektaklu o pierwszym gubernatorze. Dziękował Bogu za sensowne zajęcie, lecz rozumiał te czytelne dla niego twórcze ciągotki, które niejednego człowieka doprowadziły na skraj załamania nerwowego.

– Co przytrafia się twojemu jeżozwierzowi? – zapytał, po czym rozsiadł się wygodniej, aby dokończyć posiłek: bakłażan zapiekany z parmezanem, którego zamówienia zdążył pożałować. Teraz ślinił się na steka Zory. Być może cierpiał na anemię. A może pragnął poczuć w ustach smak krwi i żelaza. Zora, jak zdążył się zorientować, była mięsożerna. W czasach gdy auta innych ludzi oprostowały wojnę lub domagały się powrotu oddziałów do kraju, jej honda miała na zderzaku naklejkę z napisem CZERWONE MIĘSO NIE SZKODZI. SZKODZI NIEWYRAŻNE, ZIELONKAWĘ MIĘSO.

– Co się przytrafia jeżozwierzowi? Cóż... – Zora umilkła na chwilę. – Jeżozwierz wybiera się na spacer, ponieważ jest smutny. Ten motyw zaczerpnęłam z bajek, które opowiadałam synowi. Tak więc jeżozwierz wybiera się na spacer i napotyka na swej drodze dziwny żółty dom z transparentem WITAJ, JEŻOZWIERZU: CHCIAŁBYŚ TU ZAMIESZKAĆ? Ponieważ jest smutny, myśl o nowym domu przypada mu do gustu. Wchodzi zatem do środka, a tam czeka na niego rodzina aligatorów... Oszczędzę ci reszty, ale chyba potrafisz dośpiewać sobie ciąg dalszy.

– Rodzina aligatorów? Nie jestem pewien, czy rozumiem...

Zora nie odzywała się przez minutę, pracowicie przeżuując swój wspaniały rubinowy stek.

– Każda rodzina jest rodziną aligatorów – powiedziała w końcu.

– Hm... Z pewnością jest to jakiś punkt widzenia... – Ira zerknął na zegarek.

– Taaa. Wracając do książki. To swego rodzaju wentyl bezpieczeństwa. Nie twierdzę, że moja praca jest okropna. Niektóre dzieci są nawet słodkie. Ale większość jest niemożliwa, część cierpi na niezrównowagę psychiczną, inne są zwyczajnie zepsute albo niewychowane. Czasem nie wiadomo, jak się zachować. Nie wolno ich bić.

– „Nie wolno ich bić”? – Ira spostrzegł, że napoczęła wino i nieźle sobie z nim radzi.

– Dorastałam w Kentucky – rzuciła tytułem wytłumaczenia.

– Ach tak. – Pociągnął łyk wody, grając na zwłokę.

Zora dalej żuła zawzięcie. Merlot powolutku zabarwił popękana, łuszczącą się skórę na jej dolnej wardze.

– Kentucky przypomina Irlandię, ale jest tam więcej koni i karabinów.

– W przeciwieństwie do żydów.

Nie miał pojęcia, skąd biorą mu się te komentarze. Może stąd, że swego czasu pracował w lokalnym archiwum i grzebał się w genealogiach i ikonografii różnych grup etnicznych, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, że reszta historyków uważa jego działkę za sentymentalizm, który na nic nie rzuca światła; i chociaż nierzucanie na nic światła jemu nie wydawało się najgorszym pomysłem, przeniósł się do kadr, jak tylko zwolniło się tam miejsce.

– Rzeczywiście, nie mieliśmy wielu żydów – potwierdziła Zora. – Pamiętam, że byli jacyś Ormianie... To znaczy myślę, że byli Ormianami.

Gdy pojawił się rachunek, zignorowała go, jakby był muchą, która przysiadła na blacie i zaraz poleciała gdzieś dalej. I to by było na tyle, jeśli chodzi o feminizm. Ira wyciągnął kartę kredytową pracownika budżetówki, a przechodząca obok stolika kelnerka porwała ją zgrabnym ruchem. Powiedziano mu kiedyś, że istnieją cztery ośmiosłowne kwestie, które sygnalizują koniec związku. Pierwsza: „Chyba powinniśmy zacząć się spotykać z innymi ludźmi” (praktycznie biorąc, synonim „Od pewnego czasu sypiam już z kimś innym”). Druga: „Może byłabyś tak dobra i zostawiła jakiś napiwek?”. Trzecia: „Jak to możliwe, że znowu zapomniałaś swojego portfela?”. I czwarta, bezkonkurencyjna, gdy idzie o uśmiercenie związku dwojga ludzi: „Co za zbieg okoliczności – ja też zapomniałem portfela!”.

Nie sądził, aby mieli się jeszcze zobaczyć. Jednakże kiedy ją odwiózł pod dom i odprowadził do drzwi, Zora zniecka złapała jego twarz obiema rękoma, a jej usta przedzierzgnęły się w samoistne wilgotne stworzonko eksplorujące jego jamę gębową. Rozpięła mu kurtkę, wepchnęła się do środka, przyciskając do niego, aż jedwabna bluzka zaczęła się ślizgać po jego koszuli. Oderwała wargi z siorbnięciem.

– Zadzwoń do ciebie – obiecała z uśmiechem. Oczywiście miała roziskrzony jakby dzinem, choć piła tylko wino.

– W porządku – wymamrotał, cofając się po schodkach, po ciemku, do auta

zostawionego na jałowym biegu i rozświetlającego jej ulicę reflektorami.

★

Tydzień później siedział w jej salonie. Pokój utrzymany był w tonacji beżowo-białej z żurawinowymi akcentami. Na ścianach wisiały oprawione w czarne ramki zdjęcia jej syna na wszystkich etapach rozwoju, obecnego nie wyłączając. Brunon leżący plackiem na ziemi. Brunon i Zora razem, on chowający się w fałdach jej spódnicy i ona opuszczająca głowę z długimi włosami tak, że całkowicie go zakrywały. Brunon pochylony między jej kolanami, boso po szyję. Były też fotografie Brunona w kąpieli, mimo że na niektórych ewidentnie znajdował się już u progu okresu dojrzewania. W rogu stał może tuzin jej drewnianych rzeźb przedstawiających nagich młodych chłopców.

– Moje hobby, o którym ci opowiadałam.

Figurki były niebywale. Zora wywierciła nawet dziurki w chłopięcych penisach – zapewne ręczną wiertarką – na wypadek gdyby kiedyś chciała ich użyć jako elementów fontanny.

– To skrzydlaci chłopcy. Cudni fruwający młodzieńcy. Z mitologii. Nie pamiętam, jak się na nich mówi. Wystarczają mi ich słodkie pupy.

Ira kiwnął głową, nie odrywając wzroku od jędrnych wyrzeźbionych pośladków, grzybkowatych genitaliów, smukłych pleców i długich kończyn. A zatem takie kobiety przeszły mu koło nosa przez te wszystkie lata, kiedy był żonaty. Cóż on sobie myślał, kurczowo trzymając się małżeństwa?

Usiadł i poprosił o wino.

– Wiesz, jeśli chodzi o te sprawy, to jest ze mnie trochę cykor – zagaił przepaszającym tonem. – Straciłem po drodze pewność siebie. Nie sądzę, abym mógł się rozebrać na czyichś oczach, ot tak. Prawdę powiedziawszy, nawet w siłowni przebieram się w toalecie. Rozwód i tak dalej...

– O, rozwód zdecydowanie ma taki wpływ na człowieka – potaknęła, dodając mu otuchy. I naląła wina do jego kieliszka. – Przypomina numer z zapadnią. Ktoś zakrywa dziurę w podłodze chodnikiem i mówi: stań tam. Ty stajesz. A potem: łup! – Sięgnęła po fajkę wodną, zapaliła, pociągnęła i przekazała jemu.

– Nigdy nie widziałem pediatry, który by palił haszysz.

– Naprawdę? – odparła z niejakim trudem, bo wciąż na wdechu.

Sutki miała długie, cylindryczne i sztywne, przez co jej klatka piersiowa wyglądała trochę tak, jakby dwa przepychacze do zlewu przyleciały z kuchni i zassały się na jej ciele. Jego wargi rozchyliły się łakomie, aby je pocałować.

– Może zechcesz zdjąć buty? – szepnęła.

– Ależ nie, dziękuję – odparł.

Jest seks, gdy druga osoba patrzy ci w oczy i prawi ci czułe słówka, i jest seks, który Ira nazywał seksem „jest-tam-kto” – gdy partnerka zdaje się przebywać jakby gdzieś indziej, a jej przyjemność sprawia wrażenie tajemniczej, lekko szalonej i tylko chwilami mającej coś wspólnego ze sprawcą. „Jest tam kto?” – wołała zawsze jego babcia przed wejściem do domu kogoś, kogo znała, lecz nie aż tak dobrze, aby mieć pewność, że go zastanie.

– Gdzie jesteś? – odezwał się w ciemnościach Ira.

Doszedł do wniosku, że dystans w podobnych sytuacjach bywa cnotliwy i uświęcający. To nie on uprawiał seks. Kondom uprawiał seks, a on tylko starał się go powstrzymać. Świeczuski Zory ustawione przez nią na szafce nocnej zamieniły się w rozgrzane kałuże obramowane obrączką srebrnego metalu. Ich knoty dymiły migotliwie. Ira starał się nie myśleć o tym, że zanim je zapaliła i odciągnęła narzutę, były już na wpół stopione, z poczerniałymi knotami. Lepiej nie myśleć o poprzednich okazjach palenia świeczek w sypialni przez kobietę, która właśnie zaczęła się dobierać do twoich spodni. Poza tym był wdzięczny za blask świec – szczególnie po tym, jak się naoglądał młodych męskich ciał w salonie. W słabym świetle jego siwiejące włosy na piersi nie powinny się tak rzucać w oczy. Oto, po co wymyślono świece: dla takich jak on smętnych, niepewnych seksualnie, rozlazłych mężczyzn w średnim wieku. Jak mógł tego nie rozumieć, będąc mężem? Zora z tymi swoimi krótkimi włosami sprawiała wrażenie wiecznie młodej nimfy, aczkolwiek gdy zdjęła mu okulary, zamieniła się w rozmazany kształt, którym równie dobrze mógł być Dick Cheney, Lon Chaney, Lee Marvin albo Blob Zabójca, z tą różnicą, że ładnie pachniała i miała jedwabistą dziewczęcą skórę, jeśli nie liczyć paru bardziej szorstkich miejsc.

Wydała z siebie przeciągłe, zmęczone westchnienie.

– Gdzie byłaś? – dopytywał zaniepokojony.

– Cały czas tutaj, głuptasie – odparła i uszczypnęła go w biodro. Odkryła obie swoje nogi, ruszając nimi w górę i w dół pod pościelą. – Doszedłeś?

– Słucham?

– Czy doszedłeś?

– Czy „doszedłem”?

Ktoś zapytał go o to samo w górskim schronisku parędziesiąt metrów przed szczytem.

– Czy miałeś orgazm? U niektórych mężczyzn trudno to poznać.

– Tak, dziękuję. Znaczący, chciałem powiedzieć, myślałem, że to widać.

– Wciąż nosisz obręczkę – zauważyła.

– Utknęła mi na palcu, sam nie wiem dlaczego...

– Niech spróbuję – zaofiarowała się i pociągnęła go za palec, ale luźna skóra kłykcia utworzyła wałeczek, hamując poślizg i powodując otarcie.

– Auć – rzekł poniewczasie.

– Może później przy użyciu mydła – zaproponowała. Położyła się znowu na wznak i zamachała nogami w powietrzu.

– Lubisz tańczyć?

– Czasami.

– Założę się, że świetnie tańczysz.

– Niezupełnie. Ale nigdy się nie nudzę.

– To wielka zaleta.

– Tak uważasz? – zapytała i pochyliwszy się nad nim, zaczęła go łaskotać.

– Chyba nie mam łaskotek – powiedział.

– Och. – Natychmiast przestała.

– No, może troszkę – dodał. – Ale raczej niedużo.

– Chciałabym, żebyś poznał mojego syna.

– Jest gdzieś tutaj?

– Pod łóżkiem. Brunek?

Trefnisie bywają naprawdę zabawne.

– Jak ma na imię?

– Brunon. Ale ja mówię na niego Brunek. W tym tygodniu mieszka z ojcem.

Porozwodowa rodzina rozszerzona. Ira spróbował stłumić zazdrość. Bardzo możliwe, że nie dojrzał jeszcze do umawiania się z rozwódką.

– Opowiedz mi o jego ojcu.

– O jego ojcu? Ojciec Brunona też jest pediatrą, ale bardziej go interesowały tańce przy muzyce country. W końcu kogoś na nich poznał. I to był koniec.

– Moim zdaniem jedyny dopuszczalny taniec to taniec towarzyski – powiedział. – Wszystko inne trąci aberracją. Tak mi się przynajmniej wydaje.

– W każdym razie odszedł ode mnie dość dawno temu. Stwierdził, że małżeństwo ze mną było strasznym błędem. Że nie jest zdolny do bliskości. Wiem, że niektórzy ludzie mają z tym problemy, ale jeszcze nigdy nie słyszałam, by ktoś powiedział tak o samym sobie.

– Racja! Nawet Hitler tak nie mówił! Znaczący nie porównuję tu twojego byłego do Hitlera przywódcy, tylko człowieka.

Zora pogładziła jego ramię.

– Sądzisz, że jesteś gotów poznać Brunona? Mam na myśli to, że mój ostatni przyjaciel nie przypadł mu do gustu. Dlatego zerwaliśmy ze sobą.

– Naprawdę? – Jej ostatnia wypowiedź uciszyła go na chwilę. – Gdybym zdawał się w tych sprawach na córkę, mógłbym się umawiać co najwyżej z beagle'em.

– Uważam, że dobro dzieci jest najważniejsze. – Do jej głosu zakradła się stalowa nuta.

– Tak, tak, ja również – zapewnił szybko Ira. Znienacka poczuł zdrętwienie i chłód.

Zora sięgnęła do szafki nocnej, podniosła fiolkę i zacisnęła zęby na pastylce.

– Połknij pół – zaoferowała. – Inaczej się nie wyśpimy. Bywa, że chrapię. Ty chyba też?

– Jakie to słodkie – rzucił Ira ciepłym tonem. – Łykamy razem pastylki.

★

W kolejne dni brnął przed siebie zmęczony i niepewny. W biurze gubił dokumenty. Czasem coś przypadkiem stracił – szklankę wody albo teczkę z wytycznymi do świadczeń socjalnych. Wisząca w powietrzu wojna robiła swoje. Leżąc nocami w łóżku i czekając na sen, miał wrażenie bliskości śmierci. Co stało się ze światem? Marzec – *Martius mensis* – wcale nie przypominał wiosny, szczególnie z oknami upchanymi folią i zaklejonymi taśmą izolacyjną. Drzewa na zewnątrz zdawały się przyczepione do woskowego obskurnego zimowego nieba. Ira żałował, że ten miesiąc nie nosi bardziej pokojowej nazwy, zamiast upamiętniać rzymskiego boga wojny. A jeszcze lepiej, żeby luty przechodził prosto w kwiecień.

Wziął ze schroniska dwa koty, żeby Bekka miała żywe zwierzątka i u niego. Razem wybrali się do sklepu po żwirek i puszki.

– Prowiant! – wykrzyknął Ira.

– W razie wojny będziemy mogli jeść kocie żarcie – podsunęła Bekka.

– A tam, kocie żarcie. Zjemy koty.

– Jesteś obrzydliwy, tato.

Ira wzruszył ramionami.

– Między innymi tego mama w tobie nie lubiła – dodała dziewczynka.

– Naprawdę? Tak powiedziała?

– Coś w tym rodzaju.

– Mama mnie lubi. Tylko jest bardzo zajęta.

– Spoko.

Wrócili do kotów.

– Jak je nazwiemy? – Wychodził z założenia, że jedzenie musi mieć nazwę.

– Nie wiem... – Bekka przyjrzała się im uważniej.

Ira nie cierpiał wydumanych imion, jakie ludzie nadawali swoim ulubieńcom, czerpiąc pomysły z opery i literatury, na przykład z Prousta. Kiedy poznali się z Marilyn, miała kotkę Porcję, jednakże Ira uparcie wołał na nią Zębuszka.

– Może Śnieżka i Śnieżynka? – zaproponowała Bekka, spoglądając rozanielonym wzrokiem na dwa pręgowane rudzielce.

– Raczej nie przypominają śnieżki ani śnieżynki – zauważył Ira, starając się ukryć rozczarowanie. Bekka bywała taka banalna; czasami z niewyjaśnionych powodów popadała w koleiny nudnej konwencji. On osobiście zawsze chciał mieć kota, który by się nazywał Cysterna. – Może Cysterna? – Pracownik schroniska ochrzcił kocięta „Jake Pierwszy” i „Jake Drugi”, jednakże cudzysłowy zachęcały do zmiany imion.

– Piorun i Błyskawica – spróbowała ponownie Bekka.

Ira spojrzał na nią błagalnie i przekonująco – w swoim mniemaniu.

– Poważnie? Jakoś nie umiem sobie wyobrazić, aby twoje koty tak się nazywały.

Twarzyczka Bekki zmarszczyła się płacząco.

– Nie znasz mnie! Mieszkam z tobą tylko na pół etatu! Drugie pół etatu spędzam z mamą, która też mnie nie zna! Tylko ja siebie znam!

– Dobrze, już dobrze – powiedział szybko Ira. Koty spoglądały na niego nieufnie. W obliczu wojny lepiej nie zadzierać z piorunami i błyskawicami. Ani tym bardziej z potencjalnym jedzeniem. – Niech będą Piorun i Błyskawica. – Czyli kto? Dwoje samotnych w średnim wieku na randce.

★

– Może byś przyszedł na kolację? – Zora rzuciła propozycję przez telefon któregoś popołudnia. – Robię wiosenne spaghetti, ulubione danie Brunka. Mielibyście okazję się poznać. Chyba że dzisiaj masz u siebie Bekkę.

– Nie, nie mam – odrzekł Ira grobowym głosem. I zapytał: – Wiosenne spaghetti, co to takiego?

– Och, niczym się nie różni od zwykłego spaghetti, tyle że podaje się je letnie. O temperaturze pokojowej. Z odrobiną świeżej bazylii.

– Co przynieść?

– Hm, może jakąś zakąskę i coś na deser – odparła. – Sałatkę, trochę pieczywa, gdybyś przechodził koło piekarni, i butelkę wina. A, i zapasowe krzesło, jeśli jakieś masz. Będzie nam potrzebne.

– W porządku – powiedział.

Stanął w progu z lekka obładowany. Zora wyszła za drzwi – by mu pomóc, jak pomyślał, tymczasem ona tylko go objęła i pocałowała.

– Muszę cię pocałować tu, na dworze. Brunon nie lubi takich widoków.

Złożyła słodki, nieco gumowy pocałunek na jego wargach, po czym weszła z powrotem do środka, z uśmiechem przytrzymując mu otwarte drzwi. Ach, ci szczerzący się pięknie szaleńcy. Ira był pewien, że niebawem ktoś ogłosi wyniki badań dowodzące, że chorzy umysłowo są w istocie atrakcyjniejsi od reszty społeczeństwa. Potwierdzał to tylko świat randek! Folia aluminiowa przykrywająca salaterkę zaczęła się zsuwać, a wciąż gorące pierniczki, które upiekł na deser, podgrzewały od spodu sałatę, doprowadzając ją do zwiędnięcia. Ira chciał przejść przez salon Zory pewnym siebie krokiem, pokazując, że czuje się jak u siebie, jednakże przemknął tylko chyłkiem i złożył balast na kuchennym blacie.

– O, dziękuję – powiedziała, dotykając dołu jego pleców. Bardzo go pociągała. Nic nie mógł na to poradzić.

– Ładnie tu pachnie – rzekł. – Ty też ładnie pachniesz. – Wciągnął do płuc mieszaninę woni czosnku, cytrusów i zasyпки dziecięcej, podkreśloną nutą gałki muszkatołowej. Dłoń Zory zawędrowała niżej i pogładziła mu pośladki. – Muszę przynieść z auta zakąskę i krzesło – rzucił i już go nie było.

Wróciwszy, wręczył jej oliwki z oliwą i ziołami (nie miał pojęcia o sztuce kulinarnej, ale od kogoś w pracy usłyszał, że oliwki z oliwą i ziołami sprawdzają się w każdej sytuacji: „Oliwa i zioło, łapiesz?”), po czym dostawił krzesło do stolika na dwie osoby (do tej pory widywał wyłącznie stoły dla co najmniej czterech osób).

Zora posłała mu roziskrzone spojrzenie i zapytała:

– Gotowy, żeby poznać Brunka?

Gotowy... Nie do końca wiedział, co przez to rozumieć. Odnosił wrażenie, że Zora wszystko przeinacza i że powinna właściwie pytać Brunona czy tam Brunka, czy jest gotowy poznać jego. Mimo to potaknął.

Za zamkniętych drzwi w głębi przedpokoju dobiegały słabe dźwięki fletu.

– Brunek? – zawołała Zora.

Melodia umilkła. Raptownie rozległ się czyjś szczekliwy, skowyczący głos:

– Co tam?

– Ira już jest! Wyjdź się przywitać!

Odpowiedziała jej cisza. Nie było żadnej reakcji. Przez długi czas nikt nie wykonał żadnego ruchu. Ira uśmiechnął się uprzejmie.

– Niech sobie gra – rzekł.

– Zaraz wracam – oznajmiła Zora, ruszając w głąb domu.

Zapukała do pokoju Brunona i weszła do środka, zamykając drzwi za sobą. Przez moment Ira stał beczynnie, ale w końcu złapał korkociąg, otworzył przyniesione wino i się napił. Zora pojawiła się w kuchni parę minut później.

– Brunek ma dziś jeden ze swoich humorków – westchnęła.

Trzasnęły drzwi i chłopak skierował się do kuchni, ciężko człapiąc. Był boso, w samej koszulce i spodenkach gimnastycznych. Na nogach sypały mu się już włoski, czarne brwi krzewiły się po męsku na czole, formując literę V. Niewysoki, ale muskularny, z szerokimi barkami i kłocowatymi udami, skrzyżował ramiona na piersi i oparł się o ścianę, przybierając pozę znużonego wojownika.

– Brunek, poznaj Irę – odezwała się Zora.

Ira odstawił kieliszek i wyciągnął rękę na powitanie. Brunon opuścił ręce, ale nie wymienił uścisku dłoni. Zadarł tylko brodę i naburmuszył się jeszcze bardziej. Ira sięgnął po kieliszek.

– No więc, dobrze cię wreszcie poznać. Słyszałem o tobie tyle dobrego... – Nie potrafił sobie przypomnieć niczego takiego.

Brunon zerknął na salaterkę.

– Co to za zielone ohydztwo na oliwkach. – Ponieważ nie było to właściwie pytanie, nikt nie zareagował. Zwracając się do matki, Brunon dodał: – Czy mogę już wrócić do swojego pokoju?

– Tak, kochanie – odparła Zora. Irze wyjaśniła: – Ćwiczy do konkursu instrumentów dętych, który ma się odbyć w przyszłą sobotę. Bardzo poważnie do tego podchodzi.

Gdy chłopak powędrował do siebie, Ira nachylił się, żeby pocałować Zorę, ale odsunęła się kawałek.

– Brunek może coś usłyszeć – szepnęła.

– Chodźmy do restauracji. Tylko we dwoje. Zakąska mi nie wyszła.

– Nie, nie możemy zostawić Brunona samego. Ma dopiero szesnaście lat.

„Ja w jego wieku pracowałem w hucie!” – byłby odpowiedział Ira, gdyby w ostatniej chwili się nie rozmyślił.

– A nie mógłby posiedzieć z przyjaciółmi?

– Obecnie nie przynależy do żadnej grupy rówieśniczej – rzekła obronnym tonem Zora. – Niełatwo mu znaleźć kolegów na tym samym co jego poziomie intelektualnym.

– No to wypożyczymy dla niego film – naciskał Ira. – *Pardon*, obraz filmowy. Zagraniczną produkcję, skoro tak poważnie do wszystkiego podchodzi. Dokument. Wypożyczymy dla niego zagraniczny dokument!

– W domu nie ma wideo.

– W domu nie ma wideo?

W trakcie tej wymiany zdań Ira zdążył znaleźć szufladę ze sztuccami i pomógł nakryć do stołu. Kiedy usiedli do posiłku i napełnili kieliszki winem, nieoczekiwanie dołączył

do nich Brunon, który przysiadł się nieproszony. Wiosenne spaghetti trafiło do wielkiej miski, razem z tartym serem.

– Tak jak lubisz, Brunku – powiedziała Zora.

– No, Brunon. Do której chodzisz klasy?

Chłopak przewrócił oczyma.

– Do pierwszej licealnej.

– Czyli niedługo wyjedziesz na studia – niechący rzekł na głos Ira.

– Tak jakby – odparł Brunon, zanim rzucił się na spaghetti.

– No więc... jakie masz jeszcze przedmioty oprócz muzyki? – zagaił znowu Ira po niezręcznej chwili ciszy.

– Na muzykę chodzę po lekcjach – sprostował chłopak z pełnymi ustami. – Zostałem wybrany do olimpiady międzystanowej.

– Do olimpiady międzystanowej! – powtórzył Ira. – A czy w szkole masz może historię?

– Uczą się o amazońskim lesie deszczowym – wtrąciła Zora. – Przerabiają to od przedszkola.

Ira z markotnym zapachem siorbnał wina – sam zbyt często błąkał się zaśliniony po pustyni swego życia, nie wspominając o przypadkach ataków na własną kruchą świadomość przy okazji posiłków – i nieco skapnęło mu na koszulę.

– Na litość boską, spójrzcie tylko. – Potarł płamę serwetką, po czym z przymilnym uśmiechem podniósł spojrzenie na Brunona. – Każdemu może się zdarzyć – stwierdził, mrugając do chłopaka.

– Mnie na pewno nie – mruknął Brunon.

Ira dalej pocierał płamę. Myślami krążył wokół swojej książki. *Chociem gachem twojej mamy, przyjaciel ze mnie nieskrywany*. Uwielbiał rymy. *Brzdęk! Głupi jak sęk!* Były takie melodyjne i radosne w obliczu dennych sytuacji.

Brunon zaczął delikatnie stukać stopą nogę matki. Zora figlarnie odpowiedziała tym samym i wkrótce oboje kopali się pod stołem na całego, w ferworze zabawy osunawszy się lekko na krzesłach, podczas gdy Ira udawał, że niczego nie zauważa, i dziabnął sałatę krawędzią widelca, zbyt wystraszony, żeby porządnie podnieść na nich wzrok. Po kilku minutach – gdy kopanina ustała, a Ira wykrzyknął: „Pyszna kolacja, Zoro!” – wszyscy wstali i uprzątnęli stół, wynosząc brudne naczynia do kuchni i dokładając je do sterty czekającej na mycie w zlewie. Kiedy Ira od niechcenia odkręcał ciepłą wodę, stojący za jego plecami Zora i Brunon zaczęli się wzajemnie przepychać, poszturchując barkami. Rzuciwszy okiem przez ramię, zobaczył, że Zora nagle robi krok do tyłu i przybiera zapaśniczą pozycję wyjściową, po czym Brunon skoczył ku niej, przerzucił ją sobie przez ramię i pognął do salonu, gdzie ze śmiechem cisnął matkę na kanapę.

Ira zastanawiał się, czy powinien się do nich przyłączyć, czy może raczej wyjść.

– Wciąż potrafię cię przygwoździć, Brunku, kiedy to robimy w łóżku – skomentowała Zora.

– Akurat – skwitował chłopak.

Chyba jednak była pora się zbierać. Postanowił, że następnym razem przytarga odtwarzacz wideo i po prostu zabierze Zorę do restauracji.

– Patrzcie, która się zrobiła godzina! Miło było cię poznać, Brunon – powiedział, potrząsając wielką, wiotką dłonią chłopaka.

Zora stała tuż obok, wstrzymując oddech. Odprowadziła Irę do auta, pomagając mu wynieść krzesło i salaterkę.

– Wspaniała kolacja – powiedział Ira. – A z ciebie wspaniała kobieta. Masz bardzo bystrego syna, przy którym wydajesz się jeszcze bardziej urocza.

Zora promieniała, najwyraźniej odebrało jej mowę ze szczęścia. Gdyby tylko Ira wiedział, jak prawić takie wydumane bzdury żonie, nigdy by go nie zostawiła.

Cmoknął Zorę w policzek – zapasy tylko podniosły temperaturę jej ciała i wzmocniły przyjemną muszkatołową woń – a potem jeszcze raz, w szyję koło ucha. Wracając samotnie do domu, za kierownicą myślał o zadzierzganych w czas wojny wielce niestosownych związkach erotycznych, szalonych romansach wypichconych naprędce przez rodzaj ludzki celem wystrychnięcia śmierci na dudka. Włączył radio: wiadomości z Bliskiego Wschodu były tak surrealistyczne i ponure, że gdy padła informacja o tonażu bomb planowanych dla Bagdadu, poczuł, jak ze zdumienia opada mu szczęka. Aż zjechał na pobocze, oświetlił kabinę i popatrzył w lusterko wsteczne, aby się zobaczyć w takim stanie. Wcześniej opadu szczęki doznał tylko raz – otrzymawszy papiery rozwodowe od Marilyn (to dopiero było zdziwienie i strach, to dopiero była bomba) – i nie zdążył wtedy przejrzeć się w lustrze. Teraz nadrobił to niedociągnięcie. I przekonał się, że z opadniętą szczęką nie jest mu do twarzy; poblady z szoku wyglądał nieco głupkowato. Choć nie była to prawdziwa samowiedza, musiał się nią zadowolić, gdyż życie często bywa długie, ale rzadko jest pouczające i człowiekowi zazwyczaj muszą wystarczyć rzucane przez nie marne resztki.

Uruchomił ponownie silnik i ruszył powoli. Zdążyło się rozpadać. Na rzęsście oświetlonym skrzyżowaniu, przy którym były aż dwie stacje benzynowe, jedna z logo QT, druga – KFC, stało kilkunastu młodych ludzi w żółtych płaszczach przeciwdeszczowych z kapturami, trzymających znaki z wypisanym ZATRĄB, JEŚLI JESTEŚ ZA UTRZYMANIEM POKOJU. Ira napał na klakson najpierw dłonią, a potem całym ramieniem. Inni kierowcy robili to samo i wkrótce ruch zamarł – kongregacja turkawek żałobnych! – przy akompaniamencie chóralnego jałowego gęgania i szmeru wycieraczek czyszczących wachlarzowate powierzchnie zalanych nocnym deszczem szyb samochodowych. Ani jedno auto nie opuściło skrzyżowania przez dwie zmiany świateł. Jakkolwiek idiotyczny i solipsystyczny mógł się wydawać ten nagły przejaw obywatelskiej troski, chwila była przepiękna.

Pomimo dysleksji i braku wyobraźni Bekka była wysoce inteligentna. Ira to przeczuwał, odkąd z powodu choroby musiała zostać w domu i znudzona i rozwzdychana pytała go:

– Tato, kiedy to dzieciństwo wreszcie się skończy?

Był to przejaw geniuszu! Niejedyny zresztą. Jego córka pozostawała na przykład kompletnie głucha na męski głos. I zawsze bardzo uważnie sprawdzała jedzenie. Z ciekawością i wahaniem przyglądała się antywojennym hasłom pstrzającym sąsiednie trawniki. WOJNA NIE JEST DROGĄ DO POKOJU – przeczytała raz z mozołem. Po czym skomentowała:

– Też coś, przecież to oczywiste!

WOJNA TO ŻADNA ODPOWIEDŹ – głosiło inne hasło.

– Bez sensu – oświadczyła ojcu. – Wojna to jak najbardziej odpowiedź. Odpowiedź na pytanie, co George Bush wkrótce wywoła.

Ilekróć Bekka mieszkała u niego, po przebudzeniu opowiadała mu swoje sny.

– Śniło mi się, że spacerowałam z dwiema koleżankami i że spotkałyśmy wilka. Ale dogadałam się z nim. Powiedziałam: „Nie jedz mnie. Tamte dwie mają na sobie więcej mięsa”. Wilk na to odparł: „Dobra”. Dobiliśmy targu i rozeszliśmy się każde w swoją stronę.

Albo:

– Śniło mi się coś dziwnego. Byłam złą wróżką.

Bekka była świadoma zamętu we własnej duszy i miała silną wolę przetrwania. Czyż to nie świadczyło o jej geniuszu emocjonalnym?

Pewnego ranka oznajmiła:

– Śniło mi się coś naprawdę przerażającego. Było tornado i ono miało w środku ludzką twarz. I ja je poślubiłam! – Kiedy Ira się na to uśmiechnął, nadąsała się. – Tobie, tato, może się to wydawać śmieszne, ale ja się okropnie bałam.

Zerknął raz do jej pamiętniczka i zobaczył taki wiersz:

Czas mknie.

Czas stoi w miejscu.

Co za różnica?

Taka, że stoi w miejscu.

Nie miał pojęcia, co to znaczy, ale wiedział, że wiersz jest niesamowity. Na drugie dał jej Klio, po muzie historii, nic więc dziwnego, że jej zdaniem wszystko się

rozbijało o stojący w miejscu czas – cokolwiek to właściwie znaczyło. Sam miał wrażenie, że jest świadkiem historii, obserwując ją z najgorszego zaścianka, z krainy piwa i golfa, horyzontu barwy uspokajającej srebrzystej szarości, nieba koloru rtęci, zza okien utkanych folią i zaklejonych taśmą izolacyjną, tak że chwilami mu się zdawało, iż patrzy na życie z plastikowego pojemnika, niczym niedojedzona resztką spoglądająca w tłustą mgłę świata. *Czas mknie. Czas stoi w miejscu.*

★

Do poważniejszego bombardowania doszło w pierwszy dzień wiosny.

– To już – rzucił Ira do automatycznej sekretarki Mike’a. – Zaczęło się.

Zora zatelefonowała do niego z pytaniem, czyby nie wybrał się do kina.

– Jasne – odparł. – Z miłą chęcią.

– No więc zastanawialiśmy się nad tym nowym filmem ze Schwarzeneggerem, ale Brunon wolałby jednak zobaczyć ostatnią produkcję Mela Gibsona.

My. Chodził teraz z licealistą. Nie robił tego nawet wtedy, gdy sam był w liceum. No dobra, przekona się, co tyle lat temu stracił.

Podjechali po niego za dwadzieścia siódma, a ponieważ Brunon nie wykonał żadnego ruchu, by zwolnić fotel z przodu, Ira zajął miejsce na tylnej kanapie hondy Zory, stykając nogi kolanami i trzymając je pod kątem jak amazonka w damskim siodle. Zora prowadziła ostrożnie, bynajmniej nie jak wariatka, za jaką ją brał. W efekcie spóźnili się na film z Gibsonem i musieli zadowolić się Arnoldem. Ira wcisnął pieniądze bileterowi, rzucając: „Trzy normalne”, po czym minęli bramkę, zaciskając w dłoniach kupony kontrolne wydruków.

– Czyli jednak lubisz Arnolda Schwarzeneggera? – zagaił chłopaka, kiedy przemierzali jeden z wyłożonych czerwonym chodnikiem korytarzy.

– Niezupełnie – odburknął Brunon.

Chłopak usiadł między nimi dwojgiem i podawali sobie z rąk do rąk mały kubeczek popcornu, dopóki Ira nie zerwał się z miejsca, aby kupić dokładkę w holu – najpierw raz, potem drugi, co w pewnym sensie było mu na rękę, gdyż kwestie Arnolda, choć odrobinę mniej głupie niż kiedyś, dla niego nadal były zbyt głupie. Po seansie, gdy wracali na parking, Brunon i Zora odgrywali sceny walki z filmu, zderzając się ramionami i skacząc sobie na plecy z ogromnym, rozchichotanym entuzjazmem. W aucie Ira znów wylądował na kanapie.

– Pojedziemy coś zjeść? – zawołał z tyłu.

Oboje, Zora i Brunon, milczeli.

– No, co powiecie na kolację? – zagadnął jeszcze raz wesołym tonem.

– Masz ochotę, Brunek? – zapytała Zora. – Zgłodniałeś?

– Nie wiem – odparł chłopak, wyglądając posępnie przez okno.

– Podobał ci się film? – zapytał Ira.

Brunon wzruszył ramionami.

– Nie wiem.

Poszli do grill-baru, gdzie zamówili żeberka i kurczaka.

– Pozwól, że tym razem ja zapłacę – powiedział Ira, chociaż Zora nigdy nie partycypowała w kosztach. Wolał oszczędzić im wszystkim skrępowania.

– Och, no dobrze – odrzekła.

Po kolacji Zora wysadziła go przy krawężniku. Stał pod domem przez dobrą minutę, machając. Brunon pokazał mu grzbiet dłoni, nawet na niego nie patrząc. Zora machała energicznie nad dachem auta, wystając z otwartego okna. Odprowadzał ich wzrokiem, gdy oddalali się w dół przecznicy, aż zniknęli za rogiem. Następnie wszedł do domu i przygotował sobie drinka z sokiem żurawinowym i rumem. Włączył wiadomości telewizyjne i oglądał bombardowania. Ponieważ była noc, niewiele dało się zobaczyć.

★

Parę dni później zaczął się kolejny miesiąc, miesiąc jego urodzin. Wrażenie, iż czas leci, zostało zdaniem Iry wymyślone po to, aby ludziom się wydawało, że życie niesie więcej niż w rzeczywistości. A nawet że w starciu z czasem ludzka egzystencja jest górą. Czas uciekał tak prędko, że pod wieloma względami nie zostawiał żadnych śladów. Ludzie żyli, unikając jego kaleczących ciosów, jak owady bębniących kropli deszczu.

– Przez naszą krótkowieczność czas nie ma nad nami żadnej władzy – zauważył na głos, zwracając się do Bekki i wierząc, że go zrozumie, ona jednak, jakby nigdy nic, dalej głaskała koty.

W domu zaczynało powoli śmierdzieć słodko-cierpką wonią kociego moczu, ale ani jemu, ani dziewczynce to nie przeszkadzało. Była wiosna! Za miesiąc robi się maj, za którym nie przepadał. Czemu maj, a nie raj albo złąj? Chociaż nie, złąj lepiej nie.

Zora zadzwoniła do niego i ostrym tonem oznajmiła:

– Sama nie wiem. Chyba powinniśmy ze sobą zerwać.

– Tak myślisz?

– Tak. To donikąd nie prowadzi. Nasz związek nie rozwija się w sposób dla mnie przewidywalny. Uważam, że nie powinniśmy tracić nawzajem swego czasu.

– Naprawdę?

– Niektórym to może odpowiadać, ale wyjście do restauracji, kino i łóżko nie mają wiele wspólnego z moim wyobrażeniem związku dwojga ludzi.

– To może zrezygnujemy z chodzenia do kina?

– Jesteśmy dorośli...

– Racja. Chciałem powiedzieć: tak?

– ...zatem jaki sens ma ciągnięcie tego, skoro od razu widać, że są pewne przeszkody i nie wiadomo, dokąd to zmierza? Coraz trudniej zachować człowiekowi wiarę. Zdaję sobie sprawę, że zaczęliśmy się spotykać niedawno, lecz już na tym etapie jakoś nie widzę nas jako pary.

– Przykro mi to słyszeć. – Siedział w swojej kuchni, z trudem hamując płacz.

– Po prostu przejdźmy nad tym do porządku dziennego – zaproponowała z łagodną stanowczością.

– Naprawdę? Serio tego właśnie chcesz? Czuję się okropnie...

– Prima aprilis! – wrzasnęła do słuchawki.

Serce podeszło mu do gardła, po czym opadło na wysokość okrężnicy i płynnie wróciło pod żebra, w miejsce, do którego przyciskał kurczowo rękę. Czy jest tu lekarz albo chociaż defibrylator, którego mógłby użyć?

– Że co? – zapytał słabym głosem.

– Prima aprilis! – powtórzyła ze śmiechem. – Jest pierwszy kwietnia.

– Chyba – powiedział, lekko sapiąc – chyba to jeden z tych dowcipów, które są tym zabawniejsze, im dłużej się o nich myśli.

★

Nigdy przedtem nie miał do czynienia z chorymi umysłowo, ale teraz bardziej niż kiedykolwiek skłaniał się ku przekonaniu, że prawo międzynarodowe powinno stanowczo zakazywać im zbyt atrakcyjnego wyglądu.

– Jak tam Zora? – spytał go Mike przy piwie, na które wyskoczyli po pracy.

Zdążyli już przerobić temat wojny i zeznania podatkowego Dicka Cheney'a, dopiero co opublikowanego w prasie. Czemu jeszcze nie doszło do rewolucji? Czyżby ludzie byli zanadto zajęci tenisem, seksem i cebulkami kosaćca? Marksizm na wiosnę bywał jakiś sflaczały. Ponieważ Ira właśnie znalazł człowieka do pomalowania domu, miał

na trawniku aż dwa znaki. Jeden, niebieski, głosił: WOJNA TO ŻADNA ODPOWIEDŹ, drugi slogan zaś – wypisany z tyłu na czarno-żółto – brzmiał: FIRMA MALARSKA JENKINSA TO ODPOWIEDŹ!

– O, Zora jest super – powiedział Ira i umilkł. – Super. Po prostu super. Nie znasz może jakichś innych samotnych kobiet?

– Poważnie?

– Chodzi o to, że Zora nie jest chyba całkiem zdrowa na umyśle...

Ira wspomniał wczorajszą kolację, przy której nieoczekiwanie oświadczyła mu: „Twoje usta podobają mi się najbardziej wtedy, gdy podczas seksu robisz ten dziwny grymas”, po czym tak straszliwie wykrzywiła twarz, że poczuł się, jakby wymierzyła mu policzek. A później wieczorem złapała rozkładany parasol, rzuciła „Patrz!” i przyłożywszy sobie rączkę do kroku spodni, zwolniła guzik mechanizmu prostującego druty na podobieństwo kreskówkowego wzvodu. Ira nie wiedział, z kim naprawdę ma do czynienia w wypadku Zory, aczkolwiek pragnął odpuścić, dać jej taryfę ulgową, interpretować wątpliwości na korzyść oskarżonej, paradoksalnie wykazując się wyrozumiałością, której odmówił własnej żonie. Nie dopuszczał do siebie myśli, że przeżył już całe pisane mu szczęście, zaznawszy go z Marilyn i Bekką, gdy byli jeszcze wszyscy razem. Przejazdźka, wysiadka – ze wszystkich sił odrzucał możliwość, że jego marzenie o rodzinie spełniło się na dość długo, aby dręczyć go do końca życia, lecz nie na wystarczająco długo, aby dać mu się nasycić. Uznał, że torturowanie się ideą szczęścia rodzinnego w sytuacji, gdy nie ma się rodziny, jest stosunkowo nowym nabytkiem w historii ewolucji. Zapewne jeszcze sto lat temu ludzie patrzyli na to całkiem inaczej. Wyobraził sobie wystawę historyczną. Wyobraził sobie kukiełki.

– Zdrowie psychiczne to sprawa względna – stwierdził Mike, marszcząc w zamyśleniu czoło. – Zora jest bardzo atrakcyjna fizycznie, nie sądzisz?

Ira wspomniał jej śliczną śliską skórę, ciemne cudne włosy, gibką sylfidzią sylwetkę, szalony historyczny śmiech. Przy jakiejś okazji, aczkolwiek niezbyt długo, upierała się, że Man Ray i Ray Charles byli braćmi.

– Jest atrakcyjna – przyznał. – Ale w twoich ustach zabrzmiało to jak komplement.

– W chwili obecnej – odrzekł Mike – kojarzy mi się dobrze wszystko, co nie ma nic wspólnego z zabijaniem.

– No tak – bąknął Ira.

– A, rozumiem. Będziemy się porozumiewać wyświechtanymi półsłówkami, jak nastolatki na wiosnę.

– Zajob z niej, jak to się mówi.

Mike się pogubił.

– Zajob jak w „zajebista”? – spytał niepewnie.

– Raczej jak w „pojebana”. Zerwałbym z nią, gdybym potrafił. Zwłaszcza przy

obecnej sytuacji międzynarodowej. Nie jestem w stanie stawić czoła globalnemu szaleństwu bez odrobiny bliskości, przyjaźni...

– Nie wolno wykorzystywać innych jako żywych tarcz – rzucił Mike i zamyślił się na chwilę. – Chociaż... sam nie wiem... może wolno.

– Nie umiem wyzbyć się nadziei, wrażenia, że coś z tego będzie... nic na to nie poradzę. Tak, wiem, że rozwód to traumatyczne przeżycie, nie musisz mi tego mówić. Cierpienia rozwodników to tajemnica narodowa! Nie w tym jednak rzecz. Nie umiem zrezygnować z miłości. Nie chcę żyć bez miłości. Potrzyмай mnie za rękę... – powiedział Ira. Oczy zaczęły mu się pocić. Raz, gdy będąc dzieckiem, zgubił się i matka go po jakimś czasie znalazła, na pytanie, czy się bał, odparł, pociągając nosem: „Raczej nie. Ale w pewnym momencie zaczęły mi się pocić oczy”.

– Słucham? – zdumiał się Mike.

– Nie mogę uwierzyć, że cię o to poprosiłem – rzekł Ira, jednakże Mike już zdążył ująć go za rękę.

★

Haszysz był niezły. Pastyłki nasenne były niezłe. W pracy Ira szwendał się po salach wystawowych na wpół nabuzowany, na wpół śpiący. Mając urodziny za pasem, udał się jak co trzy lata do lekarza na badania okresowe i wyrecytowawszy krótką listę niejasnych symptomów, usłyszał równie mglistą diagnozę.

– Łagodne napadowe zawroty głowy. Pseudogościec. Albo może aura migrenowa. – Wszystko to w uszach Iry brzmiało jak nazwy kapeli rockowych. – Masz ciśnienie młodego mężczyzny i taki sam umysł – dodał jego lekarz, stary znajomy z pola golfowego.

Zdrowie to czysta abstrakcja, doszedł do wniosku Ira. W Niedzielę Palmową – miał wydrukowane w kalendarzu wszystkie gojowskie święta – przypadły jego urodziny, kiedy więc zadzwoniła do niego Zora, wyrzucił z siebie tę informację.

– Naprawdę? – zapytała. – No, staruszkule! Źle ci samemu w łóżku? – Ira postanowił zamieścić tę rymowaną w swojej książce. – Przyjdę w niedzielę pomachać ci palemką. Jeśli wiesz, co mam na myśli. – Czyż nie była urocza?

Cholera, była, i to jak. Pojawiła się z tortem czekoladowym i z Brunonem w odwodzie.

– Wszystkiego najlepszego! – rzekła. – Brunon pomagał mi lukrować.

– Kto by pomyślał – rzucił Ira, poklepując chłopaka po plecach w braterskim

uścisku, z którego ten usiłował się wywinąć, nie zdoławszy wcześniej go uniknąć.

Zamówili chińszczyznę i jedząc, rozmawiali o szkole, sprawdzianach rocznych, wychowawcach i Jamesie Galwayu, co do którego nie mogli się zdecydować, czy jest uduchowionym gejem, czy bezdusznym gojem. Później Zora przyniosła tort. Ponieważ nie mieli świeczek, Ira zapalił zapałkę i wetknął ją w lukier, a następnie zdmuchnął. Życzenie, które pomyślał, nie było sprecyzowane i dotyczyło ogólnie dobrostanu Bekki. Wyłącznie jej. Nie zawarł w swoim życzeniu nikogo innego. Ani Irakijczyków, ani amerykańskich żołnierzy, ani Mike'a, który potrzywał go za rękę, ani Zory. Tak zawężone zainteresowanie nie rokowało dobrze tej planecie.

– Usiądziemy na Brunku? – Zora śmiała się i napierała swoją słodką pupą na chłopaka, który w tej chwili odpoczywał rozwalony na kanapie. – No, dalej! – zawołała do Iry. – Usiądźmy na nim! – Mówiąc to, sama już siedziała na biodrze protestującego żartobliwie chłopaka.

W tym momencie Ira zmierzał do barku. Wydawało mu się, że ma trochę bourbona. Lodu nie potrzebował.

– Napijesz się bourbona? – zapytał przez ramię Zorę, która właśnie mocowała się z synem. Podniosła spojrzenie, lecz nie odpowiedziała. Brunon także tylko popatrzył na niego w milczeniu.

Nie zwracając na to uwagi, Ira nalał sobie szklaneczkę. Zora wstała i podeszła do barku. W tym momencie Ira zajadał się tortem i popijał bourbonem. Miał trzustkę z kamienia.

– Chyba już pójdziemy – oznajmiła. – Jutro Brunek ma szkołę.

– Jasne, nie ma sprawy – odparł Ira, przetykając. – To znaczy szkoda, że musicie już iść.

– Na szkołę nie ma rady. Zabiorę resztę tortu na jutrzejszy lunch. Brunon przepada za czekoladą.

Irę zalała fala ciepła i smutku. Tort był jej jedynym prezentem dla niego. Zamknął oczy i przytulił twarz do Zory.

– Nie teraz – szepnęła. – To go denerwuje.

– Jasne – odparł Ira. – Odprowadzę was...

Na zewnątrz uścisnął ją szybko. Obeszła auto dokoła i zajęła miejsce za kierownicą. Ira wrócił na chodnik i postukał w okno pasażera, żeby pożegnać się z Brunonem. Jednakże chłopak nawet się nie odwrócił. Uniósł rękę, pokazując jak zwykle grzbiet dłoni.

– Do widzenia! Dziękuję za wszystko! – zawołał Ira.

Gdy zawodziła czułość, jej miejsce zajmowała uprzejmość. Ale na twarz Iry znów wypłynęły rumieniec i wyraz smutku. Zora zapaliła reflektory, uruchomiła silnik i honda pomknęła w dół ulicy.

★

W stukniętej prywatnej szkole, do której Marilyn przed laty uparła się posłać Bekkę, uczniowie i nauczyciele gorliwie unikali tematu wojny. Klasa Bekki uczyła się szydełkować na palcach, równocześnie rozważając potencjalne ruchy na giełdzie papierów wartościowych. Najlepiej wszystkim szło z akcjami niemymi Krafta, General Electric i General Motors; obserwowanie co rano, jak te firmy się plasują w ramach indeksu Dow Jones, wychodziło też na zdrowie dzierganym przez dzieci szalikom. Miało to coś wspólnego z prawą i lewą półkulą mózgu. I pomyśleć, że za to Ira bulił ponad dziewięć tysięcy dolarów rocznie. Nie chodzi o to, że miał z tym jakiś problem. Dopóki Bekka była bezpieczna – a alarm co rusz zmieniał się z pomarańczowego w czerwony i z powrotem, choć nie podawano żadnych konkretnych informacji, nie licząc taśmy izolacyjnej i tych ocojebnych kolorów – dopóty Irze nie przeszkadzało, że szkolił ją na dziergającą maklerkę. Na studiach sam aż się rwał, by jak najwięcej wycisnąć z systemu. Jednakże teraz nie był już w stanie oglądać wiadomości. Zapakował telewizor razem z odtwarzaczem wideo i zaniósł jedno i drugie do Zory.

– Proszę – powiedział. – To dla Brunona.

– Jesteś taki miły – odparła i pocałowała go koło ucha, a potem w ucho. Niewykluczone, że był w niej do szaleństwa zakochany.

– Zepsuł się – oznajmił córce, kiedy pojawiła się w weekend i zapytała o telewizor. – Jest w naprawie.

– Spoko – skwitowała Bekka, rzucając na ziemię wydziergany szalik, żeby koty miały się czym bawić.

★

Kiedy następnym razem zabierał Zorę do restauracji, zaprosiła go do środka.

– Wejdz, Brunon ogląda film na twoim wideo.

– Podoba mu się? Powinienem się przywitać?

Zora wzruszyła ramionami.

– Jeśli chcesz.

Ira chciał. Telewizor nie stał w salonie, tylko w sypialni Zory, gdzie rozwalony na narzucie łóżka leżał na wpół nagi Brunon, zupełnie jak on sam kilka wieczorów

wcześniej. Chłopak oglądał *Czarodziejski flet* Bergmana.

– Cześć, Brunek.

Chłopak nie zareagował, prawdopodobnie nawet go nie usłyszał. Pojawiła się Zora i przytknęła zimną szklankę do uda syna.

– Auć! – wrzasnął Brunon.

– Masz tu swoją wodę – odparła, przebiegając palcami po jego nodze.

Brunon wziął szklankę i odstawił na podłogę. Śpiew z tego samego ekranu telewizyjnego, który tak niedawno ukazywał bombardowanie Bagdadu, wydał się Irze absurdalny jak jakiś żart. Ale Brunon był zafascynowany.

– No dobrze, miłego seansu – rzucił Ira, który właściwie nie oczekiwał podziękowań za sprzęt, lecz mimo to poczuł przygnębienie na myśl o tym, że go jednak ominą.

W drodze do drzwi wyjściowych jego wzrok raz jeszcze spoczął na rzeźbach w kącie salonu. Przybyły dwie nowe. Nieco bardziej abstrakcyjne, zrobione w całości ze starych puszczalek i innych dęciaków, aczkolwiek w dalszym ciągu wyraźnie chłopięce, o czym świadczyły dobitnie sterczące fujarki.

– Flet prosty byłby za duży – wyjaśniła Zora moment po tym, jak Ira stwierdził:

– Zatem nie próżnowałaś!

W restauracji Nancy Wilson śpiewała z płyty *For All We Know*. Ściany – tak jak uczucia – zwodziły, udając otwarte okna z pięknym widokiem, chociaż tylko głupiec mógłby się na to nabrać. Menu – tak jak seks – pełne było przeróżnych makabrycznych delikatesów: policzków, ozorów, gruczołów. Świeca – tak jak miłość – płonęła niepewnie, odbijając się w mosiężnej przykrywce cukiernicy i solniczce z pieprzniczką. Ira próbował przechwycić spojrzenie Zory, która zdawała się strzelać oczyma na wszystkie strony.

– Cieszę się, że jesteś tu ze mną – powiedział.

Przyszpiliła go wzrokiem i uśmiechem, momentalnie wszystko naprawiając. Była dobrą, miłą kobietą. Jakaś częścią siebie uparcie to powtarzał. Mieli wielkie szczęście, że się odnaleźli w tym zwariowanym świecie, nawet jeśli tylko na krótko, nawet jeśli kiedyś znów mieliby być sami... Ale co to, po jej twarzy kapią łzy? Zbierające je kąciki ust wykrzywiają się w brzydki grymas?

– O nie, co się stało? – Sięgnął do jej ręki, ale ubiegła go, podnosząc dłoń do twarzy i zakrywając oczy.

– Tęsknię do Brunka.

Poczuł, jak serce mu lodowacieje wbrew jego najlepszym chęciom. To nic. Nazajutrz Wielkanoc. Wszystko wróci do życia.

– Chyba nic mu nie będzie?

– Ja nie... Nie wiem. To pewnie przez to, że przestałam brać antydepresanty.

– Leczyłaś się na depresję? – zapytał współczująco.

– Tak.

– Wtedy, gdy się poznaliśmy? – Przyszło mu do głowy, że to coś w rodzaju powtórki z *Kwiatów dla Algernona*.

– Tak, wtedy też. Zaczęłam dwa lata temu, po moim tak zwanym załamaniu nerwowym. – Zora uniosła obie ręce, aby zrobić znak cudzysłowu, jednakże mimowolnie rozczapierzyła wszystkie palce na podobieństwo pazurów drących powietrze.

Nie wiedział, co na to powiedzieć.

– Mam cię odwiedzić do domu?

– Nie, nie, nie. Choć może tak. Wybacz. Mam wrażenie, że spędzam z nim ostatnio za mało czasu. Tak szybko dorasta. Żałuję, że nie mogę się cofnąć w czasie... – Wysiąkała nos.

– Znam to uczucie.

– Wiesz, pamiętam, jak pewni moi znajomi opowiadali o podróży przez Pacyfik. Opuścili Australię rankiem jednego dnia i dotarli do Kalifornii wieczorem dnia poprzedniego. Pomyślałam sobie, że też bym tak chciała: przekraczać linię zmiany daty dopóty, dopóki Brunon nie stanie się znów małym chłopcem.

– Taaa – zgodził się z nią Ira. – Chętnie bym się przeniósł do dnia, w którym podpisywałem papiery rozwodowe. Zaproponowałbym kilka poprawek.

– Musiałbyś zabrać ze sobą pióro – zauważyła ni w pięć, ni w dziewięć.

Wpatrzył się w nią, by zapamiętać jej rysy.

– Nigdy bym się nie wybrał w podróż w czasie bez pióra – zapewnił ją.

Po chwili milczenia zauważyła:

– Wyglądasz na zmartwionego. Nie powinieneś tak marszczyć czoła. To cię postarza.

I zaczęła szlochać.

Znalazł jej płaszcz, odwiózł ją do domu i podprowadził pod drzwi. Ponad dachem lśnił ponuro krąg barwy młotkowanego niklu.

– Na świecie nastały ciężkie czasy – rzekł Ira. – Wszystkim jest ciężko. Wejdz do środka i strzel sobie porządnego drinka. Ludzie nie piją teraz tak jak kiedyś. Przez to ta cała sprawa z Irakiem: wojna abstynentów. Od czasu do czasu trzeba sobie golnąć, trzeba się rozluźnić i... – Pocałował ją w czoło. – Zadzwoń jutro – dodał, wiedząc, że tego nie zrobi.

Uścisnęła mu ramię i powiedziała:

– Dobrej nocy.

Cofając się na chodnik, dostrzegł przez okno sypialni od frontu, tej, w której telewizor strzelał barwnym ogniem i gdzie w półnagim stuporze leżał Brunon, że Zora wchodzi do pokoju, siada na łóżku, tuli się do syna, obejmuje go ramieniem i składa głowę w zagłębieniu jego szyi.

Ira ruszył szybko w dół ulicy. Czy problem leżał w nim? Czy okazał się zbyt staroświecki? Zawsze uważał się za nowoczesnego mężczyznę. Potrafił, przykładowo, zatrzymać się i zapytać o drogę. I robił to całkiem często! Oczywiście zdarzało się nieraz, że gapił się na przechodnia i pytał:

– Kto, do cholery, naopowiadał panu tych głupot?

Miał więc swoje ograniczenia.

★

Tego tygodnia nie wziął udziału w żadnym sederze, co go cieszyło. Nie był to najlepszy czas na uczestnictwo w ceremonii dziękczynnej upamiętniającej w jakikolwiek sposób rzeź bliskowschodnich chłopców. Wystarczyło, że zrobił to minionego roku. Tym razem wybrał bar: zawilgłą hałaśliwą norę U Sparky’ego, dokąd chadzał tuż po odejściu Marilyn. Przed rozwodem nie pił, lecz później zachodził na piwo i tosta z boczkim nawet przed południem. Drobne smutki i główniane radości były przepustką do baru. Te parę razy, gdy wpadł na Marilyn – jaki świat jest mały! – czuł się jak pies, który odnalazł właściciela. Tymczasem osoba, którą znał najlepiej ze wszystkich ludzi, jakby nigdy nic wysysała awokado i traktowała go jak powietrze. *Tu jestem, tu jestem, tu jestem!* U Sparky’ego, jak wiedział, był bezpieczny. Łądował tam po każdym takim niespodziewanym spotkaniu. Mógł siedzieć do woli i wyzalać się właścicielowi. Niektórzy odwoływali się do mądrości Marka Aureliusza, gdy chodziło o ból istnienia. Ira odwoływał się do Sparky’ego. Który właściwie nie miał za wiele do powiedzenia na ten temat. Zazwyczaj pochylał się nad kontuarem, przecierał brudną powierzchnię cuchnącą szmatą i radził: „Trza ciągnąć dalej ten wózek!”, po czym wybuchał gromkim śmiechem.

– Bourbon, czysty – złożył zamówienie Ira, zajmując stołek barowy najbliżej telewizora, aby jak najtrudniej było mu oglądać wiadomości o wojnie. Taką przynajmniej miał nadzieję.

Pozwolił, by gryzący, lepki eliksir rozpułynał się po ustach, i dopiero wtedy przełknął mocne, słodkie ciepło. Powtarzał to raz po raz, wychylając kolejne szklaneczki, aż był uwalony po pachy. Dopiero wtedy rozejrzał się po sali i spostrzegł, że wokół niego jest pełno ludzi siedzących na chromowo-winyłowych stołkach i robiących to co on.

– Wesołych świąt! – powiedział do nich Ira, unosząc szklaneczkę lewą ręką, tą, na której palcu wciąż tkwiła zakleszczona obrączka. – Zmarli powstaną z martwych! Zmarli już zmartwychwstali! Odszkodowanie zostanie pomniejszone! Mesjasz jest

pośród nas, szczypiąc się w rękę... ta drzemka była krótsza, niż się spodziewałem, co? Niechaj powstaną z grobów wszyscy umarli! Nikt tak naprawdę nie zginął. No dobra, Bóg obrócił się na moment, żeby obejrzeć powtórkę *Kocham Lucy*, ale już jest z powrotem. Nic straconego. Czysty zysk. Ten, który czuwa nad Izraelem, nie zdrzemnie się ani nie zaśnie[2]!

– Niech mu ktoś przyłoży – poprosił facet w niebieskiej koszuli siedzący przy drugim końcu kontuaru.

„The New Yorker” 2003

KRZAK JAŁOWCA

✱

W noc śmierci Robin Ross czekałam, aż przyjedzie po mnie mężczyzna, z którym umawiała się na długo przed tym, zanim my dwoje w ogóle się poznaliśmy. On się spóźniał, a ja zastanawiałam się, czy wspólna wizyta w szpitalu to dobry pomysł. Może jednak powinnam odwiedzić Robin sama. Rankiem zatelefonował do mnie jej kolega, ZJ, by poinformować:

– Kiepsko z nią. Nie wyjdzie ze szpitala głową do przodu.

– Jeszcze dzisiaj się z nią zobaczę – zapewniłam. Miałam się za osobę słowną i złożenie przeze mnie obietnicy było równoznaczne z jej dotrzymaniem. Chodziło nie tyle o konsekwencję w postępowaniu, ile raczej o zaklinanie rzeczywistości.

– Świetnie – skwitował ZJ, kierownik katedry teatru.

Kiedy Robin go o to poprosiła, zajął się wszystkim niczym mąż i obecnie nawet już się tak nie użalał nad jej losem. W latach osiemdziesiątych umierał na AIDS jego chłopak, tak więc – jak sam mówił – kwestie medyczne i prawne ostatnich kilku miesięcy nie były mu obce.

No a potem przyszło to czekanie, zrobiła się najpierw siódma trzydzieści, później ósma i w końcu pomyślałam, że Robin jest zmęczona i senna w swym metalowym szpitalnym łóżku i będzie mieć więcej sił nazajutrz rano. Zatem gdy mój mężczyzna wreszcie się zjawił, powiedziałam:

– Wiesz co? Jest już bardzo późno. Chyba lepiej będzie, jak złożę Robin wizytę jutro rano, powinna być wtedy przytomniejsza i silniejsza. Guz uciska na jej mózg, przez co jest zamroczone, biedactwo.

– Jak uważasz – odparł mój mężczyzna. A kiedy przekazałam mu, co powiedział ZJ przez telefon (o tym, że Robin nie wyjdzie ze szpitala głową do przodu), zmarszczył w skupieniu czoło. – A jak? – zapytał.

Nie spotykał się z Robin długo, ledwie parę tygodni, i nie zdążył jej dobrze poznać.

– Miała istny chlew w garażu – oznajmił mi przy jakiejś okazji. – Nie wierzyłem własnym oczom, co za badziewie tam trzyma!

Pokiwałam na to zgodnie głową, czując, że go zdobyłam; wprowadzie w moim garażu

też nie było idealnego porządku, ale co tam. Wygrałam z innymi kandydatkami za sprawą niesprecyzowanego uroku. Teraz powoli zaczynałam sobie zdawać sprawę, że mojego mężczyznę zbijał z tropu prawie każdy i że niebawem również ja wydam mu się niepojęta i nieatrakcyjna. Tak wyglądała scena randkowa w naszym miasteczku uniwersyteckim: mniej więcej raz na rok pojawiał się kawaler z odzysku, natychmiast rozchwytywany przez kolejne samotne kobiety w średnim wieku.

– Ja tam mogę się dzielić – śmiała się dawniej Robin. – Jestem w tym dobra.

– A ja nie – odpowiadałam wtedy. – Ani trochę nie potrafię się dzielić.

– Jest późno – powtórzyłam, zwracając się do mojego mężczyzny, i przyrządziłam dwa drinki z dżinem, po czym zapaliłam świece.

Piła każda kobieta, którą tutaj znałam – i to codziennie. Odrzuciwszy styl życia naszych matek, szukałyśmy prądu błędzącego matczynej miłości w najmniej prawdopodobnych miejscach: alkoholu, mężczyznach, uczelni, rodzonych matkach i sobie nawzajem. Mnie jednej z grupki przyjaciółek – uczelnianych rozsąd, a przy tym żołnerek stacjonujących na daleko wysuniętym przyczółku sztuki, jak postrzegaliśmy same siebie – nie spotkało jeszcze nic złego.

Nazajutrz rano ubrałam się kolorowo: włożyłam radosne żółcienie. Robin niczego nie potrzebowała, ale i tak zrobiłam bukiet z margerytek, wepchnęłam łożki do styropianowego kubka i utkałam wilgotnymi chusteczkami higienicznymi, żeby się dłużej trzymały. Właśnie zmierzałam do wyjścia, gdy zadzwonił telefon.

– Już idę do szpitala – poinformowałam ZJ-a.

– Nie trudź się.

– Och, nie! – Na moment zaniewidziałam.

– Umarła minionej nocy. Około drugiej nad ranem.

Klapnęłam na krzesło, upuszczając styropianowy kubek z margerytkami i łamiąc dwie łożki.

– O mój Boże...

– Tak, wiem.

– Zamierzałam ją wczoraj odwiedzić, ale zrobiło się późno i pomyślałam, że lepiej złożę jej wizytę rano, gdy będzie bardziej wypoczęta. – Starłam się zapanować nad płaczem.

– Nie przejmuj się – rzekł.

– Okropnie się czuję – powiedziałam, jakby to miało największe znaczenie.

– Była w kiepskim stanie. Śmierć w jej wypadku to błogosławieństwo.

Wiedziałam, że sprawy potoczyły się bardzo szybko od diagnozy do progresji. Jednego dnia Robin wykładała na uczelni, a drugiego leżała na ostrym dyżurze, wprost na betonie pod drzwiami oddziału ratunkowego, ponieważ bała się zająć łóżko po kimś w sali (z powodu ryzyka zakażenia). W końcu i tak wylądowała w szpitalu, gdzie aż się roilo od zarazków innych ludzi. Spędziła tam tydzień, a ja ani razu jej nie odwiedziłam.

- Trudno mi w to wszystko uwierzyć.
- Wiem.
- A jak ty się czujesz? – zapytałam.
- Wolałbym się w to nie wdawać – odparł.
- Koniecznie do mnie zadzwoń, gdybyś czegoś potrzebował – zaofiarowałam pusto.
- I daj mi znać, kiedy odbędzie się pogrzeb.
- Oczywiście.

Wróciłam na górę i bez zdejmowania radosnych ciuchów położyłam się spać. Pościel wciąż lekko pachniała moim mężczyzną. Naciągnęłam kołdrę na głowę i leżałam zeszywniała, z napiętymi wszystkimi mięśniami. Nie byłam w stanie zmienić pozycji.

Musiałam zapaść w sen, i to na dość długo, bo kiedy usłyszałam dzwonek i odsunęłam kołdrę z twarzy, było już ciemno, chociaż w tamtym czasie słońce zachodziło około czwartej, tak że trudno było stwierdzić, która godzina, patrząc tylko za okno. Idąc na dół, zapalałam kolejne światła – w sypialni, w przedpokoju, na schodach. Włączyłam lampę na werandzie i otwierałam drzwi frontowe.

W progu stały Isabel i Pat.

– Mamy dzin, mamy resztę składników – oznajmiły, pokazując torby. – Chodź, idziemy do Robin.

– Myślałam, że umarła.

Pat skrzywiła się.

– Cóż, no tak – potwierdziła.

– Ten szpital był taki przygnębiający – dodała Isabel. Nie założyła sztucznej ręki. Nie nosiła jej od dłuższego czasu, chyba że odtwarzała czyjąś choreografię. – Ale teraz Robin jest już w domu i spodziewa się nas.

– Jak to?

– Przecież wiesz, że kobiecie trudno jest się rozstać z domem – odpowiedziała Pat.

Dwa lata wcześniej przeszła ciężki udar, który załatwił jej żywy temperament i pamięć krótkotrwałą, aczkolwiek uszkodzony, wracający do siebie mózg od czasu do czasu ciskał się rozpaczliwie i potraçał dźwigienkę, dzięki czemu Pat budziła się w jakimś szaleńczym amoku, znów przypominając dawną siebie, i mówiła: „Czuję się tak, jakbym przespała całe lata”, po czym trwała w tym stanie podniecenia przez wiele dni z rzędu, nie śpiąc, paplając, wspominając i malując obrazy, aż wreszcie znowu stawała się bierna i cicha. Przebywała na rencie inwalidzkiej, mieszkając ze studentką, która zapewniała jej całodobową opiekę.

– Może wszystkie nadużywamy dzinu – zauważyłam.

Przez chwilę panowało milczenie.

– Pijesz do wypadku? – wypaliła oskarżycielsko Isabel.

Rękę straciła w kraksie samochodowej. Zespół chirurgów przyszył ją z powrotem,

ale ramię nieprzerwanie krwawiło w miejscu przeszczepu i było niezwykle tkliwe – już pierwszy taniec na scenie, występ solo z licznymi piruetami i zwieszaniem się z liny, posłał krople krwi na publiczność – tak że po roku i krótkim, nieskutecznym flircie z nałogiem kodeinowym udała się do tej samej placówki z prośbą o usunięcie ręki, całej, miała dość, zrobiła, co mogła.

– Nie, skądże – zaprzeczyłam. – Nie piję do niczego.

– Ej tam, to jak, idziemy? – krzyknęła Pat. Najwyraźniej dźwigienka drgnęła.

– Robin czeka.

– Co powinnam przynieść?

– Co powinnaś przynieść? – Pat i Isabel wybuchnęły śmiechem. Pat upewniła się: – Żarty sobie stroisz, tak?

– Stroi sobie żarty – potaknęła Isabel. Pomacała rękaw pomarańczowego swetra, który wciąż miałam na sobie. – Do twarzy ci w tym kolorze. Gdzie kupiłaś?

– Nie pamiętam.

– Zupełnie jak ja – powiedziała Pat, po czym znów z Isabel dostały chichotków.

Wzłam buty, złapałam kurtkę i poszłam z nimi.

★

Prowadziła Isabel, trzymająca kierownicę jedną ręką. Kiedy zatrzymałyśmy się pod domem Robin, w środku było całkiem ciemno, lecz latarnie uliczne raz jeszcze podkreślały wiedźmowaty charakter tego miejsca. Ponieważ Robin pisywała sztuki na baśniowych motywach, zasadziła w ogrodzie – raczej chaotycznie – drzewa i krzewy najczęściej występujące na kartach baśni: jabłoń, jałowiec, leszczynę i krzaki róż. Pechowo nasza szerokość geograficzna nie sprzyjała uprawie tych gatunków. Nawet popodpierane i poobwiązywane ledwie sobie radziły, rosochate i patykowate, o tej porze roku zaś – pozbawione liści i przechylone wiatrem – sprawiały wręcz wrażenie uschniętych. Czy w ogóle jeszcze żyły, wiosna pokaże.

Jakim cudem mój mężczyzna zwrócił uwagę na garaż, skoro mógł wydać werdykt już na podstawie tego zwariowanego krajobrazu na zewnątrz? Gdy są wymówki, nie skaże żaden sąd.

Czemu jednak w ogóle zwracał uwagę na cokolwiek oprócz niej?

Zatrzymałyśmy się na podjeździe, obok auta Robin. Garaż z pewnością był zamknięty, zresztą nawet po ciemku dało się zobaczyć stosy pudeł piętrzących się za jedynym okienkiem od ulicy.

– Klucz jest pod wycieraczką – oznajmiła Isabel. Ponieważ nie miałam o tym pojęcia, zastanowiłam się, skąd ona może to wiedzieć. Tymczasem Pat schyliła się po klucz, otworzyła drzwi i wpuściła nas do środka. – Tylko nie zapalajcie świateł – dorzuciła Isabel.

– Jasne – szepnęła Pat.

Ponieważ dla mnie nie było to jasne, również szeptem zapytałam:

– Dlaczego mamy nie zapalać świateł?

– Z powodu policji – odpowiedziała Pat.

– Nie, nie z powodu policji – zaprzeczyła Isabel.

– W takim razie czemu?

– Nieważne. Po prostu zaczekaj chwilę i wzrok ci się przyzwyczai.

Stałyśmy w progu, wsłuchując się we własne oddechy. Nie szłyśmy dalej, żeby czegoś nie potrącić.

Nagle na wprost zamigotało słabe światło, jakby z drugiego końca korytarza. Nie widziałyśmy wyraźnie, ale po chwili wyłoniła się Robin, która wyglądała tak samo jak za życia, chociaż pod szyją miała zawiązaną białą bawełnianą apaszkę. Na tle jaskrawej bieli jej zęby nabrały żółto-brunatnego odcienia, aczkolwiek ona sama zachowała królewską postawę i taksujące spojrzenie. Uśmiechnęła się do nas, w tym do mnie – choć uśmiech, który mi posłała, wydawał się najmniej pewny. Później przyłożyła palec do ust i potrząsnęła głową, nie odezwaliśmy się więc. Skierowała się w naszą stronę.

– Przyszłaś – powiedziała ściszym głosem, zwracając się do mnie. – Brakowało mi ciebie w szpitalu. – Uśmiech stał się wymuszony i szacujący.

– Tak mi przykro – odparłam.

– Nic nie szkodzi, wszystko ci opowiedzą – dodała, wskazując Is i Pat. – Było to trochę zwariowane.

– Absolutnie zwariowane – potaknęła Pat.

– No i w efekcie – ciągnęła szeptem Robin – nie możemy się nawet uścisnąć. Przez to wtykanie wszędzie rurek i autopsję trzeba bardzo uważać. Głowa nie odpada mi tylko dzięki tej apaszcze.

Choć była mocno blada, trzymała się prosto, miała znów swoje ciemnorude włosy, a długie szczupłe ramiona krzyżowała na piersi. Była ubrana tak jak zawsze: w czarne dzinsy i niebieski sweter. Roztaczała nietypową dla siebie aurę władczej nieprzystępności, którą – jak sobie uświadomiłam – dotąd kojarzyłam z umarłymi. Przynęliśmy sobie krzesła i zajęliśmy kolejno miejsca.

– Może przyrządzić po drinku? – zaproponowała Isabel, wskazując na torby z dżinem i limonką.

– Postanowiliśmy przynieść ci prezenty – oświadczyła Pat.

– Ach tak? – bąknęłam, ponieważ niczego nie przyniosłam. Pytałam, co powinnam

zabrać, ale zbyły mnie śmiechem.

Robin popatrzyła na mnie.

– Jak zwykle trochę do tyłu, co? – Uśmiechnęła się sztywno.

Pat przekopywała właśnie jutową torbę z uszami, której wcześniej nawet nie zauważyłam.

– Namalowałam to dla ciebie – powiedziała, ostrożnie wręczając Robin małe, nieoprawione płótno.

Nie widziałam, co przedstawia. Robin przyglądała mu się przez naprawdę długi czas, po czym podniosła wzrok na Pat.

– Ogromnie ci dziękuję – szepnęła. Gdy tylko odłożyła obrazek na kolana, przekonałam się, że jest to zwykły kawałek czystego płótna.

Rzuciłam pożądlive spojrzenie w kierunku papierowej torby skrywającej butelkę z dżinem.

– A ja mam dla ciebie nowy taniec! – poinformowała podnieconym szeptem Isabel.

– Ach tak? – bąknęłam ponownie.

Robin znowu się do mnie odwróciła.

– Gapa z ciebie, hm? – Skrzywiła się, jakby mówienie sprawiało jej ból. Przycisnęła obrazek Pat do brzucha.

Isabel wstała i odstawiła na bok swoje krzesło.

– Ten taniec dedykuję Robin Ross – obwieściła.

A potem, po momencie bezruchu, zaczęła się poruszać, jednocześnie recytując wiersz:

*Nie rzucaj na ten grób
Jej ukochanych róż;
Po co zakłócać spokój,
Gdy ich nie ujrzy już?[3]*

To nie był koniec i kiedy recytując tak, szybowała, wirowała i kręciła piruety na jednej nodze, unosząc wysoko jedyną rękę, zastanawiałam się, co ona sobie, u licha, myśli. Wspominanie o śmierci w obecności zmarłego wydawało mi się niegrzeczne, co rusz więc zerkałam na twarz Robin, aby się przekonać, jak ona to odbiera, ale nasza przyjaciółka pozostała obojętna. Gdy występ się skończył, odłożyła obrazek na kolana i zaczęła bić brawo. Też już miałam zaklaskać, jednakże zniemacka wewnątrz pokoju oświetliły snopy reflektorów samochodowych.

– Gliny! Padnij! – zawołała Isabel, na co wszystkie rzuciłyśmy się na ziemię.

– Sprawdzają tylko – szepnęła Robin, leżąc na dywanie na wznak. W skrzyżowanych na piersi ramionach trzymała obrazek Pat, tuląc go do siebie. – Pewnie dostali sygnał od sąsiadów czy coś. Leżcie spokojnie, to odjadą.

Radiowóz powstał chwilę na jałowym biegu – funkcjonariusze zapewne spisywali numery rejestracyjne auta Isabel – po czym opuścił podjazd i odjechał.

– W porządku – oznajmiła Robin. – Możemy już wstać.

– Fiuuu. Mało brakowało – sapnęła Pat.

Kiedy usiadłyśmy z powrotem na krzesłach, zapadła długa cisza niczym na weselu u kwaków – wymierzona we mnie, jak się domyśliłam.

– Ach, moja kolej – ocknęłam się. – To był okropny miesiąc. Najpierw te wybory, a teraz to. Ty – sprecyzowałam, wskazując Robin, która leciutko kiwnęła głową i zaraz poprawiła węzeł apaszki. – W dodatku nie ma tu skrzypiec ani pianina – dodałam. Isabel i Pat popatrzyły na mnie bezradnie. – Cóż, w takim razie chyba zaśpiewam.

Wstałam i odchrząknęłam. Wiedziałam, że gdy wziąć *Gwiaździsty sztandar* i przeciągnąć go na żałobną nutę, zmienia to nie tylko wymowę pieśni, ale wręcz jej tryb, z oznajmującego w pytający i protestujący. Śpiewałam więc powoli, lekko nosowo:

*O, powiedz, czy jeszcze gwiaździsty sztandar powiewa
Ponad krajem wolnych, ponad ojczyznę dzielnych dusz?*

Skończywszy, usiadłam. Dostałam brawa od wszystkich trzech – Isabel uderzała dłonią o udo.

– Bardzo ładnie – pochwaliła mnie Robin. I dodała niejasno: – Za mało śpiewasz.

Uśmiechnęła się z wysiłkiem i natychmiast wykrzywiła twarz w grymasie.

– Muszę już iść – oznajmiła, wstając.

Odłożyła obrazek Pat na krzesło i ruszyła oświetlonym korytarzem. Usłyszałyśmy pstryknięcie wyłącznika. Cały dom ponownie pogrążył się w ciemnościach.

★

– Cieszę się, że to zrobiliśmy – powiedziałam w drodze do domu.

Siedziałam na tylnej kanapie, ukradkiem pociągając dzin – po co sobie zawracać głowę limonką? – i wyglądając za okno. Odezwawszy się, spojrzałam przed siebie i zobaczyłam, że prowadzi Pat. Nie pamiętałam, kiedy ostatnio widziałam ją za kierownicą. Wyprzedziła nas ciężarówka z naklejką na zderzaku: HILLARY NIE MA PIERWSZEŃSTWA! Gapiłyśmy się na nią, jakby to była swastyka. W jakim kraju my żyłyśmy?

– Ćwok – mruknęła Isabel pod adresem kierowcy ciężarówki.

- To pułapka, no nie? – rzuciłam.
- Co? – nie zrozumiała Pat.
- To miasto! – wykrzyknęła Isabel. – Nasza praca! Nasze domy! Uczelnia!
- Jedna wielka pułapka – potwierdziłam.

Nie do końca w to wierzyliśmy. W głębi duszy byliśmy optymistyczne jak sieroty: uważaliśmy, że mamy dobre życie, że robimy to, co chcemy, czasami nawet to, co kochamy. Ale w rzeczywistości byliśmy niewydarzone jak ekipa techniczna Formuły 1, zarówno dla samych siebie, jak i dla innych.

- Dobrze było zobaczyć Robin – mówiłam dalej. – Naprawdę świetnie.
- To prawda – przytaknęła Isabel.

Pat się nie odzywała. Właśnie schodziła z niej para, zresztą z całych sił koncentrowała się na prowadzeniu auta.

- W sumie było to udane spotkanie – skwitowałam.
- Bardzo udane – zgodziła się ze mną Isabel.

★

– To było udane spotkanie – powiedziała do mnie Robin, gdy ostatni raz widziałam ją zdrową.

Stała w progu własnego domu. Zaprosiła mnie wcześniej do siebie i spędziłyśmy razem trochę czasu nad upichconą przez nią letnią zapiekanką. Atmosfera zrobiła się zarazem drętwa i pełna ciepła, kiedy mnie zapytała o mojego mężczyznę, z którym nigdy sama krótko się umawiała.

– Bo ja wiem... – odparłam z niejakim smutkiem. W tamtym momencie nadal siedziałam przy stole i w zamyśleniu pocierałam fakturę blatu jednym palcem. – Chyba ostatnio zaczął się widywać jeszcze z kimś... Daphne Kern, może o niej słyszałaś? To ta kosmetyczka i marszandka w jednym.

Nie wiadomo skąd wszystkie restauracje, kawiarnie i salony fryzjerskie zabrały się do wystawiania, prezentowania i sprzedawania dzieł sztuki. To ponoć uszlachetniało – czy też usztukowywało – branżę usług. W swoim mniemaniu byłam kimś lepszym, bardziej interesującym, tylko dlatego, że grałam na skrzypcach i pianinie i śpiewałam?

- Znam Daphne. Raz uczyła mnie jogi, gdy jeszcze się tym zajmowała.
- Ach tak? – Nie byłam w stanie się powstrzymać. – I co w niej takiego jest? – Nie udało mi się pozbyć z głosu nuty skomlenia. – Jest chociaż miła?
- Ładna, miła, obdarzona intuicją – odpowiedziała Robin, jakby nigdy nic

wyliczając zalety. – Do tego naprawdę utalentowana instruktorka jogi. Niezwykle cielesna. Nawet kiedy mówi, używa całego ciała. Chcesz znać moje zdanie, szczerze? Zapewne jest świetna w łóżku.

Te słowa zwarzyły mi serce – czułam, że runęło w moim lewym boku, opadając aż do pantofla. Apetyt także się skurczył do wielkości dużego ziarna żwiru i z kamienną rezerwą zajął miejsce zwolnione przez serce, które z pewnością zamierzało wrócić do siebie, aczkolwiek nie w porę na deser.

– Upiekłam cytrynowy tort bezowy – poinformowała Robin, wstając i sprzątając ze stołu. Wiecznie coś piekła. Napisałaby więcej sztuk, gdyby mniej siedziała w kuchni. – Obawiam się, że jest bardziej bezowy niż cytrynowy.

– Och, nie trzeba. Najadłam się po uszy – odparłam, spoglądając na niedojedzone danie.

– Wybacz – odezwała się Robin lekko zaniepokojonym tonem. – Może nie powinnam była mówić tego o Daphne?

– Nie, skądże – zapewniłam. – Nic się nie stało. Naprawdę nic.

Bardzo szybko jednak zaczęłam się zbierać do wyjścia. Wstałam po zaledwie jednej filiżance herbaty i tylko dla pozorów pomogłam przy porządkowaniu stołu. Odszukałam torebkę i skierowałam się ku drzwiom.

Robin czekała na mnie w progu, trzymając nienaruszony tort bezowy.

– Tak przy okazji, ślicznie wyglądasz w tej spódnicy – rzuciła w czerwcową noc. – Do twarzy ci w żółcieniach.

– Dzięki – powiedziałam.

Znienacka uniosła tort i przyłożyła sobie do twarzy. Kiedy odsunęła foremkę, beza czepiała się jej skóry niczym nawiany śnieg. Pianka pokrywała rzęsy i brwi, a przez te swoje rude włosy Robin przez moment przypominała postrzeloną królową Elżbietę II.

– Co, do kurwy...? – zapytałam, potrząsając głową. Potrzeba mi było nowych przyjaciół. Postanowiłam częściej brać udział w sympozjach i poznawać innych ludzi.

– Zawsze to chciałam zrobić – oświadczyła w odpowiedzi. Bezowa maska bynajmniej nie kojarzyła się z cyrkiem, lecz sprawiała niesamowite wrażenie, a poruszające się w białej piance usta wydawały się odrębną żywą istotą, może rybą. – Zawsze to chciałam zrobić, no i zrobiłam.

– Hej – rzuciłam, szukając kluczyków do auta. – Nie ma jak dobry show.

Zarzucając długimi włosami i siejąc drobinkami bezy po werandzie, Robin ukłoniła się teatralnie.

– Wszystko – stwierdziła zza maski – no, prawie wszystko – sprostowała, po czym przełknęła kawałek bezy, który wpadł jej do ust. – Prawie wszystko w nim się podoba.

– Brawo – powiedziałam z uśmiechem. Kluczyki już znalazłam. – Muszę lecieć.

– Jasne – zgodziła się, wykonując zamaszysty gest jedyną wolną ręką. – Byłe do przodu.

Dla Nietzchki Keene (1952–2004)
„The New Yorker” 2005

STRATA CZASU

*

Chociaż Kit i Rafe poznali się, działając w ruchu pokojowym, gdzie razem organizowali demonstracje, maszerowali i nosili transparenty antynuklearne, obecnie chcieli się pozabijać. Zdążyli też nieco zmienić poglądy na temat broni atomowej. Po dwudziestu latach małżeństwa wyjętych z bezcennego życia obecnie łączyły ich co najwyżej niechęć i złość, a dawne namiętne uczucie przeszło w czysty gniew na siebie nawzajem. Pech chciał, że nienawiść, tak samo jak miłość, wymagała pielęgnacji. I teraz więc, przy okazji swego najnowszego projektu, wspierali się i współpracowali ze sobą. Byli terapeutami, pielęgniarzami i homeopatami. Ikrzyli się i wspólnie doglądali zrodzonej z tego tarła nienawiści – sercem, duchem i ciałem. Współ, ręka w rękę, niczym zgrany tandem antypatii, wypchali swą nienawiść na środek sceny i skierowali na nią jupitery. „No, dalej, złotko! Pokaż im! Pokaż, co potrafisz!”

– Popierasz atom? Serio? Poważnie? – pytały Kit przyjaciółki, przed którymi w dalszym ciągu niedyskretnie się wywnętrzała.

– Nie, nie całkiem – mówiła z westchnieniem. – Ale do pewnego stopnia tak.

– Chyba powinnaś się z tym do kogoś zwrócić.

Ta rada ją zaboląła, ponieważ sądziła, że właśnie się zwróciła – do nich.

– Po prostu martwię się o dzieci – stwierdziła.

Rafe się zmienił. Nie uśmiechał się, tylko obojętnie ziewał, a może ziejąco obojętniał – Kit nie była pewna, jaką stylistykę powinna przyjąć. Nie miała jednak wątpliwości co do zaszłej w nim zmiany. Ostatnimi czasy ujmowano to właśnie tak, oględnie. Nikt już nie mówił, że faceta całkowicie powaliło. Słyszało się co najwyżej: „Gość się zmienił”. Konkretnie, Rafe zaczął budować w piwnicy modele rakiet. *Jął przejawiać oryginalne zainteresowania. Zdziwaczał lekko.* Jedyne ci bardziej śmiali mieli odwagę powiedzieć wprost: „Odbiła mu szajba”. Rakiety, które były wysokie, plastikowe i falliczne, oklejał starannie kalkomanią z wojskowymi oznaczeniami. Co stało się z przystojnym hippisem, za którego wyszła? Obecnie Rafe był najeżony, zdystansowany i aż pusty z wściekłości. Jego niebiesko-zielone oczy zrobiły się jakies bez wyrazu. Pozostały szeroko otwarte i błyszczące, lecz bezużyteczne – zupełnie jak

sztuczna biżuteria. Kit początkowo zastanawiała się, czy w grę wchodzi załamanie nerwowe, takie prawdziwe, ale gdy ten stan utrzymywał się miesiącami, jęła podejrzewać guza mózgu. Sporadycznie nadawał sygnały z krainy niemego wyalienowania, okresowo przerywając pantomimę nienawiści. „Hej, ślicznotko!” – wołał do niej na przykład ze schodów, po tym jak przez dwa miesiące na nią nawet nie spojrzał. Chwilami czuła się tak, jakby lawina odcięła ją od świata w chacie z czymś stukniętym wujkiem. Czy tak powinno wyglądać małżeństwo? Kit nie była pewna.

Ostatnio widywali się rano tylko z rzadka. Rafe wstawał pierwszy i sam wyprawiał się do pracy, a po powrocie do domu natychmiast znikał w piwnicy. Wieczorami, w ostrożnym małżeńskim mroku, w którym teraz toczyło się ich wspólne życie, po tym jak dzieci poszły już spać, z dolnej kondygnacji wznosiły się opary. Ilekroć zwracała mu na to uwagę krzykiem, nie odpowiadał. Jakby zamienił się na miejsca z Obcym. Naturalnie później zrozumiała, że wszystko to były symptomy romansu z inną kobietą, jednakże na bieżąco, z obawy o zdrowy rozsądek i dobre samopoczucie, trzymała się tych dwu hipotez roboczych: guza mózgu i Obcego.

– Wszyscy mężowie są obcy – zauważyła jej przyjaciółka Jan.

– Bóg mi świadkiem, że nie miałam o tym pojęcia – rzekła Kit. Posmarowała sobie precla masłem orzechowym i zjadła szybko.

– Właściwie – kontynuowała Jan – obie z siostrą mamy na nich przezwisko, NOL.

Kit wiedziała, że ten skrót coś oznacza, ale nie chciała pytać.

– Niewdzięczne lebry – skwitowała Jan.

Kit namyślała się przez chwilę.

– A „o”? – zapytała w końcu. – Powiedziałaś: NOL.

Przez moment panowało milczenie.

– Niewdzięczne olewusy lebry – poprawiła się prędko Jen. – Wiem, że nie ma to za dużego sensu.

– Ale Rafe jest taki wycofany. I taki niesprawiedliwy...

– O, na pewno nie w swoim świecie. W swoim świecie ma się za Salomona Sprawiedliwego. „Podać mi tu zaraz tego gówniarza!”

– Myślisz, że istnieje coś takiego jak rehabilitacja i przebaczenie?

– Pewnie! Wystarczy spojrzeć na Olivera Northa!

– No, on akurat przegrał wyścig o fotel senatora. Przebaczenie nie było więc całkowite.

– Dostał trochę głosów – obstawała przy swoim Jan.

– Tak, a teraz co robi?

– Teraz reklamuje ognioodporne piżamy. Takie życie. – Jen umilkła na chwilę. – Kłóćcie się o to?

– O co?

– O rakiety atomowe.

Kit westchnęła.

– Tak, toksyczne militarystyczne hobby zatruwa atmosferę naszego domu. Ale czy się kłócimy? Ja nie, ja tylko... tylko rzucam od czasu do czasu parę pytań. Pytam: „Co ty, do cholery, wyprawiasz?” i „Chcesz nas wszystkich podusić?”, i „Słyszałeś, co do ciebie mówię?”. I jeszcze raz: „Słyszałeś, co do ciebie mówię?”. A potem: „Głuchy jesteś?”. Pytam go też: „Czym według ciebie jest małżeństwo? Naprawdę chciałabym to wiedzieć!” oraz „Twoim zdaniem tak wygląda porządnie przewietrzony dom?”. Krótki zwykły wywiad. Nie lubię się kłócić. Jestem nastawiona pokojowo. I zainteresowałam się krwotokami wewnętrznymi. – Urwała, żeby poprawić słuchawkę przy uchu. – A także – dodała – tymi niewykrywalnymi przez kryminalistykę rozpuszczalnymi plastikowymi kulami. Słyszałaś o nich?

– Nie.

– Hm, może coś mi się pokręciło. Raczej chyba na pewno. W takim razie rozwiązaniem będzie niewyjaśniony wypadek samochodowy...

W chromowanej powierzchni lodówki uchwyciła swoje odbicie – częściowo ciemnowłosą Shelley Winters, częściowo ziemniaka; misternie wyrzeźbione znaki chromatyczne pod jej oczyma stanowiły muzyczne interludium na tle obrzmienia. W każdym obejrzanym przez nią filmie z Shelley Winters – Shelley Winters umierała... Masło orzechowe nieprzyjemnie się kleiło do dziąseł Kit. Na ladzie kuchennej leżał wielki dojrzały arbuz, zapadający się lekko i pękający pośrodku wzdłuż linii nasion, przez co przypominał trochę szczerzącego się rekina. Odcięła sobie kawałek i potarła chłodnym mokrym końcem wnętrza ust. Minał rok od dnia, gdy Rafe ją ostatnio pocałował. Trochę ją to martwiło, a trochę nie. Jako kobieta musiała niezwykle uważnie dobierać sobie nieszczęścia. Takie było jej jedyne szczęście: dobierać sobie nieszczęścia. Jeden nierozważny ruch i – na Boga – można wszystko sknocić.

Wezwanie było dla niej zaskoczeniem. Nadeszło pocztą, zaadresowane na jej imię i nazwisko, i tkwiło w kopercie przyczepione zszywką do dokumentów rozwodowych. Została potraktowana, jak należy. Dostała papiery. Jednakże małżeństwo, podobnie jak człowiek, zmienia się po śmierci nie do poznania, nawet gdy je pogrzebać w najlepszym ubraniu. Na wierzchu pliku dokumentów znajdował się list od Rafe'a, sugerujący, aby przypadająca na wiosnę rocznica ślubu była ostatnim dniem ich związku. „Dla symetrii” – napisał, co nawet nie zabrzmiało jak jego słowa, aczkolwiek ta zimna skuteczność jak najbardziej pasowała do jego nowego życia w roli Obcego i z pewnością odpowiadała zasadom obowiązującym w kulturze Obcych. Dokumenty odnosiły się do nich w pełnym brzmieniu imion – Katherine i Raphael – jak gdyby rozwód brały ich oficjalniejsze wersje, ich akty urodzenia, a nie oni sami! Rafe nadal mieszkał w domu, nie zająknąwszy się na temat nowego mieszkania, które kupił.

– Kochanie – powiedziała drżącym głosem – przyszło dziś pocztą coś interesującego.

Gniew bywał środkiem leczniczym, lecz ona nie była tak skonstruowana, aby go w sobie co rusz od nowa rozniecać, zatem gdy wygaś, ogarnęło ją uczucie samotności. Żal zapłonął w niej zimnym niebieskim ogniem. Przy okazji dwóch pogrzebów staruszków, których ledwie znała, siedziała z tyłu kościoła, każdorazowo łkając, jakby łączyła ją ze zmarłym sekretna miłosna więź. Miała zawroty głowy i nudności i nie chciała nigdy więcej oglądać Rafe'a – czy raczej Raphaela – jednakże obiecali dzieciom wakacje na Karaibach, cóż więc było robić. Zresztą nie na darmo uczyła w szkole średniej na zajęcia kółka teatralnego. Raz grała królową w *Zimowej opowieści*, kiedy indziej znów podrzutka w sztuce zatytułowanej *Kochaj mnie już*, autorstwa anglisty, największego dziwaka z całego grona pedagogicznego. W obu wypadkach nauczyła się tyle, że czas to w gruncie rzeczy zabawna rzecz i dopiero jego reglamentacja wiedzie do tragedii, a przynajmniej do nieszczęścia. *Romeo i Julia*, *Tristan i Izolda* – gdybyż tylko mieli więcej czasu! Małżeństwo przestawało być zabawne, gdy je nagle przerwać, w którym to momencie zamieniało się w rozwód, a że tego ostatniego czasu w żaden sposób nie dotykał, jego komizm był nieskończony.

Mimo to Rafe zdobył się na półminutową wypowiedź celem wyperswadowania jej pomysłu wspólnej wycieczki.

- Uważam, że powinnaś zostać.
- Pojadę – odparła.
- Tylko zrobisz dzieciom złudną nadzieję.
- Nadzieja nie może być złudna. Czy też musi taka być. Nieważne. Tak czy owak, to tylko nadzieja. Nie ma w niej nic złego.
- Naprawdę uważam, że powinnaś zostać.

Kit zrozumiała, że rozwód pod jednym względem będzie przypominać małżeństwo: to także było przeciąganie liny, walka o władzę, decydowanie, kto będzie psem, a kto panem.

Jakiej to słodkiej idiotce chciał sprezentować jej bilet? (Miała się tego dowiedzieć jakiś czas później).

- Jako feministka nie powinnaś winić drugiej kobiety – oświadczyła sąsiadka.
- Jako feministka proszę, abyś się więcej do mnie nie odzywała – odpowiedziała Kit.

Po kilku miesiącach w sali sądowej, gdzie odkryła, że właścicielem jej małżeństwa było państwo i że państwo może jej cofnąć ślub niczym franszyzę na sprzedaż smażonych kurczaków, którą spartaczyła, i nawet zakazać wstąpienia w kolejny związek małżeński przez pół roku, z podtekstem, by zechciała się trzymać z dala od drobiu znacznie dłużej, przed zmechanizowanym sędzią w zmechanicznej tożsamości oraz stenotypistką cierpiącą na tik częstego mrugania powiekami, co być może miało odwieść żony od płaczu, musiała przyznać, że „doszło do nieodwracalnego rozkładu pożycia”. Cóż za marny wierszokleta dorwał się do kodeksu rodzinnego? Jego słowa

nie chciały przejść Kit przez gardło, burzyła się na nie całą sobą. Czyż nie da się naprawić wszystkiego? W epoce przedmiotów jednorazowego użytku furorę robiły też magiczne kleje. I czemu zaraz „nieodwracalny rozkład”, jakby była mowa o reakcji analizy? Czemu nie „przyznaję, że człowiek, za którego wyszłam i który teraz siedzi po drugiej stronie sali, okazał się potwornym dupkiem”? To by wystarczyło – i byłoby o wiele precyzyjniejsze. Tymczasem „rozkład pożycia” skazywał człowieka na wieczne rozpamiętywanie. W przeciwieństwie do tego drugiego zwrotu.

★

Na razie papiery rozwodowe czekały na podpisanie. Była też kwestia jej obrączki, wysadzonej drobnymi szmaragdami. Kit ogromnie ją lubiła i chciała nosić dalej, ponieważ właściwie obrączka wyglądała jak zwykły pierścionek. Rafe zrezygnował ze swojej, typowej, już rok wcześniej, twierdząc, że mu „przeszkadza”. Kit uznała wtedy, że uwiera go w palec. Rafe często zrzucał spontanicznie to, co miał na sobie – kiedy się poznali, był w pewnym stopniu nudystą. Dobrze było chodzić z nudystą (sprawy nie stały w miejscu), jednakże zatrzymanie go przy sobie okazało się znacznie trudniejsze. Kit miała w perspektywie umawianie się na platoniczne randki ze starszymi, którzy tak jak ona za nic nie będą chcieli zdjąć ubrania.

– Co będzie, jeśli obrączka nie zechce zejść? – zapytała go podczas lotu na Karaiby. Przytyła trochę przez dwadzieścia lat małżeństwa, ale bez przesady. Wychodząc za mąż, była praktycznie dzieckiem!

– Wyślij mi rachunek za jej rozcięcie – odpowiedział. O tak, błysk w jego oku zniknął na dobre!

– Co jest z tobą nie tak?

Rzecz jasna, o wszystko winiła jego rodziców, którzy dawno temu – przypadkiem bądź celowo – jakimś cudem wychowali go na kosmitę z obcym systemem wartości, obcymi myślami, płytkim zmiennym charakterem, udawaną szczerością i socjopatycznymi tendencjami typowego Obcego.

– Co jest z tobą nie tak? – odwarknął.

Powtarzanie jej słów należało do nawyków Rafe’a. Musiało to mieć coś wspólnego z jego ośrodkowym układem nerwowym, procesorem w silikonowym mikrochipie nieustannie przetwarzającym nowe kombinacje lingwistyczne, analizującym je i archiwizującym. Taka reprzyza, kupując czas, ułatwiała analizę i archiwizację danych.

Bardziej niż o dziewczynki, które były jeszcze małe, Kit martwiła się o Sama,

wrażliwego czwartoklasistę, w tej chwili siedzącego po drugiej stronie przejścia i gapiącego się markotnie na chmury za oknem. Niebawem, na mocy skrajnie postępowego prawa rodzinnego – chłopiec musi mieć kontakt z ojcem! – przestaną się widywać codziennie: Sam oddali się od niej jak kartka papieru porwana przez wiatr. Z upływem czasu zhardzieje; będzie się jej przyglądał zza okularów wzrokiem kelnera wężącego hołotę. Tymczasem jednak, na tej ostatniej rodzinnej wycieczce, radził sobie całkiem nieźle. Spali wszyscy w jednym pokoju hotelowym, w oddzielnych łóżkach, i byli świadkiem tego, jak inne rodziny handryczą się i droczą, przez co sami na ich tle wypadali zupełnie dobrze, mimo że czekał ich rychły rozpad na zawsze. Nie dała się zwieść rześkiej morskiej bryzie i nie spiekała się w kolonialnym słońcu; nie omieszkała poinformować kierownictwa hotelu o swym moralnym oburzeniu na uzbrojonych strażników pilnujących, aby miejscowe dzieci nie przełaziły przez ogrodzenie na czystą, białą plażę; wcierała w czoło żywicę, która zastygała i niwelowała zmarszczki, dzięki czemu prezentowałyby się młodziej w oczach męża, gdyby choć raz na nią spojrzął. Aczkolwiek ogólnie nie wyglądała najlepiej: linie lotnicze zgubiły jej bagaż, tak że musiała obnosić ubrania kupione w hotelowym sklepiku, przez co została żywą reklamą sieci La Caribe.

Plażowicze czytali książki o masakrach w Rwandzie i Jugosławii. Miało to na celu przydanie głębi urlopowi pozbawionemu jakiegokolwiek znaczenia. Wypadało nie zwracać uwagi na miejscowych ciemnoskórych wyrostków po drugiej stronie płotu, ciskających kamieniami. Kiedy w zatoczce zacumował na krótko statek wycieczkowy, po czym odpłynął, przyłączyła się do grupki plażowiczów krzyczących: „Sio stąd, już was nie ma!”, jakby sami nie byli turystami bądź musieli poprawiać sobie samopoczucie wywyższaniem się w turystycznej hierarchii, byle tylko nie myśleć o wyrostkach rzucających kamienie.

★

Dało się sprawić, by problemy czasowo znikły. Człowiek mógł się zatracić w działaniu i powtarzalności. Sam przykładowo wybrał trampolinę, poza którą świata nie widział. Było też pływanie z delfinami, ale nawet dziecko wiedziało, że to okrucieństwo.

– Mają własny język – stwierdził Sam. – Nie wolno na nich pływać.

– Wyglądają na zadowolone – powiedziała Kit.

Sam posłał jej poważne spojrzenie jakby z lepszego świata.

- Sprawiają wrażenie zadowolonych, żeby przeżyć.
- Tak myślisz?
- Gdyby ich mięso nam smakowało – ciągnął chłopiec – nigdy byśmy się nawet nie dowiedzieli, że mają własny język.

Że inteligencja stworzenia zmniejsza ludzki apetyt na nie. Że psychota przesłania umysł zarówno jeźdźcy, jak i jeźdźcy. Że dobry smak wiedzie prosto do dekapitacji. Że można coś zrozumieć wyłącznie wtedy, gdy się tego nie pożąda. Skąd Sam to wszystko wiedział? Zazwyczaj pierwsze uświadamiają to sobie dziewczynki. Nie jej córki jednak. Pięcioletnie bliźniaczki, Elize i Barbara, były niewiarygodnie twarde: pragmatyczne, łapczywe, niezależne – i w gruncie rzeczy samowystarczalne. Miały swój własny świat z szyfrem Montessori, plastikową biżuterią i napadami chichotków, które wywoływały u siebie wzajemnie, najczęściej powtarzając sześć razy z rzędu „cynamonowe emenemsy”. Nie ruszały się z domu bez czarodziejskich różdżek i połyskliwych skrzydełek, które nosiły nawet na swetrach. Zaraz po ich narodzinach każdemu, kto był w zasięgu słuchu, Sam powtarzał do znudzenia: „Odtąd jestem starszym bratem”, po czym zamilkł na ten temat zupełnie. Kit sporadycznie wołała córki Belize i Ara, kiedy grzebały w piasku kolejne lalki Barbie, a potem z piskiem je ekshumowały. Plażujący w pobliżu czytelnicy lektur o ludobójstwie obracali się na to z uśmiechem. W tym wspaniałym odległym zakątku sprzeczności życia były groteskowe i nie do pomyślenia. Kit udała się do recepcji, by umówić się na masaż gorącymi kamieniami.

- Pani sobie życzy pana czy panią? – zapytała recepcjonistka.
- Proszę? – Kit zatkało. Po tylu latach małżeństwa miała jakiś wybór? Przecież nie znała się na mężczyznach, na kobietach zresztą też nie.

Jej przyjaciółka Jan do całkiem niedawna twierdziła, że mężczyzna nie występuje w liczbie mnogiej: każdy stanowi odrębny przypadek. „Jedyne, co ich łączy – mówiła – to zdolność do siania przemocy”.

– Masażysta czy masażystka? – Kit postanowiła grać na zwłokę. Pomyślała o leniwej kopulacji ślimaków, które były obojnakami i nie miały pod tym względem lekko; zanim się połączyły, kto będzie chłopcem, a kto dziewczynką, pojawiał się ktoś z sosem czosnkowym i je pożerał. – Och, wszystko jedno – odpowiedziała, wiedząc już, że przypadnie jej masażysta.

Starła się na niego nie patrzeć, lecz i tak była zanurzona w dymnej aurze emanujących zeń woni tytoniu, kadzidelka, marihuany. Żyłasty ćpun, który wraz z wiekiem jeszcze się zapuścił, nosił iście dickensowskie, znaczące nazwisko – Daniel Handler – i w ogóle się nie odzywał. Umieścił gorące kamienie na jej plecach i zostawił je w rzędku wzdłuż kręgosłupa. Czy Kit uważała swe wysmarowane kremami ciało za zbyt własne i cenne, by dotykali go tacy jak on? Chyba żartujecie! Czysta radość na jej twarzy odbijała się w posadzce przez otwór w stole, a w jej

oczach pojawiły się słodko-gorzkie łzy, które następnie wyciekły przez nos, uzmysławiając Kit, że Stwórca pomyślał tę część ciała jako rynienkę do płaczu. Na podłodze zrobiła się mała kałuża. Kamienie pozostały na jej plecach, póki nie wystygły. W miarę jak traciły ciepło, zapominała o ich istnieniu, ale przypomniawszy sobie o nich w momencie zdejmowania – dziwnie było uświadomić sobie obecność kamieni pod sam koniec, gdy kolejno znikwały; choć doświadczenie nie pokrywało się dokładnie z syndromem gotowanej żaby, zdaniem Kit i tak miało swoją wagę, jak każda termiczna metafora. Masażysta ściągnął jej z pleców wszystkie kamienie, po czym wbijał kolejno ostrym kantem w przestrzenie między kręgami w sposób zgoła złośliwy – być może celem odreagowania goryczy na własne życie – choć najpewniej wcale niemający drugiego dna.

– Bardzo miłe – podsumowała, gdy już odłożył ostatni kamień i znużonym gestem odłączył prodiż elektryczny, w którym wcześniej je podgrzewał. – Skąd są te kamienie? – zapytała, patrząc na gładkie kawałki skały, ciemnoszare, a po zamoczeniu czarne.

– To otoczaki – odparł. – Zbierałem je jeszcze w Kolorado, całymi latami.

Schował kamienie do skrzynki wędkarskiej.

– Mieszka pan w Kolorado? – zainteresowała się Kit.

– Mieszkałem – powiedział i na tym rozmowa się skończyła.

Kit włożyła ubranie.

– Pewnego dnia – oznajmiła jej raz Jan – ty też przejrzysz na oczy. I też, w przyszłym wcieleniu, będziesz wołała, żeby byli starzy i bogaci, i najlepiej na łożu śmierci, bez żadnych zbędnych spędów w hospicjum.

– Kobieta z lodu i stali z ciebie – stwierdziła Kit.

– Ja? Skądże. Jestem tylko głosikiem w słuchawce, popijającym tu sobie herbatę.

★

O ironio, bagaż Kit zmaterializował się w ostatni dzień urlopu. Nawet nie otworzyła walizki. Wywiesili na kłamce tabliczkę z napisem: CHCEMY ZOBACZYĆ ŻÓŁWIE MORSKIE. Obudzeni o trzeciej nad ranem goście hotelowi mogli się udać na plażę, by na własne oczy zobaczyć, jak wykluwają się małe żółwiki, które następnie pomykały do oceanu pod osłoną ciemności ratującą ich skórę przed drapieżnikami. Jednakże – choć Sam wywiesił tabliczkę uważnie i przed północą, jak poinstruowano ich w recepcji – nikt z personelu nie zrobił im planowej pobudki. A zanim sami wstali

i poszli na plażę, była już dziesiąta. O dziwo, żółwiki wciąż tam były. Pracownicy hotelu uwięzili maluchy w wiklinowej klatce, zamierzając je pokazać tym z turystów, którzy byli za leniwi lub za głusi, żeby wstać nocą.

– Hej, spójrzcie tutaj! – wołał z hiszpańskim akcentem mężczyzna, który normalnie wypożyczał sprzęt do nurkowania.

Sam, Elize, Barbara i Kit podbiegli do niego. (Rafe został przy stoliku, pijąc kawę i czytając gazetę). Kłębiące się maleństwa zaczynały się smażyć w porannym słońcu; ich złociste pergaminowe łapki pływne powoli nabierały suchego odcienia brązu.

– Muszę je już wypuścić – powiedział mężczyzna. – Mieliście szczęście, że się załapaliście.

Zabrał kosz nad wodę i o wiele za późno uwolnił żółwiki, żeby się zadowożyły w oceanie. Jedna po drugiej nadlatywały fregaty, które pikując, wybierały maluchy ze srebrzystych fal i połykały na śniadanie.

Kit opadła na leżak obok Rafe'a. Opalał się, jak zauważyła, dla kogoś innego. Dzieci bawiły się w wodzie.

– Muszę się napić.

– Chyba nie oczekujesz, że kupię ci drinka?

Czy go o to prosiła? Czy obrzuciła go najgorszymi wyzwiskami, jakie jej przyszły do głowy? Czy wstała, wzięła zamach i spoliczkowała go na oczach kilkorga turystów? Kto tak twierdzi?

★

Wyjeżdżając z hotelu, była zadowolona. W La Caribe zaczęła nienawidzić całego świata. Na lotnisku i w samolocie nawet nie starała się zachowywać naturalnie – naturalność była zbrodnią. Do dzieci odzywała się spokojnie, jakby czytała ze scenariusza, posługując się oględnymi kwestiami i didaskaliami. W domu wypakowała prezerwatywy i świeczuszki, podręczny zestaw miłosny, i nieużywane wyrzuciła do śmieci. Co też sobie myślała? W późniejszym czasie, gdy już nauczyła się opowiadać inną wersję tej historii – gdy już nauczyła się opowiadać historyjkę – wymyśliła końcową scenę łóżkową pełną ckliwej namiętności i tego, co najważniejsze w małżeństwie: słodkiego, zwierzęcego poczucia bezpieczeństwa noc po nocy, jakie daje ciepły istniejący związek. Na razie jednak musiała brać przykład ze swych niezniszczalnych córek, a nawet z syna, który dorastając, dalej radził sobie całkiem nieźle: ledwie pamiętał – a może nie mieściło mu się w głowie – że Kit i Rafe

kiedykolwiek w ogóle byli razem.

„The New Yorker” 2006

WROGOWIE

*

Bake McKurty miał świadomość pasożytniczej relacji między sztuką a handlem, między literaturą a krezusostwem.

– Hedging i haiku! – wykrzykiwał do swojej żony, Suzy, a jednak relacja ta była w jego oczach nieodmiennie bulwersująca. Gonitwa za pieniędzmi konkurowała z gonitwą za walorami i wszyscy wzajemnie umywali w nich ręce. Choć gdyby to była prawda, czy nie zabrakłoby mydła na świecie?

– Dlatego masz cytrynę – odpowiadała Suzy, pokazując na plasterek egzotyku w martini, którego nie powinien był pić.

Mimo to od czasu do czasu – podnosząc wzrok znad koktajlu krabowego i czyszczącego podniebienie przerywnika w postaci sorbetu oprószonego pyłkiem z fenkułu – nie potrafił się otrząsnąć z szoku.

– Myśl o tym jak o symbiozie – powiedziała Suzy, gdy szykowali się do wyjścia. – Jak w wypadku kryla, który żywi krewetki. Albo tych ptaków, które wydziobują ektopasożyty ze skóry nosorożca.

– Zatem jesteśmy Krylem Opatrznościowym – rzucił.

– Tak!

– Jesteśmy bąkojadami.

– No, tego nie powiedziałam – zaproponowała.

– Wszystko na tym świecie kręci się wokół bąków – stwierdził Bake.

– Wokół jedzenia – skorygowała. – Wszystko kręci się wokół jedzenia. Zamierzasz w tym iść?

– A co ci się nie podoba?

– Zmień... Co to ma w ogóle być?

– Szelki.

– Są czerwone.

– Dobrze, już dobrze. Ale wiesz, ja tobie nigdy tego nie robię.

– Bo jestem wszystkowiedzącą szcztką – odparła. Przygładziła włosy, które ostatnio zaczęły przypominać dziwaczny srebrno-kukurydziany pompon.

- A ja niby czym jestem? Niewidomym chłopcem do bicia?
- Tego też nie powiedziałam.
- Świetnie wyglądasz. Cokolwiek tam masz na sobie. Widzisz? Prawię ci komplementy!
- To sarong. – Podciągnęła płat tkaniny. Odpiął szelki.
- Proszę, tobie bardziej się przydadzą.

*

Żeby ściąć koszty, zatrzymali się w Georgetown, w rodzinnym pensjonacie, w którym właściciele co wieczór zostawiali pod drzwiami wszystkich pokoi gorące ciasteczka, aby zadośćuczynić za swego rozbrykanego brzdąca, który od szóstej rano wyszczekiwał głośno rozkazy, każąc matce przynieść to tę, to tamtą zabawkę. Po całym dniu zwiedzania – tyle tu było muzeów przedpłaconych z podatku dochodowego, że czuli się filantropami przybyłymi z wizytą do własnych pieniędzy – Suzy i Bake padali już z nóg. Wezwali taksówkę i podawszy kierowcy adres imprezy, usłyszeli złowróżbne:

– Aha.

Pomijając kwestię dobrego smaku, przy okazji tej gali zrezygnowano nawet z pretekstów przyzwoitości: zbiórka charytatywna na rzecz „Lunar Lines Literary Journal” – „3LJ” dla czytelników i darczyńców, a „Pismo” dla pracowników – odbywała się w banku. Czy też dawnym banku, który splajtował i teraz serwował *orecchiette* z sepią w głównej, wysoko sklepionej sali oraz martini i wino grenache prosto z niegdyśszych stanowisk kasowych. Drewno i marmury zakonserwowano i wypolerowano, szyby usunięto. W wieczornym świetle wnętrze zdawało się płonąć niczym złoto. Było cudnie! Co z tego, że odstąpiono od subtelnej pompy ceremoniału i transakcji? Co z tego, że zamieniono to miejsce w mauzoleum chciwości dostępne dla każdego? Bake i Suzy zostali zaproszeni. Strony biernej od wieków używa się do zwalania winy na innych.

Aczkolwiek zaproszenie na zbiórkę charytatywną do stolicy od początku wydawało im się fuksem. Szczególnie że *Człowiek na monecie, człowiek na koniu*, kiepsko sprzedająca się biografia George’a Washingtona napisana przez Bake’a (i wydana w roku, w którym wszyscy dostali obsesji na punkcie Lincolna, tak że nawet Dzień Prezydentów, połączone święto obydwóch, nie zdołał poprawić wyników sprzedaży), nie kwalifikował ich do żadnej grupy gości. Jednakże „3LJ”, z siedzibą

w Waszyngtonie, zamieściło na swych łamach wyimek jakby dla uczczenia własnego miasta. I tak Bake otrzymał dwa darmowe zaproszenia na kolację. Przyjdzie mu się obracać wśród pozostałych gości – krezusów, sponsorów czasopisma, płacących po pięćset dolarów za miejsce – i ich czarować. Czy podoła? Czy da radę być nadwornym błaznem, miejskim klaunem, symbolicznym pisarzem przy stole?

– Oczywiście! – skłamał.

Po co tu w ogóle przyjeżdżał? Mimo że Waszyngton zyskał swe miano od nazwiska człowieka, któremu poświęcił lata serdecznych myśli i badań, nigdy nie lubił tego miasta. Wyrosłe na bagnach, monstrualne, nadęte, ostentacyjnie w jednym ręku, wystawiające kwity na każdym kroku, zatłoczone autami i zarządzane przez gladiatorów. Przekupni wysocy urzędnicy z głowami nabitymi połączanymi myślami i sfingowanymi odwołaniami.

– Tak! Jak się miewasz? Trochę czasu upłynęło!

Żadne tam „kopę lat”, bo kto to mógł wiedzieć? Niewykluczone, że krócej. Dlatego bezpieczniej było powiedzieć: „Trochę czasu upłynęło”, przynajmniej nikt się nie przyczepi.

Nie odstępował Suzy na krok.

– Na szczęście wino jest dobre – skwitowała.

Tak naprawdę nie wmieszali się w tłum. Krążyli na jego obrzeżach, dawali mu się porwać, po czym dryfowali, dopóki ich nie wypluto. Akustyka pomieszczenia uniemożliwiała normalną rozmowę, tak więc wykrzykiwali do siebie banały, po czym milkli. Hałas był ogłuszający jak szum morza, a przytłaczająca kordialność reszty gości wysysała z nich wszelką nadzieję na własną radość.

– Niedługo będziemy musieli poszukać naszego stolika! – krzyknął Bake, rozglądając się po obszernym pomieszczeniu z setką okrągłych blatów nakrytych białymi obrusami i zastawionych migoczącymi świecami. Pośrodku każdego umieszczono wazoniki z gałązkami wrzosu, które z łatwością mogły się zająć ogniem. Tak samo jak kartoniki z numerami stolików w chromowanych podstawkach.

– Jaki mamy numer?

Suzy wyciągnęła kopertę ze swojej – jak ją nazywał żartobliwie – tytki, po czym wsadziła z powrotem.

– Siedemdziesiąt dziewięć – odparła. – Oby to było blisko ubikacji.

– Oby to było blisko wyjścia.

– Ucieknijmy już teraz!

– Zacznijmy wołać: „Pali się!”.

– Udajmy, że dostajemy ataku serca!

– Masz zioło?

– Przylecieliśmy tu samolotem, zapomniałeś? Nigdy bym nie zabrała zioła do samolotu.

- Gdzie się podzielała nasza chęć przygód? Między innymi...
- Ależ to jest przygoda!
- Sama widzisz, o czym mówię.

Na cichy sygnał dzwonka wszyscy mieli usiąść – nie tylko ci w fotelach na kółkach. Suzy wytyczyła trasę, z drinkiem w ręku lawirując między dziesiątkami stolików dzielących ich od numeru siedemdziesiąt dziewięć. Dotarli na miejsce pierwsi i Bake, widząc, że ktoś rozsadził ich daleko od siebie, szybko zamienił karteczki z nazwiskami, tak by Suzy siedziała tuż obok niego, po lewej.

– Przejechałem taki kawał drogi nie po to, żeby dać się rozdzielić – powiedział, na co uśmiechnęła się słabo i uściśnęła mu dłoń.

Tego typu gesty były konieczne, zważywszy na to, że nie uprawiali seksu od pół roku. „Mam sześćdziesiąt lat i łykam antydepresanty – oświadczył, gdy Suzy raz się poskarżyła (dlaczego tylko jeden raz?) – tak więc to szczęście, że członek jeszcze mi nie odpadł”.

Stali za krzesłami, czekając na przybycie współbiedniaków. Najpierw pojawiła się para młodych inwestorów z Wall Street, w dalszym ciągu mających pracę. Potem rzeźbiarka z synem. Następnie sekretarz redakcji „3LJ”. I wreszcie, stukając obcasami, młoda rzutka Azjatka, która miała siedzieć po prawej stronie Bake’a. Energicznie podała mu rękę na powitanie. Długie paznokcie miała pomalowane na biało, pewnie były to tipsy – Suzy rozwiąłaby jego wątpliwości, gdyby nie zdążyła już usiąść i zacząć rozmowy z rzeźbiarką.

– Jestem Linda Santo – powiedziała kobieta po jego prawej.

Włosy miała czarne, lśniące i wystarczająco długie, by posłać je na plecy jednym zamaszystym ruchem głowy, a zarazem dostatecznie krótkie, by natychmiast znalazły się z powrotem z przodu. Była ubrana w granatową satynową sukienkę i sznur pereł. Czerwony szal, którym miała okryte ramiona, odwiesiła na oparcie krzesła. Bake poczuł w środku lekkie poruszenie. Azjatki zawsze mu się podobały, aczkolwiek wiedział, że nie powinien wspominać o tym Suzy ani właściwie nikomu innemu.

– A ja jestem Baker McKurty – zrewanżował się, wymieniając z nią uścisk dłoni.

– Baker? – powtórzyła.

– Zazwyczaj używam zdrobnienia, Bake. – Niechący mrugnął do niej. Człowiek powinien bardzo uważać, żeby mrugnięciem nie wystraszyć rozmówcy.

– Bake? – Teraz sprawiała wrażenie lekko przerażonej, o ile można tak powiedzieć. Z jakiegoś powodu nadal była przejęta, wysunął jej więc krzesło, aby pokazać, że jest niegroźny.

Ledwie zajęli miejsca, na stół wjechały przystawki. Pomidory nadziewane awokado i awokado z pomidorkami. Taki żarcik: bożonarodzeniowe barwy, choć do Bożego Narodzenia było jeszcze daleko.

– No więc, gdzie są wszyscy pisarze? – zapytała Linda Santo, obracając się

najpierw przez jedno, potem przez drugie ramię. Lśniące włosy zatrzepotały dwukrotnie. – Powiedziano mi, że będą tu pisarze.

– Pani nie jest pisarką?

– Nie, ja jestem złą lobbystką – odparła, pokazując zęby. – A pan jest pisarzem?

– Przypuszczam, że w pewnym sensie tak.

– Naprawdę? – rozpromieniła się. – Co też pan pisuje?

– Co pisuję czy co napisałem?

– Obojętne.

Odchrząknął.

– Napisałem kilka biografii. Boya George’a. George’a Eliota. I George’a Washingtona. Fascynujący człowiek, nawiasem mówiąc, z niebywałą smykałką do pomnażania majątku nieruchomego. I jak się irytował, kiedy go pominięto przy awansie w brytyjskiej armii! Pomyśleć, że coś takiego może być powodem wojny... Nie jestem taki jak inni biografowie. Nie wykluczam, że był gejem.

– Pisuje pan biografie George’ów. – Pokiwała głową, nieporuszona. Najwyraźniej liczyła, że spotka tu Dona DeLillo.

To go ubodło. Podniecił się niezdrowo.

– Właściwie to zdobyłem Nagrodę Nobla.

– Naprawdę?

– Tak! Tylko że, cóż, zdobyłem ją tego roku, gdy media nie okazywały jej zbytniego zainteresowania. Poniekąd przepadła w zamieszaniu... Zostałem laureatem tuż po jedenastym września. W cieniu jedenastego września. W istocie przyznano mi nagrodę w chwili, kiedy runęła druga wieża.

Linda zmarszczyła czoło.

– Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury?

– Literatury? Nie, nie, nie... nie literatury.

Członek zmiękł mu w spodniach jak przejrzała brzoskwinia.

Siedząca po jego lewej Suzy wychyliła się i nad talerzem Bake’a zapytała:

– Czy mój mąż panią zanudza? Jeśli tak, proszę mi śmiało powiedzieć. Jestem Suzy.

– Uniosła rękę z podołka i obie kobiety uściśniły sobie dłonie nad jego porcją awokado. Nabrał pewności, że paznokcie Lindy są sztuczne. Albo jakieś. Przypominały mu szpony.

– To Linda – przedstawił sąsiadkę Bake. – Zła lobbyстка.

– Coś takiego! – skwitowała pogodnie Suzy, lecz w tej samej chwili postukała ją w ramię rzeźbiarka, tak więc musiała się odwrócić, by poznać jej syna.

– Czy lobbowanie to trudne zajęcie?

– Interesujące – odparła. – Trudne, ale interesujące.

– Idealne połączenie.

– Skąd państwo przyjechali?

– Z Chicago.

– Och – podsumowała, jak gdyby właśnie się przyznał do bliskich związków z Alem Capone. Ilekroć wspominał o Chicago, ludzie podnosili temat Ala Capone. Bądź jego, bądź Chicago Cubs.

– Zatem musi pan znać kandydata na prezydenta z ramienia Demokratów?

– Brocka? Przepadam za nim! Jest taki świeży. I pisze, jak ja. Ciekawe, czy też przyszedł... – I Bake, jakby ją naśladując, obejrzał się kolejno przez oba ramiona.

– Zapewne urzęduje ze swymi kumplami terrorystami – stwierdziła Linda.

– To on ma kumpli terrorystów?

Bake znał jednego terrorystę osobiście. Mieszkańcy Środkowego Zachodu przepadali za terrorystami, z których najczęściej byli porządni, nudni obywatele zabawiający innych przy obiedzie historyjkami o grzechach dawno utraconej młodości. Żaden z nich nigdy nikogo nie zabił – przynajmniej nie rozmyślnie. Starzeli się i tyli jak wszyscy. Byli oczyszczani z zarzutów. Odsiadali swoje. A jeśli nawet nie – dzięki rozwścieczającemu przywilejowi klasowemu pozwalającemu im żyć dalej, jakby nic się nie stało – odchowywali sobie nawzajem dzieci, robili doktoraty i spłacali dług społeczeństwu na inne sposoby. Tak mu się wydawało. W gruncie rzeczy niewiele wiedział o Chicago. Tak naprawdę był z Michigan, lecz ilekroć wybierał się w dalszą podróż samolotem, korzystał z chicagowskiego lotniska O'Hare.

– Taaa. Na przykład tego zamachowca, który próbował podłożyć bombę pod budynek rządowy tu, w mieście.

– Za czasów dzieciństwa Brocka? W latach sześćdziesiątych? Ale Brocko nawet nie darzy sympatią hippizmu. Jego zdaniem jest taki... hippisowski. Szalone lata sześćdziesiąte odebrały mu matkę.

– Lata sześćdziesiąte go ukształtowały, człowieku.

Bake przyjrzał się jej uważniej. I dostrzegł, że wcale nie jest Azjatką. Po prostu przeszła operację plastyczną: skórę wokół oczu miała dziwnie naciągniętą i napiętą. Nieudane usuwanie kurzych łapek. Spaprany lifting twarzy. Złuszczenie kwasami. Cokolwiek to było, Suzy wiedziałyby dokładnie.

– Był wtedy tylko dzieckiem.

– Tak utrzymuje.

– To jego wiek też budzi wątpliwości?

– A pokazał komuś swój akt urodzenia?

– Nie mam pojęcia – przyznał Bake. – Nie mam nawet pojęcia, gdzie zapodziałem własny.

– Tak naprawdę chodzi mi o to, że Amerykę założyli i utrzymują wciąż w kupie ludzie, którzy niezwykle ciężko pracowali na swoją pozycję.

Bake wzruszył ramionami i rozejrzał się po sali. Nie miejsce ani pora wspominać o wycuciu czasu i okazji. Mówienie o szczęściu też mogłoby przynieść pecha. Czy

wypadało wspomnieć o ludziach, którzy opływali we wszystko niezasłużenie, w pomieszczeniu pełnym takich osób? Linda nie przerywała sobie.

– Jeśli tego nie rozumiesz, człowieku, nie ma sensu ciągnąć tej rozmowy.

Przestraszyła go nagła perspektywa zakończenia konwersacji.

– Jak widzę, nieźle się pani orientuje w początkach Stanów Zjednoczonych. – Postanowił znaleźć wspólną płaszczyznę.

– Obejrzałam *Johna Adamsa* na HBO. Wszystkie odcinki.

– Czyż aktor grający George’a Washingtona nie był niesamowity? A Jefferson niepokojąco przypominał Martina Amisa. Ciekawe, czy Martin gdzieś tu jest? – Znowu obejrzał się przez oba ramiona. Rozpaczliwie pragnął, aby Martin Amis się zmaterializował i przybył mu z odsieczą.

Linda spoglądała na niego pałającym wzrokiem.

– To był świetny miniseriał i nie gorsze przypomnienie podstawowych zasad obowiązujących w Ameryce.

– Wie pani, że George Washington obawiał się pogrzebienia żywcem?

– Nie, nie słyszałam o tym.

– Praktycznie był nieustraszony, nie licząc tego jednego. A o tym, że uwolnił niewolników, pani słyszała?

– Hmm.

Jadła – w przeciwieństwie do niego. To nie działało na jego korzyść. Mimo to kontynuował:

– Skoro już mowa o tych, co się w Ameryce naharowali... Żeby rzecz ująć delikatnie, niewolnikom powiodło się tak sobie.

– Człowieku, Barama wystartował w wyborach tylko dlatego, że jest czarny.

W tym momencie apetyt odszedł go całkowicie. Jedzenie na talerzu, cokolwiek to było – szarobure plamy, pomarańczowe kupki – nagle nabrało w jego oczach abstrakcyjnego wyrazu niczym malowidło. Ciśnienie Bake’owi podskoczyło, czuł pulsujący tik w skroni.

– Wie pani co, nigdy w ten sposób o tym nie myślałem, ale ma pani rację! Czarna karnacja jest rzeczywiście najszybszą, najprostszą drogą prowadzącą do Białego Domu!

Kiedy się nie odezwała, dodał:

– No chyba że jedzie się taksówką, to potrafi spowolnić każdego.

Nie przerywając żucia, Linda posłała mu roziskrzone spojrzenie. Przełknęła.

– Właściwie mieliśmy już czarnego prezydenta.

– Doprawdy?

– Tak! Wedle samego laureata Nagrody Nobla!

– Dam pani pewną radę: proszę nie wierzyć we wszystko, co mówią laureaci Nagrody Nobla. Zresztą nie uważam, aby jakikolwiek czarny kandydat miał szansę na

fotel prezydenta, gdy rzecznikiem prasowym jego kampanii jest śpiewaczka z klubu nocnego. To by było... to by bardziej pasowało do białego prezydenta. Zechce mi pani podać sól?

Solniczka pojawiła się na wprost niego. Posolił sobie jedzenie na talerzu i zapatrzył się na nie.

Linda zrobiła marsa i wykrzywiła usta, usiłując przerznąć coś nożem. Mięso? Drób? Pocieszające było – dla odmiany – to, że krezusi musieli nieźle sypnąć groszem, by zjeść kurczaka, podczas gdy on dostawał go za darmo. Nie poczuł się tym jednak dostatecznie pocieszony.

– Grubo się pan myli, sądząc, że jako kobieta nie wiem, co to uprzedzenia.

– Ha, mężczyznom też nie jest lekko – odparł Bake. – Trzeba wydawać forszę na pornole, a może mi pani wierzyć, że to pieniądze wyrzucone w błoto.

Po tym się wycofał, odwrócił w lewo i nachyliwszy się ku Suzy, wyszeptał jej w ucho:

– Ratunku.

– No i jak tam, czarujesz gości? – zapytała.

– Boję się, że zaraz czymś oberwę.

– Miałeś ich czarować.

– Wiem, wiem, robiłem, co w mojej mocy. Słowo. Ale to jedna z tych, co na Brocka mówią Barama...

Złamał już większość zakazów Suzy dotyczących proszonych kolacji: zero polityki, zero religii, zero recept na portfel akcji. I żadnych pytań „Czy pani może spodziewa się dziecka?”, dopóki nie pokaże się główka. O słuszności ich wszystkich przekonał się w bolesny sposób na własnej skórze.

Jednakże tego roku po prostu nie dało się unikać pewnych tematów.

– Wracaj do siebie – rzuciła Suzy. Rzeźbiarka znów stukała ją w ramię.

Podjął więc jeszcze jedną próbę zmierzenia się ze złą lobbystką.

– Mam taką koncepcję, którą powinna pani docenić. Mianowicie cóż to by była za odmiana, gdyby w Białym Domu zasiadł nareszcie ktoś, kogo nazwisko kończy się na samogłoskę.

– Nie było jeszcze prezydenta o nazwisku kończącym się na samogłoskę?

– Coolidge’a bym nie liczył.

– Z jakiej części Chicago pan jest?

– Właściwie jestem spod Chicago.

– Ale skąd konkretnie?

– Z Michigan.

– Czy Michigan przypadkiem nie znajduje się kawałek drogi od Chicago?

– Owszem! – Poczuł przeciąg na pasku skóry między skrajem skarpetek a mankietem spodni. Kiedy podniósł spojrzenie na jej dłonie, zobaczył, że zastygły niczym szpony.

– Tyle się słyzy o uroku i solidności Środkowego Zachodu, ale moim zdaniem Chicago czerpie zbytnią dumę z własnej przestępczej przeszłości. – Uśmiechnęła się ponuro.

– To nieprawda. – A może jednak? Musiał dać jej szansę. Przecież mogła mieć rację. – Raczej strasznie łakniemy jakiegoś mitu. Czy też jesteśmy mniej strachliwi od mieszkańców reszty kraju. – Było to z jego strony zgadywanie.

– Człowieku, my tu sobie rozmawiamy, a jakiś diabeł wcielony już łypie okiem na Sears Tower.

To go uciszyło.

– A kiedy będziesz w środku, gdy to się stanie, co mam nadzieję nie nastąpi, lecz jeśli, jeśli, jeśli będziesz akurat jadł lunch na szczycie albo miał jakieś spotkanie niżej czy też robił tam cokolwiek innego, to cię odmieni, możesz mi wierzyć. Przeszłam przez to. Przeżyłam bombardowanie. Byłam w Pentagonie, kiedy terroryści rozbili o niego samolot, i mówię ci, zapłonęłam, ale nie zginęłam. To we mnie rozgorzał ogień. Rozjaśnił mi wszystko. Teraz, człowieku, ten kraj nie ma już przede mną tajemnic.

W tej chwili Bake spostrzegł, że Linda istotnie ma plastikowe paznokcie, że jej dłonie niewiele się różnią od suchych zastygłych szponów i że twarz, która początkowo wydała mu się intrygująco egzotyczna, tak naprawdę została liźnięta ogniem i tylko częściowo zrekonstruowana. Dojrzał, że całą ją spowija aura dzielnego, nieskrywanego szkaradztwa. Nawet piękne włosy były najpewniej peruką. Zalało go współczucie – nigdy wcześniej nikogo tak nie żałował. Jak człowiek może tyle wycierpieć? Jak człowiek może otrzeć się tak blisko o śmierć, tak niesprawiedliwie, tak boleśnie i tak heroicznie, i w dalszym ciągu pragnąć ich powieszenia?

– Lobbowała pani za Pentagonem? – zdołał tylko wydukać.

★

– Jakies *faux pas*? – zapytała Suzy w taksówce, która wiozła ich z powrotem do pensjonatu, gdzie pod drzwiami pokoju czekały na nich gorące ciasteczka, a na szafce nocnej plastry na nos przeciw chrapaniu.

– *Beaucoup faux pas* – odparł Bake, wymawiając dwa ostatnie słowa tak, jak się je pisze. – *Beaucoup* haniebnych fauks pas. Podając samo nazwisko, czułem się tak, jakbym stał na stole i sikał do kieliszka.

– Co takiego? Daj spokój...

– Obawiam się, że wdałem się w rozmowę o polityce. Nie zdołałem się powstrzymać.

– Brocko wygra, zobaczysz. Jego córkom się tu spodoba. Wszystko będzie dobrze. Nie martw się – pocieszała go, kiedy taksówka mknęła w stronę Georgetown jezdniami usłanymi przy krawężnikach pierwszymi spadłymi liśćmi, wyglądającymi na tle szarości jak plamy rdzy i różu.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

Nie odważył się powiedzieć nic więcej.

Nie miał pojęcia, ile czasu im zostało, i bał się, że koniec końców jest skazany na szwendanie się po randkach z takimi samymi jak on przygłuchymi tetryczkami – „Co? Możesz powtórzyć? Co? To znowu ty? Czyśmy się dopiero nie widzieli?” – pośród ogólnego kryzysu i wojny.

– Nie zostawiaj mnie – odezwał się nagle.

– Przecież nie mam takiego zamiaru, do licha.

Milczał tylko przez moment.

– Jak nas licho porwie, też mnie nie zostawiaj.

– Dobrze – odparła i uścisnęła jego mięsiste udo. To znaczy kiedyś lubił tak myśleć o swoich udach.

– Boję się tego, że niebawem się przekonasz, jaki jestem dla ciebie nieodpowiedni.

– Ależ jesteś odpowiedni – zapewniła, nie cofając ręki.

– O tyle, o ile.

Nakrył dłoń Suzy swoją, tą z obrączką, którą niegdyś od niej dostał, identyczną z jej. Siłą woli skierował całą przepelniającą go miłość do własnych opuszek i splatając z nią palce, przyglądał się efektywnemu mechanizmowi stawów i knykcii. Jednakże Suzy zdążyła już odwrócić głowę i przez resztę drogi powrotnej wyglądała przez okno, pokazując mu tylko swe piękne włosy, które w świetle mijanych latarni ulicznych wydawały się rzucać złociste rozbłyski, zupełnie jakby nie były jej.

SKRZYDŁA

✱

Gdyby wszakże miało się okazać, że sobie nie radzi, nadal pozostałoby mu jeszcze sporo czasu, by to naprawić[4].

Henry James, *Skrzydła gołębiczy*

Burczenie w ich brzuchach przeplatało się, nie dając się przypisać konkretnej osobie.

– Tobie czy mnie? – pytała w łóżku, na co Dench odpowiadał:

– Nie jestem pewien.

Często się tak wylegiwali rankami, zginając ku sobie nogi na podobieństwo więzów za oknem, których wyższe konary trącały się na późnomarcowym wietrze, rozmawiając gałąź w gałąź o cudownej pogodzie. Przez sny o jedzeniu sutyh mięsnych posiłków, jak również przez zgrzytanie po nocach zębami – co z pewnością było znakiem wiosny – nierzadko budziła się z zakrwawionymi od wewnątrz policzkami i tak jak teraz z jedną wyzutą ślinianką, napuchniętą do rozmiarów rodzyнки.

Nie powinni byli przypadkiem już wstać? Poranne słońce kładło się na suficie białym, jakby namalowanym pasem. Oboje z Denchem byli zarazem zbyt młodzi i zbyt starzy, by polegać razem prawie do południa, jednakże ich poronione kariery – zespół, dwa krążki, pisemko (potem kolejno strona internetowa i witryna widmo) z radami, jak sprawić, żeby życie było prostsze – zbankrutować! – trasy, podróże, szamotanina, buszowanie po parkach za szczypiorkiem i jadalnymi mleczami, przekraczanie limitu na kartach kredytowych, pstrykanie fotek ubraniom i wystawianie ich na eBayu („Obudź się – wykrzykiwała w środku nocy, siadając na łóżku – obudź się i posłuchaj, jaki mam pomysł!”), wszystko to doprowadziło ich tutaj, do sublokatorki na pół roku z możliwością trzymania zwierząt domowych. Wciąż przed czterdziestką, choć ledwo, kupili sobie trochę czasu. I co z tego, że obecnie zbierała monety, korki po winie i bloczki samoprzylepnych znaczków bez nominału? Z czasem nabiorą wartości, w przeciwieństwie do wszystkiego innego. Pod łóżkiem stało pudełko po butach z resztkami honorarium za ostatni koncert, na którym tylko jedna

czwarta sali była pełna. Zawsze mogła znowu ściąć swoje długie, niemal azjatyckie włosy, tak jak przed dwoma laty, i sprzedać je za tysiąc dolarów.

Rozważając powzięte złe decyzje, czasem wracała myślą do dnia, kiedy poznała Dencha: w pewien piątek dawno temu, podczas popołudniowej próby dźwięku w tym czy innym mieście, podszedł do niej wyfiokowany, roztaczając aurę rozmysłu i przygotowania, która jednak była tylko przebraniem dla czegoś z gruntu bardziej chaotycznego. Mimo że panowała zima, nosił okulary lustrzanki i cienką skórzaną kurtkę z podniesionym kołnierzem – stu pięćdziesięcioprocentowy palant. Jego strategia polegała chyba na tym, by z mety wyrzucić na ludziach wrażenie, nabrać wiatru w żagle i pędzić przed siebie, bo gdy ściągnął najpierw okulary, a potem kurtkę i zaczął grać melodię kogoś innego, był wyraźnie na fali. Rzucił się na jedno kolano i odstawił oszłamiającą solówkę na basie. Dorwawszy się do perkusji, przycisnął pałeczkę do talerza i zakręcił nią, dobywając przenikliwą nieziemską nutę, coś jak przy przejechaniu palcem po krawędzi kieliszka. Zaczął uderzać tamburynem to o swoją głowę, to o werbel. Gdy w końcu podszedł do pianina, powstrzymała go.

– Tylko nie pianino – poprosiła cicho. – Pianino jest moje.

– W porządku – rzucił. – Po prostu chciałem, żebyś знаła pełen zakres moich możliwości. – To powiedziawszy, sięgnął po gitarę akustyczną.

Czy mogła go nie pokochać? Czy zdrowy rozsądek nie miał nic do gadania?

Później, zwracając się do pozostałych członków zespołu, których sceptycyzm wobec Dencha był podszyty kulturalnym niesmakiem, oznajmiła:

– Nie rozumiem, czemu na strojenie orkiestry mówi się „kocia muzyka”. Ja uwielbiam słuchać, jak muzycy stroją instrumenty. Dla mnie mogliby nie grać nic więcej.

Jednakże od samego początku nie mogła zrozumieć, jak Dench zdołał się do tamtej pory utrzymać przy życiu. Znał dwie piosenki Ryana Adamsa i niezle grał na gitarze, choć nigdy nie robił tego zawodowo. Właściwie – z tego, co było jej wiadomo – w ogóle nie miał zawodu. Dość wcześnie oświadczył, że czeka na spadek, i uśmiechnął się przy tym. Nie była pewna, czy żartuje, czy mówi poważnie.

– Po kim? – zapytała. – Po matce?

A gdy i na to się uśmiechnął, pomyślała: trafiłam.

Ale nie. Jego matka zmarła, kiedy był nastolatkiem. Ojciec zniknął jeszcze wcześniej, skazując syna i córki na tułaczkę: z Ohio do Indiany, z Indiany do Kalifornii i z powrotem. Najpierw z matką, potem z ciotką. Najwyraźniej często przerywał naukę i miał w życiorysie białe plamy. Był też krótki flirt z Korpusem Pokoju. W Suazi.

– Na przykład stałem sobie na przystanku autobusowym i czytałem książkę, a miejscowe kobiety udawały, że chcą ją ode mnie pożyczyć, choć w rzeczywistości potrzebowały tylko paru kartek na papier toaletowy. A faceci, z którymi pracowałem? Zanurzali ręce w przewoźnych ubikacjach, bo chcieli mieć pachnące niebieskie dłonie.

Rany, musiałem się stamtąd zabierać. Podpisując kontrakt, nie w pełni zdawałem sobie sprawę z tego, co robię, dzięki czemu mój wuj, który znał jednego kongresmana, mógł pociągnąć za sznurki...

Jak Dench opłacał rachunki?

– To prawdziwa żonglerka – twierdził.

Przed obiadem lubił się upalić i właściwie nigdy nie rozstawał się ze skrzętem – zawsze jakiegoś trzymał w portfelu albo w szufladzie. Kurczaka pożerał w całości, skrzydełek i nóżek nie wyłączając, i jeszcze oblizywał kości.

I tak, chociaż nie umiała odróżnić awokado od lnu (trzymał w domu obie te rośliny) i chociaż nigdy nie widziała oświetlenia do hodowli roślin, nasion ani opracionego w ramki pozwolenia na uprawianie marihuany w celach leczniczych wydanego przez stan Michigan, KC zaczęła podejrzewać, że Dench zarabia na życie, sprzedając trawkę. Z początku wyglądało tylko na to, że przymierza się do procederu, nic nie mówiąc, ale w miarę upływu czasu sprawa robiła się poważniejsza. Zaśpiewał jej parę więcej piosenek. A potem, gdy rozgorzała między nimi namiętność, a uczucie miłości zadomowiło się w jej wnętrzu i budziła się koło Dencha ze spoconymi, skołtunionymi włosami, co nie zdarzyło się jej nigdy wcześniej, w sypialni przesyconej zapachem zgasłych świec i ulotną wonią gandzi, czując obok siebie jego jedwabiście perkalową skórę, zarazem chłodną i rozgrzaną, i gdy jedli ze sobą coraz częściej, przestała się przejmować tym, że handluje narkotykami. O ile handlował. Zresztą do cholery z tym. Przynajmniej coś robił. Przynajmniej robił tyle. Jego leniwe uśmiechy i sporadyczne błysnięcie banknotu w euro czy dolarach w kieszeni zdawały się to potwierdzać, aczkolwiek z drugiej strony był ciągły brak płynności finansowej, który tylko pogłębiał zagadkę, na równi z czekami z wydrukowanym D. ENCHER, tak że w końcu zaczęła się obawiać, iż mimo wszystko może jednak nie handlować narkotykami. Kiedy zapytała go o to wprost, rzucił tylko: „Zabawna jesteś!”. A po tym, jak zafundowała mu większość drinków i posiłków – najpierw jednego tygodnia, bo akurat był splukany, później zaś kolejnego – zaczęła wręcz prosić w duchu, nieco nieśmiało, żeby jednak był handlarzem narkotyków. Wreszcie trzymała za to mocno kciuki. Przy którejś okazji nawet się o to pomodliła. Ostatecznie była bliska błagania: „Tylko ciutkę skuna, kochanie. Tylko odrobinę dzeziku, krztynę MJ czy Mary Jane, ździebko pojarki...”.

On jednak dołączył do jej zespołu.

Kapela nazywała się Villa i nie przetrwała długo: trasy opłacali z własnej kieszeni, biorąc niewielkie pożyczki na działalność, a publika nie przepadała za piosenkami pisanymi przez KC (nazbyt piosenkarskimi, z rymami – galeria i mizeria! trup i ślub! – z których była niemądrze dumna), nie wyłączając jej ulubionego numeru, stałego w repertuarze, odkąd zahaczył o listę przebojów muzyki niezależnej, z tekstem traktującym o szefie kuchni z New Jersey, Jimie Barberze, w którym się pewnego razu kochała.

*To ja, kolendra jeszcze nieścięta.
To ja, nieubita do końca śmietana.
Chcę wiedzieć, czy ktoś jeszcze pamięta,
Że czas, bym trafiła w ręce pana.*

Nie zdawała sobie sprawy, jak okropnie to brzmi. Teksty jej piosenek nie były filuterne ani cwaniackie, ani dwuznaczne, ani bezpośrednie, lecz dawały wyraz zwykłemu skromnym nadziejom szarej myszki. Dziesięć lat spędziła na wydrapywaniu znaków w korze – jako mysz! Publika gwizdała – chłopcy z okularami w czerwonych oprawkach, dziewczęta w tych swoich krótkich sukienkach. Szczególnie znieawidzone były jej hiphopowe przeróbki Billy’ego Joela i Neila Younga (raz poproszono ją, żeby zaśpiewała „w dole rzeki”, a ona sądziła, że chodzi o tytuł piosenki Neila Younga *Down by the River*; opowiadała potem tę smutną anegdotę wielokrotnie). Będąc w trasie, budziła się po obcych łóżkach, nie mając pojęcia, gdzie jest ani co ją czeka nadchodzącego dnia, a nawet – raz czy dwa – nie wiedząc, kim jest, ponieważ wszystkie jej wysiłki zdawały się od niej odrębne, zdawały się tylko przywdziewanym przebraniem. Przy jakiejś okazji usłyszała, że łyzy oczyszczają organizm z toksyn, łąły się więc po jej twarzy i zostawiały wilgotne ślady na szyi, zbierając się w zagłębieniu obojczyka; musiała tylko uważać, by nie wpadły jej do uszu, gdyż wtedy toksyny zatoczyłyby krąg i wróciły tam, skąd się wzięły. Oczywiście informacja o toksynach okazała się nieprawdziwa. Łzy były porażająco czyste. Z czasem KC doszła do wniosku, że mają za zadanie wskazywać słabeuszy, aby świat mógł ich wyeliminować, tłukąc na śmierć i polepszając swoją przyszłość.

- Może nie wzbudzamy pozytywnych uczuć? – zapytała Dencha.
- To dlatego, że nie nazywamy się, dajmy na to, Birth Hearse for Dog-Face.
- Czemu się tak nie nazywamy?
- Mamy swoje standardy.
- Na pewno?
- Tak. I nie chodzi mi tylko o nasz popisowy bis, *Body and Soul*, chociaż o niego też. Miałem na myśli to, że mamy swoje zasady.
- Zasady! Też coś!

Mając na koncie spustoszone minibarki, tuby chrupek ostrożnie opróżnione, po czym na powrót starannie uszczelnione aluminiową folią i odstawione jakby nigdy nic na drewnianą tackę, zgarnięte z utensyliami łazienkowymi hotelowe ręczniki wrzucone do pożyczonej furgonetki z dużą naklejką na tylnym błotniku – przedstawiającą wizerunek Donalda Rumsfelda i głoszącą CZY PRZEZ TEGO GNOJA MÓJ WÓZ ŚMIERDZI? – mając na koncie to i jeszcze więcej, KC łąpała się wciąż na myśleniu: „Gdybyż tylko Dench handlował narkotykami!”. W gorące letnie dni wchodziła do delikatesów i nie tylko zżerała promocyjne poczęstunki w tych białych kubeczkach, lecz także sterczała

w dziale owocowo-warzywnym, czekając, aż pojawi się obsługa ze spryskiwaczami, i bezwstydnie nadstawiając ręce i ramiona pod wodę. Kąpała się z sałatami.

KC i Dench nie pielęgnowali swego talentu ani nie rozwijali go – tak przynajmniej im powiedział impresario.

Dench się obraził.

– Są jeszcze nagrody, wyróżnienia, trzeba pamiętać o różnorodności podejść, często szukają właśnie takich ludzi jak my! – wykrzyknął, zając się chrupki.

Gardenia w gardle KC, kwiat będący jej głosem scenicznym – którego wędnięcie trzeba było w trudach spowalniać przez lata – zaczął się już degenerować w zwykłego krokusa, a następnie strzępiącego się chwasta. Otrzymała coś doskonałego – młodość! – a osiągnęła niedoskonałość. Księżyc na niebie był w pełni, potem w kwadrze, świecąc w najlepsze bez niej. Czasami podążała od niechcienia za jakąś melodią – na podobieństwo kogoś, kto kopie po jezdni puszkę. Używając głosu mówionego, nie chrząkała, trzymała się niższych rejestrów i generalnie go oszczędzała, licząc na to, że jej głos śpiewany wzniesie się na wyżyny. W gruncie rzeczy oba głosy niczym się od siebie nie różniły, stanowiąc huśtawkę rejestrów, babciny tembr *à la* Myrna Loy w roli Billie Burke, rodem z przedwojnia, na które przypadły najlepsze lata wychowującej ją zamiast matki kobiety, owszem, pobierającej nauki w konserwatorium, lecz nigdy nie występującej na scenie, za to praktycznie wyśpiewującej każde zdanie, tak że rozbrzmiewało melodyjnie nawet zwykłe „Katherine, obiad!”. Jedyne wypowiedziane na łożu śmierci słowa – „Wyjdź dobrze za mąż” – zabrzmiały głucho, płasko, żałośnie, jak praktyczna wskazówka zdolna uratować życie, ale też sugerująca istnienie mrocznego ciasnego bunkra na jeszcze niewypowiedzianej wojnie. „Wyjdź dobrze za mąż” padło dopiero po tym, jak babka skończyła zaklinać KC, aby ta zdobyła dyplom nauczycielki. „Uczenie sprawia, że interesujący człowiek zamienia się w nudziarza, to prawda – mawiała. – Ale może również zamienić największego nudziarza w kogoś wartego uwagi. Wystarczy trochę optymizmu. W oczach optymisty wszystko ma swoje dobre strony”.

Nieszczęsna rodzicielka Dencha nie była w stanie zostawić mu – bądź jego siostrom – choćby złamanego grosza, mimo że zawsze jej słucał, nawet tamtego roku, gdy mieszkali w motelu i musiał nosić dziewczęcą koszulę nocną, żeby troje dzieci łatwiej było pomylić z jednym, na wypadek gdyby niespodzianie zjawiała się pokojówka, której donos mógł spowodować podwyższenie opłaty za pokój. Zmarła młodo, podłączona respiratorem prosto do portfela – w niezłym ciągu, jak mawiał Dench. Ilekroć opowiadał tę część, wydawał z siebie głośne komiczne świszczenie. Do ostatka prześladowało ją odejście męża, które zaważyło na całym jej życiu: ojciec Dencha zabrał ją do lokalu, po czym w połowie kolacji przeprosił grzecznie, mówiąc, że idzie sprawdzić, czy rowery stoją, wylazł przez okno w ubikacji i nigdy już się nie pokazał. Opowiadając tę część historii, Dench także wydawał z siebie świszczenie.

– Nie potrafię zdecydować, czy to było tchórzostwo, czy dziwaczny rodzaj odwagi – dorzucał.

– Ani jedno, ani drugie – odpowiadała.

Sieroty lgną do siebie. Tak słyszała. Łączyło je nieszczęście, niebędące naprawdę nieszczęściem, lecz tak właśnie odbierane przez resztę ludzi. Nieszczęście, które domagało się towarzystwa i samo w sobie było towarzystwem. Tylko sporadycznie odczuwali brzemię sierocego życia. Zdążyli się bardzo oddalić od domu. Tradycja duchowa podsuwała im pomysły piosenek. Nie zaglądali do skarbicyka ze wspomnieniami. Cały świat był dla nich sierocińcem.

Jednakże kiedy zamieszkali razem, Dench przeżył chwilę zwątpienia.

– A jeśli będą problemy? – zaniepokoił się.

– Przecież nie masz psa, który by się nie lubił z moim – odparła.

– Ale mam rośliny.

– Rośliny to nie pies.

– Aha, rozumiem: jesteś jedną z tych osób, które uważają zwierzęta za coś lepszego, za coś ważniejszego od roślin!

Przyjrzała się jego oczom, wielkim z oburzenia, od narkotyków albo z powodu szaleństwa.

– Ty tak na poważnie? – zapytała.

– Sam nie wiem – odparł i wrócił do rozpakowywania swoich rzeczy.

Podniosła się teraz z łóżka, aby wyprowadzić psa na przedpołudniowy spacer. Spała w starej letniej sukience, która o tej porze dnia od biedy nadawała się na dwór, pod warunkiem że zarzuciło się na wierzch rozpinany sweter i włożyło buty. KC była świadoma, że te ryzykowne zwyczaje są zaproszeniem dla obłądu.

★

Trafił im się z podnajmem istny fuks, nowoczesny nieduży dom ze stropodachem, z kamienia i drewna, wyposażony w wiatę i położony niedaleko szpitala, dzięki czemu w okolicy pełno było chirurgów i radiologów z rodzinami. Budynek szpitala właśnie modernizowano, tak że wysokie dźwigi budowlane przecinały niebo po sąsiedzku. Koparki z wielkimi łychami pracowały nocą przy sztucznym oświetleniu. Spacerując raz z psem, KC była świadkiem tego, jak wyposażona w szczęki głowica koparki spada na ziemię; po fakcie zdekapitowany wysięgnik pochylił się nad nią i trącił ją, jakby sprawdzając, czy przeżyła upadek. Naturalnie w kabinie siedział kierowca, lecz KC

później i tak nie potrafiła myśleć o koparkach jak o zwykłych maszynach. Gdy runął mur i jego ciche tajemnice rozprysły się na wszystkie strony, granice nagle straciły na jednoznaczności.

Właściciel domu nie miał ze szpitalem nic wspólnego. Był to przedsiębiorca imieniem Ian, który dorobił się majątku jeszcze w latach dziewięćdziesiątych na oprogramowaniu i od tamtej pory na miejscu spędzał tylko część czasu, wiele miesięcy z rzędu przebywając na Ibizie, w Zihuatanejo i w Portlandzie, gdzie szukał ciepła. Dom był w pełni wyposażony, nie licząc – o dziwo – łóżka, które musieli sami kupić. W pierwszy dzień znaleźli w lodówce żywność nie tyle porośniętą pleśnią, ile pokrytą kurzem.

– No nie wiem – bąknął Dench. – Popatrz na garderobę. Ian na pewno z niej korzystał. Przy tych mocnych uchwytach właściwie nie potrzebujemy łóżka. Możemy się z nich zwieszać jak nietoperze.

Przy Denchu zrozumiała, choć żadne nie wyraziło tego głośno, że to na niej spoczywa odpowiedzialność za doprowadzenie ich do celu (jakikolwiek ów był). Miała być tą panią z nawigacji GPS, która po zatankowaniu obwieszcza: „Wróć na drogę”. I starała się nią być, starała się być tak samo uparta, niewzruszona i przykuta do mapy; starała się nie powiedzieć tego, co pani z nawigacji miała taką ochotę powiedzieć – bynajmniej nie: „Wyznaczam nową trasę”, tylko: „Co ty, do kurwy nędzy, sobie wyobrażasz?!”.

– Z orbity musi to jakoś inaczej wyglądać – mówił Dench, proponując alternatywne rozwiązania różnego kalibru – jednakże tutaj, na ziemi, obowiązuje pewna logika. Tym razem mi zaufaj, o nic więcej cię nie proszę.

W tej zalesionej części miasta nie było chodników. Soki patykowatych gołych drzew dopiero ożywały po szalejącym pożarze zimy. Studzienki, które wkrótce miały się rozgrzać i zazielenić od sadźców, wciąż pełne były błota usianego żwirem, a ciągnący się na smyczy pies KC, Cat, niuchał każdą po kolei, czując roztopy i grunt uwalniający żywną woń przebudzonych dżdżownic. W górze wisiało nisko niczym rondo kapelusza brudnoperłowe marcowe niebo. Domy przycupnęły nieopodal bagien i platanów – gdy od czasu do czasu przejeżdżało auto, szarpała za smycz, aby pies szedł koło nogi. Ulice, wszystkie nazwane na cześć uczelni na Wschodnim Wybrzeżu – Dartmouth Drive, Wellesley Way, Sweet Briar Road; gdzie się podziała jej Alma Mater, SUNY New Paltz Street? – pobłyskiwały rozplaszczonymi karapakami terapeu, które nie pośpieszyły się wystarczająco przy wiosennym exodusie i teraz leżały przyklejone do nawierzchni, cienkie i lśniące niczym strony kolorowego czasopisma.

HOSPICJUM: NIGDY NIE JEST ZA WCZEŚNIE NA NASZĄ OPIEKĘ – głosił billboard przy kawiarni w okolicy, która uchodziła tu za handlową. Kawałek dalej stał znak drogowy z napisem TUTAJ PRZECHODZIĆ NA DRUGĄ STRONĘ. Myliłby się ten, kto by się uważał za prekursora surrealizmu. Najbardziej surrealistyczna była

rzeczywistość. Znaczną część ciągu handlowego zajmowała zamknięta księgarnia, której przeszklona witryna zdążyła pokryć się grubą warstwą kurzu. Z nazwy sieci odpadły litery D i R, tak że teraz szyld brzmiał BORES: „nudziarze” zamiast „granice”[5]. Upadłość, zaiste, otwiera oczy. Zresztą niebawem i tak wszystkie książki trafią do latryn Suazi.

Z Cata był dobry pies, mieszaniec corgiego i labradora, a jeśli KC, wchodząc do kawiarni, miała na nosie ciemne okulary, mógł nawet uchodzić za psa przewodnika, ona zaś za niewidomą, dzięki czemu nie musiała go zostawiać na zewnątrz przywiązanego do słupka.

W kawiarni puszczała muzykę Toma Waitsa i mieli eleganckie, fakturowane rękawki na kubki, prawdziwą śmietankę, cynamon w laskach i cukierniczki z dzióbkiem. KC zajęła miejsce w kolejce.

– Uwielbiam tę piosenkę – poinformował ją stojący przed nią mężczyzna, obracając się do niej. Trzymał na ręku brzdąca; był jednym z tych nowoczesnych miastowych ojców, którzy z powodu wieku wyglądają raczej na porywaczy własnych dzieci.

KC sama już nie wiedziała, co myśli o Tomie Waitsie: jego głos stał się taki industrialny.

– Hm. Moim zdaniem człowiek nie powinien słuchać muzyki w okularach ochronnych i kasku – powiedziała.

To akurat nie była najgorsza piosenka i wcale tak o niej nie myślała, raczej było jej przykro z powodu własnych pożałowania godnych melodyjek, w każdym razie kolejkowiczowi twarz się wydłużyła i odwrócił się od niej szybko, po czym już tylko brzdąc gapił się na nią ponuro ponad jego ramieniem.

Zamówiła najmocniejsze latte i czekając na nie, zaczęła czytać wiadomości z wierzchniej gazety wystawionej na stosiku pod kasą, przy której stały zapakowane w folię płyty kompaktowe. Gdy doszła do linii zgięcia, dyskretnie przewróciła gazetę, żeby doczytać artykuł. Przywykła już do tej metody częściowego poznawania newsów – nie mieli Internetu – a nawet śmiała się z niej pod nosem. Zaradność to podstawa! Takiej rady udzielało ich pisemko. Organizowanie Denchowi porannej kawy (wypijała swoją połowę w drodze powrotnej do domu, lekko parząc sobie język) przy okazji spaceru z psem było nie tyle oznaką zaradności, ile czystą koniecznością. Nieraz tęskniła za garkuchniami starej daty, wciąż istniejącymi za czasów, gdy koncertowali, i prowadzonymi przez jedną osobę, która obsługiwała kasę, bar i stoliki i zwracała się do klientów per „złotko” – dopóki ktoś nie poprosił o mleko sojowe, co ucinało wszelkie czułe słówka.

Teraz wracała, idąc Princeton Place, uliczką, którą rzadko wybierała, a która biegła równoległe do ich alei. Artykuł w dzisiejszej gazecie twierdził, że korzystanie z odmiennych tras ćwiczy pamięć. Przy ulicy tej stał rozległy dom z białej cegły, który widziała już wcześniej – zrobił na niej wrażenie z powodu nie tylko swej

majestatyczności i swoich rozmiarów, lecz także cudownego morza błękitu – oszłochu gęsto porastającego spadzistą, zalesioną działkę. Raz widziała tu nawet dwa jelenie z długimi ogonami, którymi potrzęsały niczym konie i machały niczym psy. Kiedy indziej zobaczyła takiego jelenia z całkiem bliska, przy krawężniku na Dartmouth Drive. Został potrącony z taką prędkością, że impet uderzenia pozbawił go głowy, otwierając szyję na podobieństwo rozczapierzonej wiązki przewodów.

Cat rwał do przodu, sporadycznie zbaczając na podjazdy, gdzie w pęknięciach nawierzchni widać było koniczynę.

Zapatrzyła się na boczne skrzydła domu, które albo miały superizolację, albo w ogóle nie były ogrzewane, bo na obu dachach wciąż leżał niestopiony śnieg. Znienacka przy skrzynce na listy pojawił się starszy mężczyzna.

– Czółko – rzucił na powitanie.

Zaskoczył ją, a poza tym okazana trochę na siłę jowialność kłóciła się z rozdzierającym wyrazem jego twarzy, przez który nieco przypominał łysiejącego siwego Jezusa na krzyżu, z oczyma szeroko rozwartymi i zmartwionymi, z drobnymi zmarszczkami wokół ust przywodzącymi na myśl ściągnięty mieszek podeszłych wiekiem sprawiedliwych.

– Wyszedłem tylko po gazetę – dodał. – Ładny pies.

– Catsby, wracaj tu! – Usiłowała skrócić smycz, ale mechanizm był zepsuty i linka tylko się rozwijała.

Mężczyzna poweselał. Sięgał już po gazetę, by ją wyjąć z plastikowej rury, jednakże powstrzymał się w pół ruchu.

– Jak się wabi? Cathy?

Nie wykrzywił twarzy z dezaprobatą, jak czynią głusi, nie dosłyszawszy czyichś słów. Ale roztaczał niedającą się z niczym pomylić starczą woń zalatującą amoniakiem. Brała się z potu, który nie wyciekał już porami, tylko gromadził się na powierzchni skóry ewaporowanymi łuseczkami.

– Nie, Cat. To częściowo imię, a częściowo... hm... żart. – Nie zamierzała wdawać się w opowieść o tym, ile w jej rodzinie było kobiet imieniem Katherine ani jaki to ołtarzyk z lodówkowych magnesów urządziła Cat Power, ani tym bardziej rozwodzić się nad chorym poczuciem humoru, które uczyniło z tego psa (tak samo jak z innych domowych ulubieńców) tablicę zapisywaną przez właściciela jego pokrętną miłością i wątpliwą mądrością.

– Rozumiem – odparł, uśmiechając się skwapliwie. – A pani jak się nazywa?

– KC. – To musiało wystarczyć.

– Casey?

– Tak – potwierdziła. Zdarzało się, że jedno życie rymowało się z drugim, czasem tylko o włos, i można było je oba pomylić z prawdziwym.

– Mieszkamy tu za rogiem. Podnajmujemy.

– Podnajemy! No, to wszystko wyjaśnia.

Nie ośmieliła się zapytać, co dokładnie, choć wilgotne oczy miał roziskrzone – a może rozbawione – i nie dostrzegała w nich dezaprobaty. Cat zaczął nagle głośno szczekać na królika, ale zaraz się obrócił i jął obszczekiwać staruszkę, który cofnął się teatralnie, uniósł gazetę nad głowę i udawał przestraszonego, jakby wygłupiał się dla dziecka.

– Tylko mi nie ukradnij mojej krzyżówki!

– Pies, który dużo szczeka, mało gryzie – powiedziała KC. – Cat, do nogi!

– Nie rozumiem, czemu wszyscy wiecznie to powtarzają. Każdy szczekacz to potencjalny zabójca.

– Gdyby króliki nie były takie urocze, nie przejmowalibyśmy się, że psy je zabijają. Po co ktoś zrobił je takie urocze? Jaki Natura miała w tym cel?

Staruszek się rozpromienił.

– Filozofka z pani!

– Niezupełnie – odmruknęła takim tonem, jakby sama nie była pewna.

– Moim zdaniem króliki są dla nas urocze niejako przy okazji. Głównie są urocze dla siebie samych. A głębszy cel? Najnowszy miejski szkodnik staje się strawny: nikomu nie zabraknie króliczej potrawy.

– Już wiem! Przypomina mi pan tę postać z bajki, pana McGregora. Zawsze strasznie się go bałam! – Uśmiechnęła się.

– Mnie nie trzeba się bać. Ale rzeczywiście mamy ostatnimi czasy zatręsenie królików! Istną biblijną plagę króliczków! Wejdzie pani do środka dopić kawę?

Nie wiedziała, jak potraktować zaproszenie; czy staruszek był obleśny, czy po prostu miły. Kto to mógł wiedzieć w dzisiejszych czasach? Odkąd się tu przeprowadzili przed dwoma miesiącami, właściwie nikt nie powiedział do nich dobrego słowa. Zabarwione herbatą zęby staruszka prezentowały sepiowy uśmiech – rentgen dentystyczny z dziewiętnastego wieku.

– No, miło było poznać – rzucił staruszek, odwrócił się i skierował kroki ku domowi z portykiem, gankiem i dwoma kamiennymi kominami, ze skrzydłami wschodnim i zachodnim, i jeszcze jednym, mniejszym, wychodzącym na południe z tyłu, tak że ledwie widziała jego dużą, długą werandę wykorzystywaną jako sypialnia w cieplejsze miesiące. Wszystko tu, na Princeton Place, wydawało się większe niż na Wellesley Way. KC nienawidziła pieniędzy, aczkolwiek zdawała sobie sprawę, że są potrzebne do życia jak krew. Ona jednak nie potrafiła znieść widoku jednego i drugiego. Uważała, że całej tej dzielnicy przydałaby się mała zgrabna gilotyna albo tłum mężczyzn w kaszkietach i z widłami.

– Miło było poznać – zrewanżowała się, wcale tak nie myśląc.

- Masz swoją kawę – powiedziała do Dencha, który nie zdążył wstać z łóżka.
- Faj. Letnie popłuczyny.
- Ej, nie marudź. Następnym razem ty możesz mi przynieść połowę.
- Nie marudzę – mówiąc, przeciągał sennie zgłoski – ale wydaje mi się, że zeszło ci dłużej niż normalnie.

Energicznie przyłożyła do głowy szczotkę i zaczęła się czesać. Jeśli zaczeka z tym trochę dłużej, może wyciągnie tysiąc dwieście. Odrzuciła włosy na plecy i zgięła się w pasie. Jedynie w lustrze mogła zobaczyć swój tatuaż na szyi, złożony z liter fontu Gotharda, który kazała sobie zrobić przy okazji koncertu w Decatur w Teksasie dla przypomnienia, aby nie występować tam nigdy więcej.

- Dziwny sposób na pamięć – zauważył wtedy Dench, na co ona odparła:
- Znasz lepszy?
- W kawiarni była kolejka? – zapytał teraz, mlaskając.
- Nie. Zatrzymałam się po drodze, żeby z kimś porozmawiać. Cat włązi na każdy podjazd, po którym kiedykolwiek przebiegły wiewiórka albo królik.
- Z kim?
- Z jakimś prykiem.
- Hej, ta kawa nie jest taka zła. Wyczuwam w niej wiśniową nutę... Pomalowałaś wargi błyszczkiem?
- Zauważyłeś, że tu w okolicy jest sporo ludzi z kasą?
- Powinniśmy ich wszystkich poznać. Potrzebni nam producenci.
- Sam sobie poznawaj. – Ona miała zamiar doksztalczyć się na temat gilotyn przy okazji najbliższej wyprawy do biblioteki, gdzie mieli Internet.
- Jesteś ładniejsza ode mnie. Oczywiście ma z tym wiele wspólnego różnica wieku między nami.

Uwielbiała Dencha. Była bezradna wobec całości emocjonalnych wyzwania, jakie przed nią stawiał. Jednakże to nie przeszkadzało KC nienawidzić jego i wszystkiego, co się z nim wiązało, nie wyłączając siebie samej i własnego głosu – oraz jego głosu, który był jeszcze gorszy. Piekielne obrazy pojawiały się na porządku dziennym, czasem tylko dla niepoznaki ujęte w krzykliwe połączane ramy. Miłosa nadzieja – skąd czerpały ją kobiety? Z całą pewnością nie z mężczyzn – ci byli żywymi caveat emptorami. Czerpały ją z innych kobiet, gdyż koniec końców wszystkie wołałyby się nawzajem siebie pozbyć, niż musieć znosić się na co dzień. Dlatego tak się nakłaniały do wchodzenia w związki.

- Kocha cię! Widać to po jego oczach – kłamały.

– Casey! – zawołał staruszek nazajutrz rano. Stał przed domem, zbijając z desek coś, co przypominało karmnik na słupie.

– Witam!

– Zna pani moje imię?

– Słucham?

– Żartowałem. – Nadal zdawał się do niej krzyżeć. – Naprawdę nazywam się Milton Theale.

– Milton – powtórzyła, wyczytała bowiem, że w ten sposób ludzie wspomagają swoją pamięć. – Dziś nikt już tak nie nazywa dzieci.

– Wielka szkoda i chwała Bogu! Mój ojciec zawsze tak mówił, a ja, odkąd się zestarzałem, mam głowę nabitą jego dowcipami i powiedzonkami zamiast swoimi, które najwyraźniej mi wywietrzały.

– Och – bąknęła. – Cóż, dopóki nie zacznie pan wierzyć, że jest własnym ojcem, chyba nie ma w tym niczego złego.

– Hm, to może być następny etap.

– Zazwyczaj tak jest.

Zmrużył oczy, aby lepiej jej się przyjrzeć, najwyraźniej znów coś w niej podziwiając, aczkolwiek nie miała pojęcia, co by to mogło być. Zapewne coś, co tylko sobie ubzdurał.

– Miło było znów panią spotkać – powiedział. – I ciebie też – dodał, zwracając się do psa. – Chociaż dziwnie wyglądasz... Jakby poskładali cię do kupy nazistowscy lekarze: głowa owczarka, ciało jamnika, a...

– Tak, wiem. Czasami przypomina mi tego psa z *Inwazji łowców ciał*.

– Proszę?

– Mówię o remake'u.

– Remake'u czego?

– Frankensteina! – ryknęła. Przez jego głuchotę dostanie tu zawału. Może taki plan miała wobec nich Natura: żeby się nawzajem pozabijali w skuteczny, jeśli nawet irytujący sposób. KC czuła, jak ciepło opuszcza kubek z kawą i wędruje po jej dłoni. – Cat przypomina mi psa zmajstrowanego w laboratorium Frankensteina!

Chwilami darzyła czworonoga szczerą nienawiścią. Przez to, że był nieświadomy potrzeb innych i że nic, tylko rozmawiał inaczej o własnych pragnieniach – w ludzkim świecie coś takiego wskazywałoby na poważne zaburzenie osobowości.

– Nie jest aż taki zły – zaproponował Milt. – Możemy mu tylko pozazdrościć niespożytej energii. Przydałaby nam się taka, w formie tabletek.

– O, tak.

– Ależ pani jest jeszcze młoda, niepotrzebne pani wspomagacze.

– Coś by mi się przydało. – Czyżby się skarżyła? Nigdy jeszcze tego nie zrobiła w obecności nieznanego.

– Skoro tak, zapraszam do środka na muffinkę z jeżynami.

Ponownie nie była pewna, gdzie kończy się dobrosąsiedztwo, a gdzie zaczyna się flirt. Zdawała sobie sprawę, że w okolicy takiej jak ta wylewność jest mile widziana, ale słyszała też o rodzicach, którzy odwiózłszy swoje pociechy na mecz, wymykali się, żeby uprawiać seks w najdalszej części parkingu. Zasady były więc mocno niejasne.

– A przy okazji pomoże mi pani z krzyżówką – dodał staruszek.

– Nie, nie mogę. Muszę wracać do domu. Mam wiele do zrobienia.

– Do zjedzenia? Przecież już jest po śniadaniu.

– Do zrobienia – powtórzyła KC.

Możliwe, że jego głuchota wystawiła na ciężką próbę wszystkich sąsiadów i dlatego był dla niej taki miły. Z drugiej strony, nikt wtedy nie spacerował. Ludzie albo truchtali ze słuchawkami w uszach, albo przejeżdżali autami z zawrotną prędkością. Jeden staruszek by tego nie spowodował. A może jednak?

– No więc?

– Muszę wracać do domu.

– Cóż, trudno – powiedział i pomachał jej.

– Może jutro – dodała z dobroci serca.

Skinął głową i złapał za młotek.

KC przystanęła, by zapytać:

– Robi pan karmnik dla ptaków?

– Nie, nie karmnik. Kącik z książkami! Ustawię tu książki i każdy będzie mógł sobie jakąś wziąć. Trochę jak w bibliotece. Skoro zamknęli nam księgarnię. Muszę jeszcze tylko zamocować drzwiczki.

– Wspaniały pomysł.

Lakierowana sosnowa budka przypominała nieco górską chatę dla lalek.

★

– Podpuszczasz dziada? Świetny pomysł.

– Odbiło ci?

– Tak tylko mówię – łagodził Dench ścisłym głosem. – Pewnie jest nadziany.

I niedługo musi kofnąć. I...

– Przestań. – Z Dencha wyłazł przekręciarz zdolny do przemocy w imię wolności, zupełnie jak jego ojciec, który zwał przez okno w męskiej ubikacji. – Ani słowa więcej.

– Ejże, przecież nie każę ci go zamordować! Mówię tylko, że mogłabyś z nim pospędzać trochę czasu, uszczęśliwić go, a w efekcie... eee... wszyscy bylibyśmy trochę szczęśliwsi. Nikomu nie stałaby się krzywda.

– Naprawdę przeszedłeś na ciemną stronę.

Potrafił nie mieć wstydu. Być może bezwstydnosc trzymała na dystans gorycz. Dench nie był zgorzkniały. Nie zalatywał nawet goryczką. Splin pojawiał się wtedy, kiedy człowiek zrobił coś dobrego i nie spotkała go za to nagroda. Dench tak nie działał. Z kolei KC od urodzenia miała predyspozycje do nieukontentowania i dlatego wiecznie się rozglądała, co by tu zrobić bez nagrody, aby znaleźć wytłumaczenie dla swego samopoczucia – zawsze nadaremno. W związku z tym chodziła skwaszona, mogąc co najwyżej próbować zmienić swoje pH za pomocą lodów i biografii Billie Holiday.

– Czy nie ty przypadkiem napisałaś: „Dorwij wreszcie mięsa kawał”? – I Dench zaczął śpiewać: – „Bo z tej podeszwy nie zrobisz nic, choćbyś na głowie, brachu, stawał, wyjdzie ci jeden wielki pic”. Przecież to twoje własne słowa!

– Napisałam je, kiedy byłam zakochana w szefie kuchni. Zanim poznałam ciebie.

– To dobry tekst. Łączy egzystencjalizm z doradztwem. – Unikał jej wzroku.

– Zachowujesz się jak alfons. To nazywasz swoim „talentem do życia”? – Pochwalił się jej raz, że coś takiego posiada.

– Improvizuję po prostu.

– Lepiej uważaj, Dench. Podchodzę do twoich propozycji bardzo poważnie.

Milczał przez chwilę, spoglądając na nią surowo (jednym okiem) i łagodnie (drugim).

– Moja pierwsza rada brzmi: nie słuchaj moich rad. Zawsze do usług.

– Czujesz ten smród? Mdlący, siarkowy... – Popatrzyła na niego z troską, której on nie przejawiał.

– *Zeitgeist!*

– Coś tu gnije...

– Mięso czy podeszwa?

– Coś w tym domu zdechło zimą, a teraz na wiosnę zaczęło się rozkładać w piwnicy albo na poddaszu, albo w którejś ze ścianek działowych.

– Może to przez moją alergię, ale zdawało mi się, że coś czuję po tej stronie domu, zwłaszcza w cieplejsze dni, kiedy starałem się złapać na telefonie lepszy zasięg. Zapach był kapuściano-serowy, lekko capi, z domieszką amoniaku.

Upiła łyk jego kawy.

– Pewnie ma dorosłe dzieci, które wszystko odziedziczą.

– Pewnie tak – zgodził się Dench, odwracając od niej głowę i zaraz znów spoglądając na nią uważnie.

– Co? – zapytała.

– Nic – odparł.

★

Dała się złapać na jego seksapil, oszczędne i pomysłowe potrawy (aczkolwiek daleko mu było do Jima Barbera), zadumany wzrok, autoironiczne poczucie humoru. Ale w efekcie miała wrażenie, że weszła do pięknego z zewnątrz domu, który w środku okazał się pusty. Na początku przyłapywała go na wymianie spojrzeń z innymi, jakby porozumiewawczo. Nieustannie brakowało mu pieniędzy. To ona za wszystko płaciła. Czasem przyglądał się jej ze wzdrganiem. W skrócie, trudno było mówić o miłości romantycznej między nimi. Na pewno nie rozmawiali o płomiennych uczuciach. Czuli po prostu wzajemne przywiązanie. Swoje robiła siła jego głosu, kiedy opowiadał o sprawach niemających z nimi nic wspólnego, drażąc nieustająco historyjki z dzieciństwa: o psach, występkach i gniewie na własną rodzinę. Był przystojny. Był zabawny. Lecz nie był emocjonalnie zrównoważony. Ani zdolny do bliskości.

– Trefle i piki – żartował – nie serca ani dzwonki. Czerwonych kart nie rozróżniam. Nikt nie chce ze mną grać w karty.

– Przymknij się i pij swoje piwo.

No i gdzie te narkotyki?

Widziała, że Dench w swoim mniemaniu może grać na jej braku pewności siebie, nie ryzykując odrzucenia. A czy w dziennikach nie było pełno wiadomości o młodych i pięknych gwiazdach filmowych, zastępowanych jedna po drugiej nowymi, młodszymi i jeszcze piękniejszymi gwiazdami filmowymi? Na co mogła w takiej sytuacji liczyć zwyczajna kobieta? Dench szukał sponsorki, a przez nieuwagę zgłosił się do niej na przesłuchanie. Gdyby była mniej pokancerowana psychicznie, niż to sobie wyobrażał u kobiety w jej wieku, a przynajmniej gdyby była pokancerowana w inny sposób, byłby próbował ją zranić. Ona jednak miała większą odporność na zranienia, niż sądził. Oszczędzono jej ojca, który poszedł sprawdzić, czy rowery stoją. Skoro już o tym mowa, jej ojciec zginął pod kołami auta marki Rover. Razem z jej matką. To dopiero dziwaczne, nie? No ale KC była wtedy malutkim dzieckiem, więc nie przeżyła tego zbyt wiele.

Jej babka prawie w ogóle nie wspominała o rodzicach. Przebiegali na drugą stronę

ulicy, trzymając się za ręce, co śmiertelnie ich spowolniło.

No i gdzie te niedozwolone substancje?

Cierpliwość to też substancja. Pozyskiwana z rud. Wywodzących się z gwiazdy. Czują, że też jej trochę zawiera. Nie zawsze jednak przynosiło to owoce, a przynajmniej nie zawsze przynosiło to słodkie owoce. Pewnego razu odkryła w kieszeni jego płaszcza list – brudnopis skreślony znajomym charakterem, znajomo pokreślony – który zaczynał się od słów: „Miałem kłopoty z wyartykułowaniem tego, ale twoja miłość wiele dla mnie znaczyła”. Nie czytając dalej, odłożyła list na miejsce, ponieważ nie chciała pokrzyżować mu szyków ani zepsuć sobie niespodzianki. Pozwoliła mu dokończyć w swoim czasie i wybrać odpowiednią chwilę. Jednakże list nigdy nie nadszedł pocztą ani żadną inną drogą. A czekała miesiącami. Kiedy wreszcie o niego spytała, ogólnikowo, Dench popatrzył na nią kpiąco i odparł:

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

✱

Szerokie drzwi domu staruszka prowadziły do zaciemnionych pokoi, a korytarze do schodów otwierających się na inne korytarze. Całe rejony były odcięte za pomocą beżowych koców trzymających się dzięki częściom wędkarskich oszczepów – KC domyśliła się szybko, że chodzi o obniżenie kosztów ogrzewania. Wszędzie walały się sterty rzeczy do czytania: dość przytulny bałagan, na który składały się czasopisma, niektóre otwarte i porzucone, oraz książki, zarówno nowe, jak i używane, w stosach. Na szczycie jednego stała uschnięta zielistka, przypominająca Boba Marleya po chemioterapii, jak zwykli byli mówić z bezdusznym humorem na wszystkie swoje ledwo zipiące rośliny. Dopatrzyła się w tych hałdach paniki (na myśl o choćby krótkotrwałej nudzie) i nieuzasadnionego optymizmu w odniesieniu do czasu. W jednym z dalszych pomieszczeń wyczała fortepian, stary egzemplarz marki Mason & Hamlin, z matową od kurzu hebanową obudową. Pokrywa klawiatury była zamknięta i zasłana gazetami. KC zaciekało to, czy instrument jest nastrojony.

– Proszę nie zwracać uwagi na bałagan, tylko iść za mną; muffinki są w kuchni – powiedział chwiejący się na nogach staruszek.

Podążała za nim na tyły domu. Skóra czaszki pod rzadkimi siwymi włosami była błyszcząca i pokryta dużymi brązowymi żyrafimi plamami – gdyby nie stanowiły zapowiedzi zbliżającej się śmierci, wyglądałyby atrakcyjnie i wymyślnie i pewnie młodzi chcieliby sobie takie tatuować („Co dałeś sobie ostatnio wydziarać?” – „Plamę

wątrobową!”). Ich mniejsze kuzynki pstrzyły dłonie staruszka.

– Łudzę się, że ten bałagan przydaje uroku, a nie jest oznaką stetryczenia, ale chwilami sam już nie wiem.

– Tu jest jak w antykwariacie albo w sklepie z antykami. Uroczo.

– Naprawdę?

– Może powinien pan pójść na całość i poprzyczepiać metki do wszystkich przedmiotów. – Na jej twarz wypłynął rumieniec wstydu.

– Ha! Taki mniej więcej był mój zamiar, gdy idzie o kącik z książkami na zewnątrz. Żeby na coś się to wszystko przydało. Ale proszę śmiało wysuwać swoje propozycje. Wszystkie sugestie mile widziane.

Muffinki okazały się sklepowe, podgrzał je tylko w mikrofalówce. Wcale ich sam nie upiekł.

– Niewiele kupuję. Człowiek nigdy nie wie, ile mu jeszcze zostało. Odpuściłem sobie zielone banany. Byłyby z mojej strony naiwną wiarą w przyszłość.

– Bardzo śmieszne.

– Tak? – Błądził wzrokiem po jej twarzy.

– No... to znaczy... Tak.

– Zaparzyć pani kawy czy wystarczy pani własna? – Skinął głową w stronę styropianowego kubka, który wciąż trzymała w ręku, z białą plastikową przykrywką i modzelowatym szaroburym rękawkiem zrobionym z makulatury.

Zerknąwszy na blat, zorientowała się, że staruszek ma na myśli kawę rozpuszczalną – obok kuchenki stał słoiczek nescafé. Włączył palnik i gaz pod czajnikiem rozkwitł chabrowymi płatkami bławatka.

– Och, moja mi w zupełności wystarczy – odparła KC. Nie przejmowała się, że Dench nie dostanie dzisiaj swojej porcji kofeiny. Z pewnością wolał, aby ta dobrosąiedzka misja powiodła się w pełni.

Usiadła przy stole, a Milt położył na talerzu przed nią jedną muffinkę i sam zajął miejsce naprzeciwko.

– Proszę mi o siebie opowiedzieć – rzekł, po czym uśmiechnął się blado. – Jak pani trafiła do tej dzielnicy?

– Aż tak bardzo się wyróżniam?

– Obawiam się, że tak. I to nie tylko z powodu tatuaży.

Były raptem trzy. Zamierzała mu później przedstawić historię każdego, gdyż tym właśnie były: pretekstem do opowieści. Jej szyję zdobił „Decatur”, przestrzegając przed powrotem w to miejsce. Wzdłuż obojczyka biegł napis „Moline” – dokąd również ani myślała wracać. Na lewym bicepsie miała wytatuowane „Swanee”, gdyż uwielbiała wznoszące się akordy tej piosenki, wyznanie nostalgii, które zespół rozłożył na części pierwsze i przemienił w drwinę. Czasem grali ją na bis. Jeśli bisowali. Przy okazji było to też przypomnienie, aby nie wracać do pewnej innej miejscowości.

Zazwyczaj nawet o nich wszystkich nie pamiętała, chyba że spojrzeła w lustro po kąpieli.

– Nie zrobiłam kariery w branży muzycznej i wylądowałam tu w sublokatorce. Wróciłam do tego miasta, ponieważ za młodu odwiedzałam tutaj swoją babkę w domu spokojnej starości. Zapamiętałam jezioro. Dom spokojnej starości stał nad brzegiem, a ja podczas każdej wizyty szłam do wielkiej sali z wielkimi oknami, dokąd pędziła za mną babka w wózku inwalidzkim. Pobijała na nim rekordy prędkości.

Uśmiechnął się do niej.

– Znam to miejsce. Otwarto w nim skrzydło hospicyjne pod nazwą Zakątek Pamięci. Chociaż żaden z pensjonariuszy nie pamięta nawet, jak się nazywa.

KC wsunęła muffinkę do ust i rozprostowała wilgotny krenelażowy papierek, składając z niego półkole.

– Jaką muzykę pani tworzy? Głośną i pełną gniewu? – zapytał, szczerząc się do niej.

– Czasami taka była – odparła, żując. – Ale bywała też cicha i zadumana. – Czas przeszedł. Jej zespół był trupem, aczkolwiek nie zginął w katastrofie lotniczej, gdyż tylko raz było ich stać na bilety na samolot. – Zajrzę jeszcze kiedyś i coś panu zagram – obiecała.

Jego twarz się rozjaśniła.

– Każę nastroić fortepian.

*

Znowu dało się wyczuć ten smród, tający wraz z ostatnimi podrygami zimy. Mieszkali w okolicy, w której człowiek nie uświadczyl choćby cuchnącej cebuli w kontenerze na śmieci, lecz teraz mieli w domu ten dziwny mięsny odór z nutą roqueforta.

– Co to twoim zdaniem może być? – zapytała przez drzwi łazienkowe. Przedwiośnie sprowadziło nowe wirusy i Dench właśnie ordynował sobie waterboarding za pomocą irygatora.

– Co?

– Ten smród.

– W tej chwili niczego nie czuję, mam zbyt zapchany nos.

Zajrzała do łazienki i zobaczyła, jak wisi nad wanną, przytykając sobie do nozdrzy plastikowy dzbanuszek neti, a woda spływa mu po wargach i brodzie.

– Pękłeś już i zdradziłeś tajemnice państwowe?

– Kurwa, nie! – zawołał. – Przekłęci irygatorzyści nic ze mnie nie wycisną!

– Będzie można wziąć książkę albo zostawić. To prosta zapadka, bez zamka.

Miodowej barwy deseczki zbite pod kątem jak w karmniku dla ptaków rzeczywiście były narażone na zasiedlenie przez skrzydlatą brać, o ile wewnątrz nie zapełni się szybko książkami i drzwiczki nie zostaną zamknięte.

– Zobaczmy, co tam pan ma. – Podeszła bliżej. Amoniakalny zapach jej nie przeszkadzał.

– Och, na razie niewiele. – Stare wydanie *Szwajcarskich Robinsonów* i egzemplarz najlepszej książki Davida Fostera Wallace’a. – Najbardziej liczę na dzieciaki – dodał. Zdążył już wystawić tablicę z napisem KĄCIK Z KSIĄŻKAMI. Podobnie jak w przypadku publicznych rowerów, można je było pożyczyć i nie oddać. Dench do tej pory korzystał prywatnie z jednego z takich rowerów publicznych. – Pomyślałem, że skoro nie ma już księgarni, za to niedaleko jest szpital, ludziom przyda się coś do czytania.

Pomijając elegancję drewna, było w tym wszystkim coś staromodnego i słodkiego – KC nie powstało w głowie napomknąć o możliwości ściągania plików z Internetu.

– Założę się, że Niemcy mają jedno słowo na nabieranie uczucia do własnego domu w trakcie przygotowywania go do wystawienia na sprzedaż.

– *Hausengeltenschmerz* – rzuciła KC.

Nie roześmiał się. Myślał.

– Moja żona by wiedziała.

Była lekarzem. Powiedział jej to teraz, gdy jadła w jego kuchni drugą muffinkę. Wcześniej była już zamężna, tak że cała sprawa okazała się swego rodzaju końcem dla nich obojga – Milton pozostał kawalerem aż do sześćdziesiątki i nagle musiał zmienić kawalerskie przyzwyczajenia.

(„Kawalerskie przyzwyczajenia! – podchwycił później Dench. – Chyba rozumiesz, do czego on zmierza?”)

– Była światową i inteligentną kobietą, onkolożką oddaną medycynie rodzinnej i polityce zdrowotnej kraju – opowiadał Milt.

KC przyglądała mu się długo w ciszy, kiedy wspominał, krzywiąc się lekko, podczas gdy jego umysł wertował pliki.

– Niespecjalnie mi się układało z jej córkami. Ona jednak, cóż, ona była miłością mego życia, nawet jeśli pojawiła się w nim późno i tylko na krótko. Odeszła dwa lata temu. Śmierć była dla niej wybawieniem. Chyba. Przypuszczam, że tak się mówi.

– Moje kondolencje.

– Dziękuję. Wspaniała była z niej towarzyszką. Ja przy niej jestem tępakiem. –

Zapatrzył się na KC. – Po jej odejściu zrobiło się w moim zakątku pusto i smutno.

Zdjęła mokry okruszek z przodu marynarki.

– Z pewnością ma pan tutaj jakichś przyjaciół – powiedziała, po czym szybko włożyła okruszek do ust.

– Przez „zakątek” miałem na myśli „podeszły wiek”.

– W pewnym sensie się domyśliłam. Nie ma pan sąsiadów rówieśników?

– Rówieśników? Nikt nie jest tak stary jak ja. – Wyszczrzył do niej sepiowe uzębienie.

– Proszę tak nie mówić. – Druga muffinka zniknęła, a ona łypała okiem na następne.

– Chyba jestem starszy, niż wyglądam. A na ile wyglądam?

Wyczuła podstęp.

– Na trzydzieści pięć lat – powiedziała, uśmiechając się leciutko.

– Cha, cha! Najsmutniejsze w starości jest to, że nie ma kto przyjść na pogrzeb.

Zawsze mówiła „trzydzieści pięć”, nawet w rozmowach z dziećmi. Każdy chciał być trzydziestopięciolatkiem, zwłaszcza przedszkolaki i staruszkowie. Dosłownie każdy. KC sama oddałaby palec albo dwa, aby znów mieć trzydzieści pięć lat. Oddałaby trzy palce.

Popatrzył na nią ciepło.

– Niegdyś pobierałem lekcje gry aktorskiej, dzięki czemu udaje mi się zapanować nad starczym drzeniem głosu.

– Będzie mnie pan musiał tego nauczyć.

– Pani ma śliczny głos. Jestem na to czuły. Pomimo głuchoty i brzęczenia w uszach. Które nawiasem mówiąc, stanowi miłą namiastkę cykad, kiedy człowiek stęskni się za nimi zimą. Czasami tak mi gra we łbie, że gdyby nie te ciężkie ortopedyczne buty, byłbym tańczył po całym domu. Pani była wokalistką w tym zespole?

– Skąd pan wie? – Plasnęła dłonią o stół, jakby dokonał wielkiego odkrycia.

– Poznałem po sposobie, w jaki pani mówi, używając raczej dźwięków niż słów. Naprawdę mam zamiar zrobić porządek z tym fortepianem, żeby mogła pani dla mnie zaśpiewać.

– O, nie wydaje mi się. Wyszłam z wprawy. Chyba nawet bardziej niż pański fortepian. Tak jak mówiłam, moja kariera utknęła w martwym punkcie. Potrzebny nam łut szczęścia, wie pan, jak to jest. Bez odrobiny szczęścia wszystko sprowadza się do teorii.

– My?

– Ja i mój partner, członek zespołu. – Przełknęła i poruszyła szczękami, mimo że usta miała puste.

Dench był jej partnerem. I członkiem zespołu. Ale co ona wyprawia? Ma zamiar ukrywać przed Miltem, że jest w związku? Dench by tego chciał. Dziś rano przed wyjściem, kiedy go zapytała, co mu przynieść, posłał jej z łóżka wrogie spojrzenie.

– Masz sporo nocnych koszul.
– Wszystko to stare sukienki estradowe – odparła.
Kiedy się szykowała do spaceru, dorzucił:
– Nie zapomnij o kawie. Ostatnio zapomniałaś...
– Dobrze mieć partnera w interesach – skwitował Milton, siedząc z nią teraz w swojej kuchni. – Ale to jeszcze nie wszystko.
– Prawdziwy z niego geniusz – skłamała. Czyżby przechwalała się Denchem w reakcji na wzmiankę o świętej pamięci żonie Milтона?
– Zatem pani też spotkała paru geniuszy. – Uśmiechnął się. – Czyli nie narzeka pani. Życie z geniuszem to jest to.
Miała na co dzień tyle szyderstwa, że ta odrobina wcale jej nie przejęła. Spojrzała mu głęboko w oczy i przez otwory wycięte w katarakcie dostrzegła tam zapaskudzony błękit. W tym świetle widziała nawet ostre krawędzie.

★

– Myślisz, że nasz najemca, Ian, pożalowałby nam paru książek?
– Nikomu nie żal paru książek. Taka jest prawda. Starczy spojrzeć na szyld tu, niedaleko.
Pił do zamkniętej księgarni sieci Borders z jej zagubionymi „d” i „r” – być może to sam Dench je ukradł i zachomikował pod łóżkiem; nie miała odwagi tego sprawdzić.
– Stary Milt otwiera kącik z książkami. Chciałabym mu pomóc.
– Rozumiem.
– Zabiorę tylko kilka. Swoich nie mogę dać nikomu, bo popodkreślałam w nich żenujące fragmenty. Długopisem. – Nie wspominając o wykrzyknikach biegnących z góry na dół marginesu niczym ogrodzenie Christa. Może miała to w genach. Pewnego razu wyszperaała na babcinej półce z książkami przerażająco pokreślony egzemplarz *Świata zabawy*. Na co drugiej stronie widniało słowo „hola!”.
– Chodź tu. Połóż się na mnie. – Minę miał przy tym trochę taką jak w przypływie namiętności, a trochę jak podczas zamawiania lunchu.
– Zmiażdżę cię. Przytyłam prawie trzy kilo od ciągłego jedzenia muffinek. – Złapał ją za rękę, ale delikatnie się oswobodziła. – Daj mi trochę czasu. Zamierzam ukrócić słodycze i skrócić dłonie o parę palców.
Założyła naszyjnik z prawdziwych pereł tak małych, że wyglądały jak ziarenka ryżu arborio zdobiące literki napisu „Decatur”. Rozczesała gniazdko na głowie, by dostać

się do swoich włosów i je upiąć, nieco wyżej niż zwykle. Wypachniła się lekko: obecnie na topie był zapach fig, nie wanilia. Gdy wychodziła, Dench odezwał się:

– Rzuć ich na kolana urodą, ale poraż duszą.

Przedłużając się brzemieną ciszę, w której wszystkie instrumenty umilkły równocześnie, przerwały jego dalsze słowa, dodane zimnym tonem:

– Zapomnij o kawie dla mnie. Mówię poważnie.

Potem słyszała już wyłącznie swoje kroki.

★

– Przyniosłam panu parę książek – powiedziała do Milтона. – Do pańskiego kącika.

– O, dziękuję. Jak dotąd nikt nie skorzystał, ale zostało jeszcze trochę miejsca. – Zerknął na tytuły. *Upadek: dlaczego niektóre społeczeństwa upadły, a innym się udało. Lady Makbet pozłacanego wieku.*

Ponownie weszli do środka na muffinki. Miała zapomnieć o kawie? Tym razem zapomniała nawet o psie.

Weszło jej to w nawyk: uzupełnianie księgozbioru Milta pozycjami z biblioteczki Iana. Jemu weszło w krew robienie uszczęśliwionej miny na jej widok – oczy mu jaśniały (przeczytała gdzieś, że słońce tak naprawdę jest niebieskie) tak bardzo, że bez trudu potrafiła go sobie wyobrazić jako młodego mężczyznę. Musiały mieć na niego chrapkę wszystkie ciepłe wdówki. A kiedy wreszcie zmienił stan cywilny, z pewnością złamał niejedno serce. Nosił się jak dżentelmen, i to taki, co przywykł do uwagi kobiet, nawet gdy ciągnął się za nim amoniakowy odór.

– Dwoje samotnych głupców – powiedział raz do KC.

Choć zabrzmiało to jak użyta już wcześniej kwestia, otwarła się przed nim – opowiadała mu o swoim życiu, on zaś wysłuchiwał jej, życzliwie kiwając głową; jego błyszczące, uratowane przed zaćmą oczy nabierały silniejszego blasku, a on sam tylko z rzadka nachylał się niepokojąco, aby poprosić o powtórzenie. Przestała choćby wspominać o Denchu. Tę jej część, która chciała się nad tym zastanawiać i dochodzić powodów, zdominowała druga, bezmyślna, która – jak z góry wiedziała – stanowiła jedyną gwarancję samoakceptacji. Nieświadomość była warunkiem koniecznym przebaczenia. Życie rzadko bywa doskonałe.

Po tym, jak dwukrotnie została dłużej, aby przyrządzić coś Miltonowi na lunch, a raz wpadła doń też późnym popołudniem z zamiarem ugotowania prostego obiadu, Dench natarł na nią po powrocie.

– Zapytam jeszcze raz: co ty wyprawiasz?

– To schorowany staruszek pokłócony z pasierbicami. Przyda mu się mała pomoc w kuchni.

– Tuczysz go przed ubiciem? – Zaglądali sobie wzajemnie w dusze, a przynajmniej tak oboje sądzili.

– O czym ty, do diabła, mówisz? On jest zupełnie sam!

– Jaki Sam?

– Wuj Sam, na miłość boską, o co ci znowu chodzi?!

– Nie wiem, po co udajesz.

– Niczego nie udaję. I nic już nie rozumiem. Przecież tego właśnie chciałeś, nie?

Przekrzywił pytając głowę, jak to robił w chwilach, kiedy udawał kogoś innego. „Kogo chcesz oszukać?” – nie zapytała.

– Nie wiem, czego chcę – powiedział. – I nie wiem, co ty wyprawiasz.

– Doskonale wiesz, co robię.

– Tak uważasz? Hm. Zawsze jesteśmy taką zagadką dla siebie i dla innych?

– Czy rozczarowanie to jest to samo co zagadka?

– Rozczarowanie rzadko bywa zagadką.

– Zaczynam tracić wiarę w ciebie, Dench.

Tracenie wiary było gwałtowniejsze niż zegnanie się z uczuciem. Miłość umierała powoli, lecz utrata wiary odbywała się błyskawicznie niczym przewrót: pod człowiekiem otwierała się zapadnia i połykała go na jeden raz.

Przechylił głowę, unosząc lekko twarz, jakby chciał ją nadstawić do światła, którego nie widział nikt inny. Przymknąwszy oczy, zaczął pocierać palcami włosy. Z całego tego cyrku z udawaniem kogoś innego tej części nienawidziła najbardziej.

– Nie będę ci przeszkadzać w masażu – rzuciła i zaraz się odwróciła, żeby odejść, ale jeszcze obejrzała się przez ramię. – I nie mów mi, że ktoś musi ci go robić.

– Ktoś nie musi. Ale powinien.

Żmirłacze żyły w ich domu własnym życiem – może nawet w ścianach.

– I kto to mówi.

Była załamana, że doszli do tego punktu. Gdyby jednak człowiek znał przyszłość, gdyby umiał przewidzieć wszystkie zachowania bliskich, zapewne nie miałby odwagi niczego zaczynać ani tym bardziej ciągnąć. Najprawdopodobniej dlatego dziewięć dziesiątych ludzkiego mózgu leżało odłogiem: abyśmy byli dzielnymi głupkami. Do dyspozycji zostawał nam zwierzęcy mózdzek, a boski, czarodziejski mózg, ten zdolny do przewidywania przyszłości i telekinezy, drzemał. Skurczybyk.

Tym razem przyniosła do kącika z książkami *Śmiertelne tendencje* i *Kres milenijnego Lira*. Zrobili dla nich miejsce wspólnie.

– A teraz wejdzie pani do środka i zagra coś dla mnie. Nareszcie nastroiłem fortepian. – Uśmiechnął się do niej. – Może pani nawet zaśpiewać, gdyby takie było pani życzenie.

Zapomniała, jak wielki jest dom Milтона. Kiedy teraz weszła innymi drzwiami, nie miała pojęcia, w której części się znajduje. W budynku było dwoje bocznych drzwi, jedno tylne i dwoje frontowych. Czy życie nie jest wystarczająco ciężkie, żeby jeszcze stawać codziennie przed takim wyborem? Coś podobnego mogło wydrenować człowieka z resztek sił.

Usiadła przy fortepianie z głosem jak dzwon i klawiszami z prawdziwej kości słoniowej, ukruszonymi i chropawymi. Dla żartu zagrała *The Spinning Song*, jednakże Milton nie roześmiał się, a tylko uśmiechnął, jakby był to co najmniej Scarlatti. Następnie zagrała i zaśpiewała piosenkę miłosną skomponowaną dla szefa kuchni, po czym przeszła do *Body and Soul*, a wreszcie zaprezentowała własną wersję *Down by the River* – w domu, w którym nikt jej nie poprosił o to, aby wyszła i wykonała swój numer w dole rzeki. W końcu uznała, że to chyba wystarczy, odjęła ręce od klawiszy, zamknęła usta i wzorem Dencha kolejno zacisnęła powieki, zwróciła twarz ku sufitowi i wygładziła włosy, szykując je dla perukarza. Potem wyrzuciła ręce w górę i otworzyła oczy.

Milt wyglądał na szczęśliwszego niż kiedykolwiek.

– Wspaniałość! – powiedział.

Nikt już tak nie mówił.

– Bardzo pan miły – odparła.

– Mam pomysł! Może mnie pani podrzucić do centrum? Mam tam spotkanie za pół godziny i chciałbym, aby mi pani towarzyszyła. Poza tym nie mam już prawa jazdy.

– Zgoda. – Spodziewała się, że prędzej czy później zacznie go wozić po lekarzach.

Tymczasem zawiozła go – starym, ale jarym audi, które trzymał w garażu przykryte pokrowcem – do prawnika.

– Poznaj moją uroczą nową przyjaciółkę, Casey – rzucił tytułem prezentacji, gdy już zostali wpuszczeni do lśniącej kancelarii. Adwokat spojrział na nią sceptycznie, ale wymienił z nią uścisk dłoni. – Rick, pragnę zmienić swój testament – obwieścił Milton.

– Tak, wiem. Mówiłeś, że...

– Nie o to mi chodzi. Chcę go zmienić jeszcze bardziej. Miałem wszystko zapisać szpitalowi dziecięcemu, zgodnie z życzeniem Rachel, ale najwyraźniej ta placówka

świetnie sobie radzi bez naszej pomocy, w każdym razie maszyny budowlane dzień w dzień szaleją przy tym nowym skrzydle. W związku z powyższym zamierzam zostawić cały swój majątek tej tu Casey, którą uczynię też wykonawcą testamentu.

W kancelarii zapadła głucha cisza, gdy Milt wodził rozpromienionym wzrokiem między niewyraźnie się czującą KC a niewyraźnie wyglądającym Rickiem.

– Wie pan, to chyba nie najlepszy pomysł... – zaczęła KC, łapiąc staruszką za ramię. Wcześniej nigdy go nawet nie musnęła i teraz jej dotyk jakby dodatkowo przydał mu energii.

– Bzdura! – obruszył się. – Pragnę cię odciążyć, żebyś nigdy nie przestała być aniołem.

– Żaden ze mnie anioł...

– Ależ tak, jesteś aniołem! I musisz cieszyć się anielską swobodą, niczym nieobarczona, ty i twoja muzyka!

Rick posłał jej nieufne spojrzenie, wracając wolno za mahoniowe biurko rozmiarów lory. Usiadł w skórzanym fotelu z mechanizmem wyposażonym w łożyska kulkowe i odchylane oparcie, co natychmiast zademonstrował, podskakując jak na sprężynie i wyginając lekko plecy, by skrzyżować ręce za głową. Nagle rzucił się do przodu, ku oprawnej w skórę podkładce na blat, i złapał leżący na wprost niego skoroszyt.

– Możemy poprosić Maryanne, żeby naniósł zmiany od razu. – To powiedziawszy, Rick ponownie oszacował ją wzrokiem, po czym zapożyczając słówko z czasów własnej młodości bądź od własnego syna, dorzucił: – Fajne dziary.

★

Nie powiedziała o niczym Denchowi. Nie wiedziała jak. Rozważała kpiarskie podejście – „Hej, możemy sobie sprawić Villę, i to w dwojakim słowa rozumieniu!” – jednakże żadne podejście nie było w tym wypadku dobre. Zachowywała się biernie, zanim Milt ją obdarował – podarunek wymagał pewnego stopnia bierności – i zamierzała zachować bierność w obliczu Dencha. Zresztą cała sytuacja mogła się zmienić o sto osiemdziesiąt stopni, na co niemalże miała nadzieję. Poza tym sprawa, jak prawie wszystko, była czysto hipotetyczna – jeden Bóg wiedział, ile razy Milt zmieniał testament – postanowiła więc w ogóle się nad tym nie zastanawiać. Ale jedna myśl jej nie opuszczała: Milt nie miał nikogo. Nikogo oprócz niej, od niedawna. Co jednak niczym się nie różniło od wcześniejszej samotności.

Kiedy nożyczkami do paznokci wycinała sobie grzywkę, Dench stanął w drzwiach

łazienki.

- Sądziłem, że zapuszczasz włosy. Sądziłem, że zamierzasz je sprzedać.
- To tylko grzywka – odparła, odłożyła nożyczki i przecisnąwszy się koło niego w progu, wyszła do przedpokoju.

✱

Zaczęła wozić Milta po lekarzach, ale nie wchodziła z nim do gabinetu.

- Mam zapewnioną kwaterę zarówno w tym hospicjum, w którym mieszkała twoja babcia, jak i tutaj – poinformował ją, kiedy mijali cmentarz.
- Ma pan chociaż porządne drzewo?
- Słucham?
- Czy ma pan miejsce pod solidnym drzewem? – zapytała głośniej.
- Tak! – odkrzyknął. – Leżę obok żony. – Zamilkł, popadając w zamyślenie. – Chociaż ona kazała sobie wykuć na nagrobku: NARESZCIE SAMA. Na moim będzie napisane: NIE ŁUDŹ SIĘ, KOCHANA.

KC roześmiała się, wiedząc, że tego od niej oczekiwał.

- Dobrze mieć zapewnione miejsce.

Czasami u lekarza wychodziła do niej pielęgniarka, aby przekazać krótkie szeptane rady.

- Zmieniliśmy mu lek, ale gdyby źle na niego zareagował, wrócimy do starego.

Milt każdorazowo wzruszał ramionami, jakby otaczali go postrzeleni krewni.

Za którymś razem pielęgniarka nachyliła się i szepnęła KC do ucha:

- Istnieje obawa, że przerzut zaatakował mózg. W razie jakichkolwiek problemów w czasie weekendu proszę dzwonić do szpitala albo nawet hospicjum. Szczególną uwagę należy zwrócić na jego zmysł równowagi.

✱

KC systematycznie wносиła książki Iana do kącika Milta i pewnego dnia, nie natknąwszy się na staruszkę na dworze, zaniepokojona przywiązała psa do słupka, po czym podeszła do drzwi frontowych, zapukała, pchnęła skrzydło i przekroczyła próg.

– Halo! Dzień dobry! Jest pan tam, panie Theale?

W korytarzu pojawiła się energiczna kobieta w średnim wieku. Zastukała obcasami po deskach podłogowych i zatrzymała się. Miała na sobie czarne spodnie i białą koszulową bluzkę wpuszczoną za pasek. Gęste siwe włosy nosiła krótkie. W przeszłości, kiedy miały wciąż swój kolor, perukarz oddałby za nie fortunę. Stała przez dłuższą chwilę, wpatrując się w KC, aż w końcu się odezwała:

– Wiem, co pani zamierza.

– O czym pani mówi?

– O jednym z jego koncertów b-moll. Ile pani ma lat?

– Trzydzieści osiem.

– Ciekawe, czy jest tego świadom. Wygląda pani na młodszą.

– Zapewniam, że nie jestem młodszą.

– To wyjaśnia pani potrzeby.

– Nie mam pojęcia, o co pani chodzi.

– Nie? Naprawdę?

– Nie.

Negacja w obliczu oskarżenia była emanacją *qi* i tłamsiła chętkę spowiedzi. Może na tym polegała zwierzęca siła psychopatycznego umysłu – czy też psychopatia zwierzęcego umysłu. Przyznanie się do winy pozbawiłoby człowieka mocy, przez co łatwiej by im było wykręcić ofierze ramiona i założyć kajdanki. Niewykluczone, że tę mądrość wchłoneła przez osmozę od Dencha.

– Może usiądziemy? – zaproponowała kobieta o cynowych włosach.

– Nie uważam, aby to było konieczne.

– Nie uważa pani?

– Nie. Zresztą jestem z psem, czeka na mnie uwięzany na zewnątrz. Chciałam się tylko upewnić, że u Milta wszystko w porządku.

– Cóż, udał się na wizytę lekarską pod opieką mojej siostry, więc dziś nie będzie pani potrzebował.

*

KC leżała w łóżku obok Dencha, gapiąc się w sufit i paląc papierosa, mimo że nie było im wolno palić w domu. Cat leżał na narzucie w nogach łóżka, śpiąc z otwartymi oczyma i udając, że czuwa. Koniec końców wszyscy byli Cyganami. KC zerknęła na klawiaturę Hammonda, obecnie ukrytą pod stosem rzeczy do prasowania,

zwieszających się aż do ziemi.

– Na co twoim zdaniem choruje Milt? – zapytał ją zniecierpliwiona Dench.

– Na coś cichego, ale podstępного.

– Początkowe stadium *quelque chose*?

– Nie byłabym pewna, czy początkowe. Chyba przestanę go odwiedzać. Nie jestem w stanie tego ciągnąć.

Dench ścisnęła jej udo, po czym je pogładziła.

– Ależ jesteś – powiedział.

Zgasiła papierosa w filiżance po kawie, po czym obróciwszy się na bok, przejechała dłonią najpierw po żyłastym bicepsie Dencha, a następnie po jego umięśnionym brzuchu, czując zew jego ramion, których tak naprawdę nigdy nie opuściła. Teraz te znajome ramiona stanowiły jej jedyną pociechę. Można było kogoś trochę stracić, lecz on nadal błąkał się po ziemi. Koniec miłości miał wiele wspólnego z filmem o zombie.

– Wiesz, że nałogowe palenie papierosów obniża ryzyko wystąpienia raka trzonu macicy?

– Rak trzonu macicy to prawdziwy zabójca – rzucił Dench. – Szczególnie u mężczyzn.

– Jak spędziłeś dzień?

– Popracowałem trochę nad piosenkami o uciemżonych niewolnictwem przodkach.

O wszystkie swoje problemy winię białego człowieka.

Przypomniała sobie jego ojca.

– W twoim wypadku na pewno chodzi o białego człowieka.

– Jak w wypadku większości z nas. Właśnie dlatego trzeba nowych piosenek.

– Życie! Daje nieźle w kość, nie?

– Nie oddałbym na nie swojego głosu. Nie przyznałbym mu też ani jednej gwiazdki.

Na co komu książka z popodkreślanymi wszystkimi najlepszymi ustępami?

Nie była pewna, czy rozumie. Ale i tak pocałowała go w bark.

– Czyż nie byłoby wspaniale oderwać się od tego wszystkiego i zamieszkać gdzieś z dala, na chmurze?

– Zostać ptakiem i zobaczyć Boga!

Już dawno dała sobie spokój z próbami oceny tego, kiedy Dench żartuje, a kiedy mówi poważnie. Podejrzewała zresztą, że zostały mu tylko nawyki i że jego prawdziwe myśli są tajemnicą nawet dla niego samego.

– Właśnie! Moglibyśmy być ptakami w małym karmniku z książkami w środku i czytać je sobie! – zawołała.

Dench błyskawicznie obrócił głowę na poduszce w jej stronę.

– Bardzo możliwe, że już nimi jesteśmy – rzekł. – Tylko, kochanie, nie licz, że ujrzysz Boga.

– Ponieważ Bóg przesiaduje w jakiejś kawiarence internetowej, tak zmęczony

wszystkimi biblijnymi eskapadami, że pragnie tylko leniuchować przez cały dzień i szukać o sobie informacji w Google'u. – Cofnęła rękę, skoro Dench jej się nie zrewanżował. – Nawet jeśli nie jest całkiem głuchy na nasze wołania, bez wątpienia nie słyszy na jedno ucho.

– To nie ulega kwestii. Ma zmaszczone nie tylko ucho wewnętrzne, lecz także nawet kanał słuchowy, zapchany włoskami i woskiem.

– Dziwny z ciebie facet.

– Widzisz? Nareszcie przejrzelismy polerkę i patrzymy na lakier fabryczny.

★

Odczekała kilka dni, po czym zaczęła znów składać poranne wizyty Miltowi. Ponieważ zrobiło się lato, kupowała dla Dencha kawę mrożoną, lecz kostki lodu nie chciały doczekać jej powrotu do domu i musiała wypijać całą porcję sama. Milt w dalszym ciągu serwował jej muffinki i prosił, by podrzuciła go do lekarza czy w jakieś inne miejsce, tak więc chodziła z nim załatwiać różne sprawy i obserwowała, jak traktuje rozmaitych ludzi: aptekarza, dziewczynę z pralni i sprzedawców, którzy zdawali się go wszyscy dobrze znać.

– Tak się cieszę, że moje pasierbice już pojechały – powiedział raz, gdy wracali autem z miasta. – Dom pod ich obecność napawa mnie strachem. Z dwojga złego wolałbym być całkiem sam!

– Rozumiem pana.

– Nie sędzę – odparł, pochylając się, by ją cmoknąć w policzek przed opuszczeniem auta. – Mówimy tu o zerze absolutnym, podczas gdy nawet na Marsie czapa lodowa topi się wiosną.

Raz zabrała go na plażę. Wybrali się nad leżący w obrębie parku stanowego północny kraniec jeziora, wyludniony, jako że był dzień powszedni.

– Niech pani nie patrzy! – pisnął, zdejmując koszulę i kuśtykając do wody, gdzie czuł się bezpieczniej niż na lądzie. Nie był w złej formie, tylko cały pokryty plamami wątrobowymi, z brzuchem odrobinę zaokrąglonym i piersiami wielkości mniej więcej jej własnych.

– Jak woda? – zawołała do niego.

Srebrzysty nadbrzeżny pas połyskiwał w promieniach słońca. Niebo miało głęboką, zadziorną barwę hiacyntów.

– Zawsze należy się spodziewać niespodziewanego! – odkrzyknął.

Zauważyła, że kiedyś musiał być dobrym pływakiem. Poruszał ramionami pewnie, śmiało, precyzyjnie. Naturalnie gdy człowiek spodziewał się niespodziewanego, nie było mowy o niespodziance – ani o trzymaniu się zasady. KC podziwiała samozaparcie staruszka. Zbliżając się do linii wody, zauważyła, że na srebrno błyszczą śnięte alozy tęczowe: świeżo wyrzucone na brzeg poruszały pyszczkami i trzepotały płetwami, martwe zaścięłały skraj plaży lśniącym pasem. Te najbliższe podchodzących na piasek fal odbijały wciąż światło niczym papierek po cukierku. Jeszcze jedna śmierdząca zagadka życia na ziemi. Dała nura i tak – aby popływać wśród umierających. Postanowiła udawać, że to numer z akwarium, a ona unosi się pośród tresowanych płetwiastych ulubieńców; w przeciwnym razie byłoby to zbyt niesmaczne. Wzburzyła nieco fale, pozwalając, by oliwkowa woda jeziora uderzała o nią coraz wyżej.

Urządzili sobie piknik nad brzegiem; zabrała ze sobą kanapki z serem, wodę sodową i trudne brzoskwinie – trzeba było się zdecydowanie wgryźć w ich grubą omszałą skórę, żeby dostać się do soku. Siedzieli skuleni, każde w swoim ręczniku, na wspólnym kocu zasypnym równo piaskiem; nawet stopy mieli jak unurzane w cukrze trzcinowym.

– Szkoda tych wszystkich śniętych ryb – zauważył Milton. – Wprawdzie za tydzień i tak ich już nie będzie, ale... Nawiasem mówiąc, to samo może być ze mną – dorzucił, szczerząc zęby.

Czy powinna odpowiedzieć: „Niech pan tak nie mówi”? Czy powinna – mając na sobie tylko kostium kąpielowy odsłaniający jej tatuaże – udawać mieszczańską niechęć do rozprawiania o śmierci?

– Niech pan tak nie mówi – powiedziała, pozwalając, by sok brzoskwini pociekł jej po brodzie.

– W porządku – usłuchał. – Chciałem tylko zwrócić uwagę na to, że Natura też bywa podła. – Wyciągnął piersiówkę, o której nie miała pojęcia, i napełnił jej styropianowy kubek. – Proszę, niech się pani napije džinu. Wchodzi łatwo i prosto, jak filozofia niemiecka! – Uśmiechnął się i zapatrzył na jezioro. – Kiedyś byłem filozofem, tyle że nie za dobrym.

– Naprawdę? – Alkohol kąsał ją w wargi.

– Straszny świat. Wspaniałe niebo. Tak to w skrócie leciało. – Umilkł na chwilę. – Lubię też bourbona, uaktywnia właściwe obszary mózgu. Pomaga w filozofowaniu.

Zastanowiła się nad jego słowami.

– To prawda. Bourbon działa inaczej niż, powiedzmy, wino.

– Zgadza się w stu procentach.

– Skoro już o tym mowa, czerwone wino działa inaczej od białego. – Upiła łyk džinu. – Tylko proszę nie myśleć, że jakoś szczególnie zgłębiałam to zagadnienie.

– Nie, skądże. – Uśmiechnął się i przepłukał alkoholem dziąsła.

Kiedy byli już w domu, wydawał się lekko podziębiony, więc opatuliła go kocem.

Złapał ją przy tym za rękę.

– Muszę już iść – zaprotestowała.

Ogarnął go smutek. Przyjrzał się KC, po czym odwrócił wzrok.

– Na krótko przed śmiercią moja żona usiadła prosto w łóżku i zaczęła wykrzykiwać imiona wszystkich chorych dzieci, które zmarły na jej dyżurze. Dałem jej tylko odrobinę brandy, a skończyło się to litanią imion dzieci, których nie udało jej się uratować. Charlie Pepper, wołała, Lauren Cox, Barrett Bannon, Caitlin Page, Raymond Jackson, Tom DeFugio, Deanna Lamb... Trwało to godzinami.

– Naprawdę muszę już iść... Da pan sobie radę? – Cofnął już rękę i wpatrywał się w przestrzeń przed sobą. – W razie czego może pan do mnie zadzwonić – zaczęła pisać na skrawku papieru. – Proszę, to mój numer.

Mimo że nie odpowiedział, i tak wyszła, ignorując jego cierpienie i zatrzasnąwszy starannie drzwi.

★

Być może każdy szykuje się do śmierci inaczej. Przygotowuje na nią życie. Przygotowuje na nią smutek. A potem krew zaczyna cieć stamtąd, skąd nie powinna. Ludzie co rusz wracają myślą do odejścia innych, szykując się na ponowne spotkanie w zaświatach. KC osobiście uważała, że śmierci będzie towarzyszyć potężny żal: coś jak przy przeglądaniu katalogu wyprzedazowego, gdzie widzi się drastyczne przeceny na artykuły, które kupiło się bez zniżki i z których nie miało się wiele pożytku, przynajmniej w ostatecznym rozrachunku. Aczkolwiek ostateczny rozrachunek to mit. To też pokazywała śmierć.

– Musiałem pilnować psa przez cały dzień – poskarżył się Dench. – Wątpliwa frajda.

– A ja miałam na głowie Milta – odparowała. – Też wątpliwa przyjemność.

– Sam nie wiem, co mam myśleć o tym, że nieustannie u niego siedzisz.

– Często przyznajesz się do tego, że nie wiesz, co myśleć.

– Po prostu uważam, że jak coś ma być, to powinno być, zamiast zabierać tyle czasu.

A tak przy okazji, wiem już, co tak śmierdzi.

– Serio?

Irytujący zapaszek wciąż wisiał w powietrzu mimo ciepłej i suchej pogody. Sporadycznie po strychu przebiegła wiewiórka. Aż dziw, że Cat nie zrywał się i nie szczekał.

– Nieczyste sumienie.
– Bardzo w to wątpię.
– No dobrze, pokażę ci. – Otworzył klapę prowadzącą na poddasze. Rozłożył drabinkę i gestem pokazał, żeby KC się na nią wspięła. – Weź latarkę, zatocz krąg, to od razu zobaczysz.

Spodziewała się ujrzeć parę polatuch, martwych we wzajemnych fałdzistych objęciach. Jednakże gdy wsunęła głowę ponad poziom podłogi i omiotła wnętrze snopem światła z latarki, z początku dostrzegła tylko kurz i kartonowe pudła. Dopiero po chwili jej wzrok spoczął na kupie futrzastych ciałek splecionych szczurzymi ogonami. Była to pojedyncza przypominająca wieniec istota, nad którą kłębiły się muchy, połączona w całość za pomocą ekskrementów w części centralnej i ułożona promieniście niczym szprychy z poszczególnych osobników. Zaledwie jeden z nich jeszcze poruszał głową i na widok człowieka bezgłośnie otworzył pyszczek.

– Król szczurów – wyjaśnił Dench. – Takie się urodziły, powiązane ogonami, i nie mogły się od siebie uwolnić.

KC zeszła po drabince, po czym szybko na powrót ją złożyła.

– To najobrzydliwsza rzecz, jaką w życiu widziałam.

– Ponoć przynoszą pecha.

– Zamknij dobrze tę klapę.

– Mała niespodzianka dla Iana. Rozmawiałem już z ludźmi od deratyzacji, ale liczą sobie tysiąc dolarów. Zapytałem gościa: „Co to, transportujecie je do Europy?”. Być może będziemy zmuszeni spalić ten dom. Jest totalnie nawiedzony.

– No wiesz.

– Trzeba by tylko wiarygodnie kłamać. „Jaki znowu kanister z benzyną?” Albo: „Przecież wszyscy chodzą na zakupy, zostawiwszy na ogniu garnek do fondue!”

Przyglądała się twarzy Dencha, jak gdyby – znowu – nie wiedziała, z kim ma do czynienia. Teraz, gdy odkrył króla szczurów, zamienił się w gwiazdę horroru. Starał się być na okrągło zabawny, co przestało jej odpowiadać – miała wrażenie, że ciągle gra, próbując zdobyć angaż. Jeszcze trochę i zacznie opowiadać dykteryjki Milтона. „Nie mogę przestać myśleć o wieczności. Siadam do stołu i myślę: »Wiecznie ości«”. Podobały jej się tylko Denchowe kawały o Jezusie, bo Jezus wychodził w nich zawsze na ofermę, co jej zdaniem było bardzo prawdopodobne, tak więc dowcipy zakrawały na prawdę i nie musiała się nawet śmiać.

– Nigdy więcej nie pokazuj mi czegoś takiego!

Do Dencha podszedł Cat i zaczął posuwać jego łydkę.

– No nie! – wzburzył się Dench. – Obcięliśmy mu jaja, a jemu zachciewa się miłości.

Letnie słońce przygrzewało, przeganiając chłód z wnętrz budynków, aczkolwiek większość z nich – domu Iana i Milтона nie wyłączając – nie miała klimatyzacji. Pewnego wieczoru KC zabrała Milta do lokalu, gdzie musieli usiąść w ogródku, przy rozchwierutany metalowym stoliczku obok parkingu, ponieważ w środku powietrze było zbyt zimne i przenikliwe.

– Myślę, że to by mi odpowiadało, kiedy miałem siedemnaście lat – stwierdził. – Ale teraz uważam, że ciepło jest dobre na stare gnaty.

Jedli powoli, a KC się nie odzywała, chociaż drobinki potraw czepiały się zębów Milтона. Jaki sens miałyby zwracanie mu uwagi? Na Boga, w pewnym wieku mężczyzna może sobie mieć kłaczki jedzenia między zębami. Jedli krem dyniowy podawany z karmelizowaną kukurydzą. Istny pogromca trzonowców!

– Wie pani – zaczął Milt, żując i rozglądając się dokoła – u fryzjera ludzie tracą pracę, restauracja się zamyka... To leniwe miasteczko, a jednak wszystko zmienia się jak dla mnie za szybko. Zupełnie jak z tymi wielkimi telewizorami, które mają w każdym barze. Nie potrafię na nich oglądać meczów, bo mam wrażenie, że piłkarze lecą prosto na mnie.

KC uśmiechnęła się, ale nic nie powiedziała. W pewnym momencie Milt skomentował głośno swój budyń:

– Smak bananowy nie przypomina wcale banana, tylko raczej to, jak się człowiekowi odbije bananem.

Zerknęła na stolik obok.

– Chyba wiem, co pan ma na myśli – odparła ściszym tonem.

– Staruszkowie są oczywiście strasznie głupi. Głównie dlatego tak się wzbraniam przed zamieszkaniem z nimi w jednym miejscu. Wystarczy ich posłuchać, ba, wystarczy mnie posłuchać... Co rusz napada mnie coś takiego: skoro ta durna myśl tłucze mi się po głowie od czterdziestu lat, równie dobrze mogę ją wypowiedzieć na głos, raz po raz. – Po czym przeszedł znów do wychwalania swojej żony, jej wspaniałomyślności i zaangażowania w sprawy społeczne, aż wreszcie skupił uwagę na KC. – Pod pewnymi względami przypomina ją pani – dodał. Słońce za jego plecami zachodziło, barwiąc niebo różnymi odcieniami koloru brukwiowego.

– Trudno mi to sobie wyobrazić – odrzekła. Zamiast choćby spróbować, zastanawiała się, co sobie myślą klienci przy sąsiednim stoliku.

– Macie podobne twarze. Szczególnie kiedy się pani uśmiecha! – Obdarzył ją uśmiechem, a ona odpowiedziała bladym grymasem zaciśniętych warg.

Kiedy spacerkiem wracali pod jego dom, cykady rozpoczęły swoje rzępolenie.

– Szumy w uszach! – zawołał.

Tym razem się nie roześmiała, więc zrobił to co zawsze, gdy był poirytowany: oflankował ją gorzej słyszającym uchem, aby móc w spokoju gotować się w środku. Zauważyła, że chwilami idzie wężykiem, i stąd wiedziała, że ma kłopoty z równowagą. W pewnym momencie zaczął się przechylać na bok, ale podtrzymała go w porę.

– Taki staruch jak ja powinien przez cały czas nosić kask – oświadczył. – Zakładać go zaraz po przebudzeniu... – Nagle odwrócił się i wyteżył na nią wzrok w ciemnościach. – Chwilami w domu, kiedy mi brzęczy w uszach, mam wrażenie, że to dzwoni telefon, odbieram, ale pani się nie odzywa...

Pomogła mu wejść na ganek: wspinał się po stopniach z większym trudem niż niegdyś. W środku zapaliła światło, ale on zaraz je zgasił i usiadł, łapiąc ją za rękę.

– Proszę mi usiąść na kolanach – pociągnął ją zdecydowanym ruchem.

Wylądowała niezręcznie na jego chudych udach, a kiedy próbowała wymacać stopami ziemię, żeby stanąć, on zebrał się w sobie, objął ją ramionami i zaczął szturchać nosem jej szyję, litery „u” i „r” tatuażu. Z zamkniętymi oczyma podał jej twarz do pocałunku, z ustami ściągniętymi w ciup, lecz poruszającymi się lekko w poszukiwaniu jej warg.

KC pozwoliła mu się pocałować, stykając się z nim delikatnie wargami – czuła, że musi być uległa, musi postąpić wbrew sobie, by znaleźć rozwiązanie – lecz gdy jego szorstki, ostro zakończony język wystrzelił w przód, odskoczyła, wstała i zapaliwszy na powrót światło, stawiała mu czoło.

– Dość tego! Teraz wypalił pan z grubej rury!

– Proszę? – zapytał.

Oczy miał jak szparki, a jego język dopiero teraz zaprzestał zmijowego ruchu. KC odsunęła włosy z twarzy. Miała wrażenie, że pokój wiruje. Życie przygotowuje człowieka na śmierć. Raz złapała mysz w pułapkę – usłyszała trzask i kiedy się obejrzała, zobaczyła coś przypominającego zużytą torebkę po herbacie, coś brązowego i grzybopodobnego, tyle że z ogonem, ale naraz to coś zaczęło się ciskać i miotać, tak że musiała wszystko, pułapkę i mysz, podnieść dłonią w gumowej rękawiczce i włożyć do zamrażarki, żeby nie patrzeć, jak stworzenie umiera.

Była najwyższa pora.

– Całkiem pan oszalał! – powiedziała głośno. – W tej sytuacji nie mam wyjścia, jak tylko powiadomić hospicjum!

Słowa, które do tej pory czekały na swoją kolej za kulisami, pośpiesznie zaczęły się wydostawać ze zmiażdżonej czarnej skrzynki jej gardła.

Jego twarz przybrała ten sam rozdzierający wyraz, który miała w chwili, kiedy się poznali, z tym że teraz coś dolegało też jego oczom, usta zdawały się szramą, ciało zaś obwisło skazane na banicję. Milton zaczął cicho płakać. A potem się odezwał.

– Sprawdziłem go sobie na... jakże to się nazywa... na Spacebooku. Sprawdziłem

sobie jego zainteresowania i polubienia...

– O czym pan mówi?

– Powodzenia – powiedział. – Życzę powodzenia pani i pani młodemu mężczyźnie. Wszystkiego najlepszego.

✱

– Załatwione.

Oparła się plecami o drzwi i zjechała po nich. Całą noc wyczekiwała na personel hospicjum, by pojawił się i zabrał Milta, a potem podpisywała jeszcze jakieś dokumenty i obiecywała, że będzie go odwiedzać, obiecywała pomoc z krzyżówką, po czym wzięła klucze od jego domu, zamknęła wszystkie drzwi na cztery spusty i szybkim krokiem udała się do siebie.

Dench odkładał właśnie telefon. Popatrzył na nią zaniepokojony, ale ona tylko zmierzyła go twardym wzrokiem. Kiedy uczynił krok w jej stronę, być może po to, aby ją przytulić, odepchnęła go.

– KC – powiedział.

Kiedy zaś przechylił głowę jakby w zdumieniu i licząc na wybaczenie, znowu spróbował się do niej zbliżyć, zwinęła dłoń w pięść i wyrznęła go z całych sił w twarz.

✱

Jej życie w domu z białej cegły sprowadzało się do usługiwania, w co przelewała całe mleko dobroci ludzkiej, na jakie było ją stać. W sumie pięć sypialni i jeden apartament przeznaczyla do wyłącznego użytku rodzin małych pacjentów w nowo otwartym skrzydle pediatrycznym miejscowego szpitala. Wcześniej pomalowała ściany na morelowo bądź beżowo, zachowując białe stiuki i zmieniając kolor sufitów na błękitny. Latem oddawała do dyspozycji gości werandy do spania. Co rano wstawiała pierwsza i szykowała śniadanie – zapiekankę z jajek i szynki – które wystawiała w dużym żaroodpornym naczyniu w jadalni, a choć nie podawała innych posiłków, pilnowała, by w salonie zawsze były jakieś ciasteczka i gry planszowe dla rodzeństwa

(które również bawiło się z psem). W niektóre popołudnia próbowała brzdąkać na fortepianie, podczas gdy goście siedzieli z przyklejonymi uśmiechami. Nosiła stójki i długie rękawy, i naszyjniki z dużych chalcedonów, żeby ukryć tatuaże. Wykładała czasopisma, lecz nie gazety, które zawierały za dużo wiadomości. Nie zrezygnowała z kącika z książkami, który wypełniała tylko kryminałami. Obserwowała swoich gości, jak wychodzili co rano do szpitala, w odwiedziny do chorych dzieci. Samych małych pacjentów nie widywała nigdy – chyba że nocami, kiedy niczym duchy zajmowały swoje miejsca na podeście schodów, recytowały swoje imiona i machały do niej, podczas gdy snuła się po domu, myśląc o nich jako o „swoich dzieciach”, a zarazem w ogóle o nich nie myśląc, gdy siadała prosto w łóżku – aczkolwiek nasłuchiwała się o nich, i to niemało.

– Przegapiłam to, co najlepsze – skarżyły się matki – a teraz najlepsze się skończyło.

Dawała im więcej czasopism, żeby miały co przeglądać w poczekalni przed salą operacyjną, w razie gdyby znudziło im się gapienie na tętniące życiem akwarium z kolorowymi rybkami.

★

Łzy zaprawiły jej skórę, tak jak solanka zasklepia i wzmacnia skórę sera. Włosy nadal miała długie, ale teraz już delikatnie przecinane nitkami siwizny; nosiła je upięte wysoko kłamrą. Były dni, kiedy wyglądała przez frontowe okna, odprowadzając wzrokiem rodziców zmierzających w sumienne, rozpaczliwe odwiedziny, i wspominała Dencha, który hałaśliwie domagał się uwagi podczas pierwszego przesłuchania, aż skończył cichą solówką na gitarze i silnym, lecz pozbawionym wyrazu barytonem, tak że to piosenka musiała nieść jego głos, jak rzeczny prąd unosi barkę. Zdążyła zapomnieć, jaka to była piosenka. Jednakże w dalszym ciągu pamiętała, że zastanowiła się, jak by to było go kochać: dobrze czy źle, i kiedy śpiewał, w zamyśleniu podeszła do okna z widokiem na ulicę, gdzie zobaczyła młodą dziewczynę czekającą na niego w zdezelowanym aucie. Było zimowe popołudnie, z rzadko rozsianymi na niebie popołudniowymi zimowymi gwiazdami, i dziewczyna miała na głowie czapkę z wiązaniem pod szyją, przez co wyglądała jak Dante, ale też jak pisklę. KC z kolei była ubrana jak Barbie na telefon. Czemu wyparła to wspomnienie z pamięci? Ta dziewczyna najwyraźniej przywiozła go na przesłuchanie – jaki los ją spotkał: odrzucenie? scedowanie? zapomnienie? A może obrała nowy cel wyznaczony jej przez Boga, którego uporczywie szalone poczucie humoru było

bezsensowne jak istnienie komara. Czekala, az do niej wróci, by mogli razem się naćpać.

„The Paris Review” 2012

ODNIESIENIA

★

Związek. Po raz trzeci w ciągu trzech lat dyskutowali zawzięcie o tym, jaki prezent urodzinowy będzie odpowiedni dla ich chorego psychicznie syna. W gruncie rzeczy mogli mu przynieść bardzo niewiele: właściwie wszystko stanowiło potencjalną broń, tak więc większość przedmiotów zostawała w recepcji, po czym dopiero na wyraźną prośbę była donoszona przez postawnego sanitariusza blondyna, który uprzednio dokonał przeglądu pod kątem zagrożeń. Pete kupił koszyk z galaretkami owocowymi, ale że były w szklanych słoiczkach, nie nadawały się na prezent.

– Zupełnie o tym zapomniałem – powiedział.

Słoiczki ułożono w koszyku kolorami, od najbledszego przez moroszkowy do figowego, jakby zawierały próbki moczu coraz bardziej chorej osoby, uznała więc: „I dobrze, że czeka je konfiskata”. Będą musieli wymyślić coś innego.

W chwili, gdy jej syn miał dwanaście lat i zaczął półprzytomnie mamrotać, zarzuciwszy mycie zębów, Pete był częścią ich życia od czterech lat, a od tamtej pory zdążyły upłynąć kolejne cztery lata. Darzyli go miłością długą i skomplikowaną, niepozbawioną ukrytych zakosów, aczkolwiek wolną od dłuższych postojów. Uważali go za swego rodzaju ojczyrna. Zestarzeli się poniekąd razem, we troje, choć najbardziej było to znać po niej, po matce, przez jej czarne rozpinane sukienki, które miały ją wyszczuplać, i przez siwiejące już włosy, nieufarbowane i często upięte wysoko z wypuszczonymi paroma kosmykami, zwieszającymi się niczym oplątwa. Po tym, jak syn zrzucił normalne ubranie, włożył koszulę szpitalną i zamieszkał w placówce, matka też zrezygnowała z naszyjników, kolczyków, apaszek – wszystkich swoich protez, jak to ujęła, usiłując rozbawić Pete’a – i odłożyła je do harmonijkowej teczki, zamykanej i trzymane pod łóżkiem. Skoro nie mogła ich nosić w trakcie wizyt, postanowiła nie nosić ich w ogóle, w ten sposób okazując solidarność ze swoim dzieckiem, akceptując nowe niiby-wdowieństwo, które stało się jej udziałem po wdowieństwie faktycznym. W przeciwieństwie do kobiet w jej wieku (nadmiernie się zdających na szokującą bieliznę i krzykliwą biżuterię) miała teraz wszelkie starania za nonsensowne i pokazywała światu twarz amiszki czy też, co gorsza – gdy padały na nią

demaskujące wiosenne promienie słońca – twarz amisza. Skoro już była stara, mogła być stara całą gębą!

„Mnie zawsze się podobasz” – przestał jej powtarzać Pete.

★

Pete stracił pracę podczas najnowszego kryzysu gospodarczego. W pewnym momencie przymierzał się do tego, by się do niej wprowadzić, jednakże jej pogłębiające się problemy z dzieckiem sprawiły, że odstąpił od tego zamiaru – sądził, że ją kocha, lecz nie potrafił znaleźć dla siebie odpowiedniej przestrzeni ani w jej życiu, ani w jej domu (i nie winił o to jej syna, chociaż kto to może wiedzieć na pewno?). Popatrywał ze zgoła jawną poządlwością, i nie bez kąśliwych uwag, na duży pokój, który zajmował jej syn razem ze swoimi wielkimi kocami, pustymi opakowaniami po lodach, xboxem i płytami DVD.

Przestała się orientować w peregrynacjach Pete’a, który czasem zniknął na kilka tygodni z rzędu. Brak pytań, brak troski traktowała jako oznakę przytomności i przywiązania. Raz tak bardzo zatęskniła za dotykiem drugiego człowieka, że wybrała się do salonu fryzjerskiego Loki Lokiego za rogiem tylko na mycie głowy. Lecąc zaś w odwiedziny do brata w Buffalo, na lotnisku przy odprawie każdorazowo wybierała człowieka zamiast maszyny i poddawała się rewizji za pomocą skanera ręcznego.

Kiedy zjawiała się z wizytą sama, jej syn – z twarzą szkarłatną od trądziku, a obrzmiałą i nalaną od działania leków, które mu co rusz zmieniano – wołał:

– Gdzie Pete?

Odpowiadała na to, że Pete jest dziś zajęty, ale niedługo, naprawdę niedługo, może już w przyszłym tygodniu... Dopadały ją matczyne lęki, otoczenie zaczynało wirować, a blizny na nadgarstkach syna układały się cienkimi kreskami w imię Pete’a, prymitywnymi nacięciami odwzorowywały utratę ojców w algebrze skóry. Przy kolejnych obrotach kręcącej się karuzeli białe pofałdowane linie przywodziły na myśl toporne napisy wycinane przy ognisku przez młodych ludzi w piknikowych stołach i korze drzew, gdzie w słowach takich jak CHUJ i CHWAŁA litera „c” stanowiła trzy czwarte kwadratu. Okaleczenie równało się komunikacji. I odwrotnie. Próby samobójcze podniosły wartość chłopaka w oczach dziewczyn, z których wszystkie usiłowały sobie odebrać życie i żadna nie miała kolegi samobójcy, dzięki czemu zyskał popularność wśród uczestniczek sesji terapeutycznych, co go ani grzało, ani ziębiło, ponieważ właściwie tego nie zauważał. Za to gdy nikt nie patrzył, sznytował sobie

podeszwy. Udawał też, że potrafi wróżyć z dziewczęcych stóp, i opowiadał o rychłym pojawieniu się w ich życiu nieznanego – druha palucha, jak go nazywał – o rozwoju uczucia oraz nadejściu rozmaitych przygód, czasem dopatrując się też prawdziwych słów, które sobie wycięły i z którymi wiązały swój los.

Obecnie szła w odwiedziny do syna bez słoiczków z galaretkami, z Pete'em i z książką z nieobciętymi brzegami, której bohaterem był traper Daniel Boone – co było dozwolone, mimo że chłopak mógł odnieść treść do siebie, dopatrując się w niej spersonalizowanych wiadomości, i uznać ją za opowieść traktującą nie tylko o kimś z dawnych czasów, lecz także o jego własnym smutku i heroizmie w obliczu wszelakiej dziczy, klęski i abdukcji; mógł pomyśleć, że na jej kartach, które stanowią jedynie szlachetny szkielec, rozpościera się jego egzystencja, objawienie n i e g o. Wskazówki były do odnalezienia na stronach, których numeracja dawała w sumie liczbę jego lat: 97, 88, 466. Poza tym przewijały się inne zawołane odniesienia do jego życia. Jak zawsze.

Gdy we trójkę usiedli przy stoliku dla gości, jej syn odłożył książkę na bok i próbował się do nich uśmiechnąć. W oczach wciąż miał słodycz, tę, z którą przyszedł na świat, aczkolwiek potrafiła też przez nie przemknąć niekontrolowana furia. Ktoś skrócił mu jasne włosy – a przynajmniej usiłował to zrobić. Bardzo możliwe, że pielęgniarz nie chciał przy nim stać za długo z nożyczkami i ciął szybko, po czym odskakiwał, żeby znowu się zbliżyć, złapać kosmyk i ciachnąć, a następnie raz jeszcze się cofnąć. Tak to w każdym razie wyglądało. Włosy były faliste i wymagały starannego strzyżenia. W tej chwili nie spływały kaskadami, lecz urżnięte tuż przy skórze sterczały na wszystkie strony, pod kątem, który najwyraźniej przemawiał wyłącznie do matki.

– No więc, gdzie się podziewałeś? – zapytał Pete'a jej syn, spoglądając mu hardo w oczy.

– Dobre pytanie – odparł Pete, jak gdyby pochwała mogła je zlikwidować. Jakim cudem ludzie zachowywali zdrowe zmysły w świecie takim jak ten?

– Tęsknisz za nami? – dopytywał chłopak.

Pete nie odpowiedział.

– Myślisz o mnie, kiedy nocą patrzysz na czarne włosowate korony drzew?

– Raczej tak. – Pete odwzajemniał spojrzenie, żeby nie wiercić się na krześle. – Życzę ci zawsze wszystkiego najlepszego i żeby dobrze cię tutaj traktowali.

– Myślisz o mojej mamie, kiedy patrzysz na chmury i wszystko, co zawierają?

Peter ponownie umilkł.

Jej syn, nie przestając wiercić Pete'a spojrzeniem, kontynuował:

– Zauważyłeś, że wróble zabijają potomstwo innych ptaków? Na przykład pisklęta strzyżyków. Wiele wyglądam przez okno. Wiesz, że taki wróbel potrafi wlecieć do gniazda strzyżyka, wyrzucić nieopierzone pisklę na zewnątrz i cisnąć je na ziemię

z siłą, o jaką nigdy byś go nie podejrzewał? Nawet gdybyś zakładał jego zabójcze skłonności.

– Natura bywa okrutna – przyznał Pete.

– Natura bywa horrorem! Mimo wszystko człowiek nie spodziewa się morderstwa, zwłaszcza po wróblu. Na tym świecie można zobaczyć dosłownie wszystko, lecz zazwyczaj trzeba mieć oczy szeroko otwarte. Trzeba się rozglądać! Na przykład za nami! Ukrywamy się, ale tylko do pewnego stopnia. Można nas znaleźć. Szczególnie gdy się szuka we właściwym miejscu. Nie zniknęliśmy, nawet jeśli ci na tym zależy, jesteśmy tu wciąż i...

– Wystarczy – powiedziała do syna, który odwrócił się do niej ze zmienionym wyrazem twarzy.

– Dziś po południu ma być tort z okazji czyichś urodzin – poinformował.

– To miło! – odparła, odwzajemniając uśmiech.

– Oczywiście bez świeczek. I bez widelczyków. Będziemy po prostu musieli łapać lukier garściami i wciskać go sobie w oczy, aż oślepnjemy. Zauważyliście, jak czas staje w chwili zdmuchiwania świeczek, mimo że chwile unoszą dym? Przypomina to ogień płonącej miłości. Zauważyliście, że mnóstwo ludzi dostaje to, na co nie zasłużyło, i że wszystko to jest z gruntu absurdalne? Myślicie, że życzenie ma większe szanse się spełnić, jeśli nigdy, przenigdy nikomu się go nie zdradzi?

★

Podczas jazdy do domu nie zamieniła z Pete'em ani słowa, a za każdym razem, gdy spoglądała na jego starzejące się ręce zaciśnięte reumatycznie na kierownicy, z tak dobrze jej znanymi kciukami odgiętymi nieco na małpią modłę, od nowa zaczynała pojmować rozpaczliwe położenie, w jakim się znaleźli, aczkolwiek desperowali oddzielnie, nie wspólnie, i czuła oczyma wzbierające kąśliwie łzy. Ostatnim razem, gdy jej syn usiłował odebrać sobie życie, jego metoda była, zdaniem lekarzy, majstersztykiem chorobliwego geniuszu. Byłby pewnie zrealizował swój zamiar, gdyby jego towarzyszką, pacjentką z tej samej grupy terapeutycznej, nie powstrzymała go w ostatniej chwili. Ale krew należało posprzątać. Niegdyś jej syn pragnął tylko odwracającego uwagę bólu, bardzo szybko jednak usiłował wybić w sobie otwór i przezeń ulecieć. Życie pełne było szpiegów i zajmującego szpiegowania. Wszelako czasem szpiegdy także uciekali i wtedy człowiek – aby się od nich na dobre uwolnić – paradoksalnie musiał ich po kolei gonić po rozległych przestrzeniach snu na jawie,

zapuszczając się aż w Góry Poranne świtającego sensu.

Przed sobą mieli burzę, pioruny kreśliły rozmyślne błyskawiczne zygzaki we wnętrzu chmur i między nimi. Nie potrzebowała tak jawnego dowodu, że krajobraz może być rozprysnięty, przepełniony wiadomościami i złamanymi szyframi – a jednak go dostała. Kiedy do wtóru trzaskających piorunów zaczął padać wiosenny śnieg, Pete włączył wycieraczki, aby mogli patrzeć na ciemniejszą drogę przez oczyszczone półkola szyb. Wiedziała, że świat nie został stworzony po to, aby przemawiać do niej bezpośrednio, jednakże zupełnie jak w wypadku jej syna czasami tak właśnie się działo. Przykładowo, tego roku drzewa owocowe zakwitły wcześniej, toteż sady, które mijali, były obsypane różem, lecz wciąż niskie temperatury wykluczały loty pszczoł, przez co nie zapowiadał się obfity plon. Zresztą większość powiewających płatków i tak miała zostać strącona w trakcie tej burzy.

Gdy dotarli do domu i weszli do środka, Pete obrzucił spojrzeniem swoje odbicie w lustrze w holu. Być może chciał się upewnić, że jest żywym człowiekiem, a nie duchem, jakim się wydawał.

– Napijesz się czegoś? – zapytała, mając nadzieję, że zostanie u niej. – Mam dobrą wódkę. Mogłabym ci przyrządzić Białego Rosjanina.

– Wolę czystą wódkę – odparł niechętnie. – Bez żadnych domieszek.

Otworzyła zamrażalnik, żeby wyjąć wódkę, a po jego zamknięciu stała jeszcze przez chwilę w bezruchu, przyglądając się fotografiom, które przyczepiła do drzwiczek magnesami. Jako niemowlę jej syn miał szczęśliwszy wyraz twarzy od innych dzieci. Jako sześciolatek, z kręcącymi się złocistymi lokami, w dalszym ciągu uśmiechał się i zgrywał, wymachując wszystkimi kończynami na podobieństwo eksplodującej gwiazdy i pobłyskując szczerbą między siekaczami. W wieku lat dziesięciu obnosił już lekko zamyśloną i wystraszoną minę, chociaż jego oczy wciąż miały ten sam blask, kiedy obok niego stały jego urocze kuzynki. Tutaj zaś był krępy nastolatkiem, z ramieniem wokół Pete'a. A tu, w rogu, znów był niemowlęciem, trzymanym na ręku przez szacownego przystojnego ojca, którego nawet nie pamiętał, ponieważ jej mąż zmarł tak dawno temu. Musiała się z tym wszystkim pogodzić. Życie nie oznaczało gromadzenia jednej radości po drugiej. Można było co najwyżej mieć nadzieję na mniejszą ilość bólu, nadzieję rozgrywaną niczym karta przykrywająca inną kartę i odsłaniająca dobroć i litość na podobieństwo królów i królowych przy nieoczekiwanej zmianie passy. Karty można było trzymać osobiście lub nie – tak czy owak lądowały na stole. Czulość nie pojawiała się w życiu inaczej niż trafem szczęścia i nadwerężona.

– Nie chcesz lodu?

– Nie – odparł Pete. – Nie, dziękuję.

Postawiła dwie szklaneczki z wódką na stole, przy którym usiedli.

– Może to pomoże ci zasnąć – powiedziała.

– Nie jestem pewien, czy cokolwiek mi pomoże – odrzekł, pociągając łyka. Dręczyła go bezsenność.

– Jutro zabiorę go do domu – oznajmiła. – Potrzebuje znów być w domu, u siebie, w swoim pokoju. Nie stanowi dla nikogo zagrożenia.

Pete upił jeszcze trochę, siorbiąc lekko. Wiedziała, że nie chce być w żaden sposób zaangażowany, a mimo to postanowiła kontynuować.

– Mógłbyś być pomocny. Bardzo cię podziwia.

– Pomocny jak? – zapytał z przebłyskiem gniewu. Brzęknęło szkło odstawiane na blat.

– Każde z nas mogłoby spędzać przy nim część nocy – zaproponowała.

Nagle zadzwonił telefon. Ścienny aparat przynosił niemal wyłącznie złe wieści, przez co odgłos jego dzwonka, szczególnie wieczorną porą, nieodmiennie napawał ją przestachem. Opanowała wzdrygnięcie, ale odruchowo skuliła i zgarbiła ramiona. Wstała.

– Halo – rzuciła w słuchawkę, odebrawszy po trzecim dzwonku z walącym sercem. Jednakże rozmówca się rozłączył. Usiadła z powrotem. – Pewnie pomyłka – dodała tytułem wyjaśnienia. – Dolać ci?

– Tylko odrobinę. Będę musiał się zbierać.

Dolała mu wódki. Powiedziała, co miała do powiedzenia, i nie chciała wywierać na niego presji. Postanowiła poczekać, aż sam zareaguje odpowiednio. W przeciwieństwie do niektórych swych podlegszych przyjaciółek, które nie przestawały dawać jej dobrych rad, wierzyła w Pete'a i była gotowa cierpliwie czekać, aż pokaże jej swą najlepszą stronę. Co innego mogła zrobić?

Telefon zadzwonił po raz drugi.

– Pewnie telemarketerzy – zgadywał.

– Nie znoszę ich – odparła, a w słuchawkę rzuciła głośniejsz: – Halo!

Gdy i tym razem rozmówca się rozłączył, zerknęła na wyświetlacz, sprawdzając numer telefonu, który powinien być ujawniony dzięki wykupionej usłudze identyfikacji dzwoniącego.

Usiadła ponownie i dolała sobie wódki.

– Ktoś wydzwania od ciebie z domu – oznajmiła.

Dopił resztę alkoholu jednym haustem.

– Powinienem już iść – powiedział, wstał i skierował się do wyjścia. Podążyła za nim. Patrzyła, jak chwyta gałkę u drzwi i przekręca ją pewnym ruchem. Otworzył drzwi na oścież, zasłaniając lustro. – Dobranoc.

Jego wyraz twarzy zdążył już wybiec ku temu, co go czekało gdzieś daleko stąd.

Objęła go, aby złożyć mu pocałunek na ustach, ale gwałtownie obrócił głowę, przez co jej wargi musnęły jego ucho. Przypomniła sobie, że wykonał identyczny unik osiem lat temu, na samym początku ich znajomości, przy pierwszym spotkaniu, i że wtedy

nadal tkwił częściowo w poprzednim związku.

– Dziękuję, że mi dzisiaj towarzyszyłeś.

– Bardzo proszę – odrzekł, po czym pośpiesznie zbiegł po schodkach do auta, które stało zaparkowane przed domem.

Nie próbowała go odprowadzać. Zatrzasnęła drzwi i zdążyła je starannie zamknąć, kiedy znów zadzwonił telefon. Pogasiła światła, nie zapominając o lampie na ganku.

Potem wróciła do kuchni. Tak naprawdę nie potrafiła odczytać niczego na wyświetlaczu bez okularów i zmyśliła to o numerze domowym Pete'a, lecz jego zachowanie tylko wszystko potwierdziło, co było wynikiem czarnej magii, trafnych domysłów i udanych blefów. Obecnie musiała zebrać się w sobie. Rozstawiła szerzej stopy.

– Halo! – Odebrała po piątym dzwonku. Wyświetlacz, który powinien był ukazywać numer dzwoniącego, wydawał się zamazany jak przesłonięty gazą czy pelurem. – Dobry wieczór! – powiedziała głośniej.

Co na nią wyskoczy? Małpia łapka, dama czy tygrys?

Lecz nie było nic.

REWIZJA

*

Tom pojawił się z walizką. Naklejka na niej głosiła tylko JOHN KERRY, bez NA PREZYDENTA, przez co mogło się wydawać, że John Kerry to właściciel bagażu bądź jego producent.

– Goni mnie czas – oznajmił Tom, siadając. Ze zgrzytem przesunął krzesło po płytach chodnika i umieścił walizkę pod stołem.

– Zdążysz coś zjeść? – zapytała.

Zerknął na zegarek.

– Chyba tak.

– W takim razie złóż zamówienie. Prędyutko, skoro goni cię czas. Albo uszczknij trochę ode mnie, jeśli wolisz. – Wskazała na wodnistą sałatę rzymską pływającą w talerzu.

Rzucił okiem na menu i odłożył je.

– W tej chwili nie jestem w stanie nawet nic przeczytać. Czy to kuskus? Zamów mi kuskus z jagnięciną. Zaraz wracam. – Złapał komórkę. – Skoczę tylko do toalety.

Oblicze miał ściągnięte niepokojem pod ogorzałą cerą, sylwetkę tyczkowatą, a chód niedbały, choć dziarski, gdy zniknął za drzwiami. Walizkę zostawił pod stołem, jakby to była bomba.

Przywołała garsona szybkim gestem i natychmiast schowała dłonie pod blat, aby nie podkładać się czujnemu oku nauczyciela. Nie miała talentu do języków – pod tym względem wrodziła się w matkę, która znalazłszy się w podróży poślubnej we Francji, na widok szyldu L'ÉCOLE DES GARÇONS, zauważyła: „Nie dziwota, że dają tu tak dobrze jeść! Nawet kelnerzy kończą szkoły!”

– *Pour mon ami, s'il vous plaît* – powiedziała – *le couscous d'agneau*.

Czy dobrze to ujęła? Trzeba było wymówić oba „s” czy tylko jedno, a może żadnego, jak w „kuku”, i czy to by się równało zamówieniu małego ptaka prosto z parku? Gdy mowa o jagnięciu w charakterze pożywienia, słowo ulegało zmianie, jak w wypadku „świni” i „wieprzowiny”, czy też nie? Może niechcący poprosiła o podanie żywego zwierzęcia pobekującego w bulionie i runie? Kelner kiwnął głową

i nie pytając „Czy coś jeszcze?”, odwrócił się i pośpiesznie odszedł. Tego popołudnia miał chyba na głowie wszystkie stoliki w ogródku. Był kwiecień i pogoda stała się uciążliwie urocza, z miejską bryzą niosącą woń czosnku, spalin i hiacyntów. Tam, gdzie mieszkała, ulicom brakowało podobnie cebulowej, oleistej, wiele obiecującej atmosfery. Zimowa preria oczyszczała powietrze do cna. Wiosna zaś była przelotną, kruchą porą, bardzo prędko zastępowaną przez tornada.

– Masz – żartobliwie rzucił Tom po powrocie. – Chyba zostawiłaś w toalecie swój notes.

Podał jej otwarty – najwyraźniej własny – notatnik, w którym zapisał słowa piosenki Peggy Lee *Fever*. Wszystkie wersy ozdobiły jego wykrzykniki i zawijasy, a także wciśnięta w sam róg partyjka gry w kółko i krzyżyk. U samego dołu strony widniały: „Wiatr ze wschodu, wędkarze chodu” oraz „Czymże jest przeznaczenie, skoro już o to pytasz?”. A także: „Twoje włosy podobają mi się takie, jakie są, na miłość boską”. Fakt, że ją to rozbawiło, pociągnął za sobą myśl: jesteśmy dla siebie stworzeni.

– Muszę wracać do Stanów – dodał. Oparł łokcie na stole, a brodę na dłoniach. Znała parę osób, które dorabiały na boku w międzynarodowej konspiracji i tryskały energią, jednakże prędzej czy później każdy musiał zapłacić cenę; Tom obecnie wyglądał na znużonego i pokonanego. – Wiesz, my, ludzie wywiadu, tak naprawdę mamy niewiele wspólnego z Jamesem Bondem. Jesteśmy żałośni, działamy po omacku, podejmujemy decyzje znad laptopa i generalnie występujemy w za wysokiej lidze.

– Czy nie podobnie wyraził się Richard Burton w filmie *Szpieg, który przyszedł z zimnej strefy*?

– Podobnie.

– Ale ten laptop...?

– Daj człowiekowi trochę poimprowizować. Złożyłaś zamówienie?

– *Oui, monsieur*.

– *Merci*. – Uśmiechnął się do niej.

Wiedziała, że Tom pochwała jej używanie francuszczyzny. Sam był poliglotą, znał nawet urdu i arabski, aczkolwiek używał urdu co najwyżej półtorej godziny – jak jej oświadczył: „zanim pokazał się pusty niebieski ekran” – „arabskiego zaś góra cztery”. Po czym dodał: „a angielskiego w gruncie rzeczy tylko pięć, aczkolwiek pięć godzin mówienia, choćby po angielsku, to niemało”. Kilkadziesiąt lat temu był zawodowym kierowcą, kursował z Holandii do Teheranu, przewożąc narkotyki (tego nie powiedział jej wprost, domyśliła się sama). W końcu został zrekrutowany przez amerykański rząd, by uczyć dzieci ochroniarzy szacha.

– Czego ich uczyłeś? – zapytała wtedy.

– Teorii krytycznej – odparł na jej pytanie, siląc się na dowcip. – Kinematografii i komunizmu. Oczywiście nie takiego prawdziwego, nic z tych rzeczy. Zamiast praktycznych wskazówek, jak mordować ludzi i wrzucać ich do rowów, raczej

komunizmu teoretycznego. Z wysokości wieży z kości słoniowej, rzekłbym.

– Cha, cha.

– Uczyłem dzieciaki angielskiego – poprawił się – zresztą część rodziców także.

– Uważałeś szacha za złego człowieka?

Odpowiedzią na jej pytanie był długi i dziwny wykład na temat Czang Kaj-szeka oraz prymitywnego, budzącego wątpliwości szufladkowania rozmaitych postaci historycznych. Była przekonana, że na fotografiach przedstawiających zakładników z ambasady widniał Tom: wysoki przystojny blondyn z oczyma przewiązаныmi opaską. W tamtym czasie miała kilkanaście lat i dopiero znacznie później natknęła się na to zdjęcie w Internecie. Na widok uderzającego podobieństwa zaparło jej dech.

Zaprzeczył jednak wszystkiemu, twierdząc, że wyjechał miesiąc wcześniej. Odkurzone sekrety jego tajnej pracy fascynowały ją i paraliżowały niczym wolno gotująca się woda żabę, która fatalnie dla siebie przywyka do zmieniającej się stopniowo temperatury.

Zapłacił rachunek gotówką.

– W dzisiejszych czasach wszyscy ludzie wydają się źli – odparł wtedy – nie tylko szach.

Teraz uniósł kolejno najpierw karafkę z Côtes du Rhône, a później brwi i z optymistycznym błyskiem w oku przechylił głowę. Jego włosy nabrały tego dziwnego żółtawego odcienia, w który przechodzi ryży blond w średnim wieku, całkiem jakby został utleniony, po czym potraktowany białymi pasemkami niczym rudy kot.

– Tylko nie wino – zaproponowała. – Wino wymaga sera.

Zamierzała stracić na wadze przed tą podróżą, lecz cóż.

– Powiem ci coś, jeśli obiecasz, że nie podasz tego dalej... – Urwał, przyjrzał jej się badawczo i dalej zwlekał.

– Oczywiście – zapewniła. Czyżby jej wygląd nie budził zaufania? Czemu nie sprawiała wrażenia osoby spolegliwej, za jaką się uważała? Brakowało jej raczej wdzięku, ale ludzie często mylili te dwie cechy.

Tom nalał sobie wina i upił trochę.

– W Londynie doniesiono o przypadkach tortur, w które zamieszane były amerykańskie oddziały stacjonujące w Bagdadzie. Są dowody w postaci zdjęć. Prawdziwa katastrofa, dlatego muszę wracać. – Pociągnął raz jeszcze.

– Tym oddziałom nic nie grozi? O czym właściwie mówimy?

– To same zielone szczeniaki. Barany. – Kelner podał kuskus i Tom ostrożnie dźgnął widelcem jagnięcinę. – Wszystko lada moment wyjdzie na jaw. Brytyjska prasa już się szykuje do zrzućenia bomby. To będzie skandal na miarę masakry w My Lai.

– My Lai? No, nie przesadzajmy – zaprotestowała, lecz kim właściwie była, żeby rzucać takie beztróskie uwagi?

Drżącą ręką uniósł kieliszek do ust i siorbnął nieco wina.

– Ja nie żartuję. Możesz mi wierzyć, że niedługo wszyscy się dowiedzą o torturowaniu talibów. – Ten zlepek słów wydał jej się absurdalny i być może taki był, choć niewykluczone, iż raczej chodziło o to, że każdy obcy wyraz brzmiał w jej uszach jak wyjątek z *Dziabberlaka*: talibańczykom speły fajle.

Teraz dźgnął widelcem powietrze.

– To te same oddziały, w których ja byłem trzydzieści lat temu. Wykonują rozkazy wywiadu wojskowego, o ile takie określenie to nie nadużycie językowe. Osobiście żałuję czasu spędzonego w Teheranie i Kairze, żałuję, że teraz mogę być w tych sprawach konsultantem.

– Musiałeś jakoś zarabiać...

– Przykro mi, ale w tym paśmie nie ma już wolnego miejsca dla gadających głów! – przerwał jej, rozciągając usta w uśmiechu, który przypominał zwodniczy blask gwiazd wyświeconych przed eonami. – Wszystkie pasma zostały zajęte przez gości zgłaszających swój udział z większym wyprzedzeniem! – Miała już nie zobaczyć tego jego uśmiechu. Właściwie chyba go nie widziała nawet w tej chwili. Wbił w nią spojrzenie, jakby była przezroczysta, i zniżył głos. – Mówiłem im: w żadnym razie nie spuszczajcie Koranu w toalecie; w żadnym razie nie każcie im stawać nago przed kobietą; w żadnym razie nie zmuszajcie ich do homowygłupów. Nie udawajcie seksu oralnego, co chyba jest dobrą radą w każdych okolicznościach. Nie piszcie im markerem na czołach „dzieci Akbara” ani nie nakładajcie im na głowy damskiej bielizny. Cokolwiek z nimi zrobicie, nie starajcie się odtworzyć swoich pierwszych wspomnień z występów tańca nowoczesnego. Ponieważ to ich poniży i zdeprawuje.

Sądziła, że rozumie, co chce jej powiedzieć: „nie” było tutaj szyfrem. Przeczący tryb rozkazujący równał się twierdzącemu. Podobnie zwracali się czasem lekarze do swych nieuleczalnie chorych pacjentów: „Proszę w żadnym razie nie zażyć wszystkich pigułek, popijając je wodą”.

– Gdzie zatem poszukali inspiracji? W Internecie?

Czyżby sam wierzył w to, że tak wyrażone zakazy były czymś więcej niż tylko przykrywką? Kiedy człowiek opuszcza pokój moralnej dwuznaczności, cieszy się, gdy obok czeka na niego wygodne, wyściełane krzesło. Jednakże w końcu zamienia się we własnego ducha, targanego niepokojem w domu, który w jego mniemaniu nie był aż tak bardzo nawiedzony – szczególnie przez niego samego.

– W Internecie! – prychnął pogardliwie Tom. – Internet zaledwie odzwierciedla stan ludzkiej wiedzy. I to nie całkiem. Okrucieństwo przychodzi naturalnie. Przychodzi naturalnie każdemu. Ale kiedy w środku panuje zamęt, kiedy na zewnątrz panuje gorąc, tym łatwiej pogubić się jeszcze bardziej. Wzrasta pragnienie, by coś złamać, zdominować. Skąd to się bierze? Gdzie się podział zwykły spryt? Tak doczekaliśmy się przesłuchań na golasa i worków nasączonych sosem paprykowym.

– Ale ty... ty pracujesz dla wywiadu.

– Naprawdę?

Poprawiła się na krześle. Nie mogła sobie przypomnieć, czy zamówiła do sałatki pieczywo.

– Wszystko na świecie sprowadza się do bycia we właściwym miejscu o właściwym czasie – rzuciła w przyływie desperacji.

– Nie! Nie! – krzyknął, aż zmrużyła oczy. – Oni mieli załagodzić konflikt, zamiast go eskalować i robić w Abu Ghraib drugie Guantanamo!

– Jesteś zwykłym konsultantem. Nie ponosisz za nic odpowiedzialności – rzekła niepewnie.

Wiedziała, że Tom stracił bliskiego przyjaciela z dzieciństwa, który leciał tym samym samolotem co Muhammad Ata. Siedzieli razem w pierwszej klasie.

– To musiało być dla ciebie straszne przeżycie – zareagowała spontanicznie, kiedy jej o tym opowiedział.

– Tak – odparł wtedy bezradnie. – Człowiek nie spodziewa się czegoś takiego, no chyba że decyduje się na podróż autobusem dalekobieżnym.

Teraz też nie wiedziała, jak go pocieszyć.

– Mówisz tak, jakbyś był nosicielem śmierci.

– Może nim jestem, dziewczyno. Przespaceruj się ze mną i zobacz, czy wrócisz cała.

– Zaczął masować sobie skronie. – Wybacz, sam nie wiem, co mi jest, ale... Wiem, jak sobie pomóc! – dodał z lekkim uśmiechem, jak gdyby się obawiał, że ją nastraszył. Ułożył dłoń w kształt pistoletu, przytknął sobie do skroni i kciukiem zainscenizował naciśnięcie spustu.

– To może się skończyć tylko niegroźnymi obrażeniami – uprzedziła go.

– A to? – zapytał, wkładając palec do ust. Zobaczyła kremowe szkliwo jego zębów, trzonowce mrugające do niej rtęciowymi oczkami.

– Zbyt drastyczny sposób na wyleczenie bólu głowy. I niekoniecznie skuteczny.

– Rozumiem – powiedział i teraz już przytknął sobie oba palce wskazujące do jednej i drugiej skroni. – No, to powinno zadziałać.

Śmiech pośród popołudnia nocą. Dziennica w dzbanuszkach na plastikowym blacie skończyła na dziś.

– Weterynaria zna najlepszy sposób – stwierdziła. – Znacznie bardziej humanitarny od ludzkiej medycyny, zwłaszcza gdy mowa o prawdziwej kośćcówce. Istnieją odpowiednie zastrzyki. Po których nie ma się morfinowych snów.

– Właśnie dlatego oddałem do czyszczenia swoje psie przebranie.

– Che, che.

– Jeśli ktoś ma skłonności samobójcze – rzekł wolno – ale nie popełni samobójstwa, społeczeństwo patrzy na niego krzywo.

Miewał przyprawiające o paraliż migreny, ale zawsze dobrze je ukrywał, kiedy byli

razem w jego mieszkaniu, toteż nie przekonała się naocznie, w jakim stopniu go upośledzają. Dwa lata później, gdy poddał się zabiegowi wszczepienia implantu – co stanowiło eksperymentalną, nowatorską kurację, któż by jednak nie pomyślał o *Kandydacie*? – odwiedzała go, przynosiła mu lunch, wysłuchiwała żartów o jego ogolonej czaszce i baterii zainstalowanej w jego piersi. Był poddawany doświadczeniom, lecz nie chciał powiedzieć przez kogo konkretnie. Był podatny na urok osobisty liderów i grup mimo swej opinii o baranach. Zarazem był pełen stoicyzmu w obliczu rzeczywistości. Jeszcze później, gdy implant usunięto, partacząc robotę, i gdy drzączka, która ogarnęła go w tamtej kawiarni, zapanowała nad nim całkowicie, wytrącając go z równowagi i wkładając mu do ręki laskę, a także zmuszając, by przedwcześnie wypełnił wniosek o emeryturę – „najwyraźniej byłem w grupie kontrolnej, a grupa kontrolna nie ma pełnej kontroli nad przebiegiem eksperymentu” – jeździła na północ stanu, gdzie nad jeziorem mieścił się ośrodek dla weteranów. Jednakże kobieta w recepcji nieodmiennie informowała: „Dziś niestety nie przyjmuje odwiedzin”. Umundurowani strażnicy regularnie rewidowali jej auto przy bramie – raz po powrocie do domu znalazła w bagażniku nawet ich telefony komórkowe. Na ogół, kiedy jej na to pozwolono, przechadzała się po ośrodku i odszukiwała jego domek – miał swój własny, niczym wysoki rangą oficer, czyli jednak był stosunkowo ważny. Mimo to nie dawał znaku życia, chociaż w odpowiedzi na jej e-maile zapraszał ją do siebie. W ciągu czterech wizyt w ośrodku – i dziewięciu prób skontaktowania się z nim bezpośrednio – ani razu jej nie wpuścił.

– Nawiasem mówiąc – zagał znowu teraz – dopilnuj, żeby mi nie wyprawiono jednego z tych ostentacyjnie ekologicznych pogrzebów, gdzie w czyimś ogródku pod prażącym słońcem wystawia się na widok wszystkich niezabalsamowane zwłoki ułożone na hałdzie lodu. Ja chcę mieć pogrzeb kościelny. I wiesz co? Wybrałem już nawet muzykę.

– Dobrze.

– Wystarczy, że podłączysz mojego iPoda do głośników przed kaplicą.

– Z aktywowaną funkcją Geniusz? – Komplement nieco na wyrost. Niemniej komplementy są tak rzadkie w życiu i jeszcze rzadziej wypadają przekonująco...

Kiwnął głową, doceniając jej gest.

– Właściwie – odparł – wystarczy funkcja losowego dobierania utworów.

Jej własny iPod wprawiłby ją w zażenowanie: *Forbidden Broadway*, Sting, francuski dla idiotów.

Rozejrzała się po obramowanych mosiądzem kawiarnianych stolikach i wyślizganych wiklinowych krzesłach. Potem przeniosła wzrok z powrotem na Toma. Jeszcze nigdy nie widziała go tak udręczonego i zmartwionego. Niegdyś, w ich dawnym mieście rodzinnym, które dzielili za czasów, kiedy najpierw on był żonaty, a później ona zamężna, spoglądali na siebie na wskroś pokoi, szukali swego

towarzystwa w trakcie przyjęć, robili to całymi latami, spięci i pobudzeni, z kieliszkiem wina w ręku każde ukradkiem szukało bliskości tego drugiego, zdobywając się na rozmowę o niczym i wzajemnie się oczarowując. Dostrzegała w nim dobrze umięśnione ciało i pozornie znudzony wyraz twarzy, opuszczone powieki i faliste wargi oraz emanującą z tego wszystkiego skupioną na niej niczym promień lasera męską uwagę. Im realniejszy stawał się ich słodki sekret, tym rzadziej o nim mówili. Lecz gdy tajemnicy zaczęło zagrażać zniknięcie, sama z siebie stała się niepohamowana i niedyskretna – jakby w próbie czepiania się resztek własnego słabnącego życia.

Koniec końców dopisało im szczęście i żadne już nie miało małżonka, aczkolwiek nic, co dzieje się „koniec końców” i wiąże się z równie niemiłym zamieszaniem, nie może być uważane za prawdziwe szczęście. Umówili się na to spotkanie w odległej Francji, nie zdając sobie sprawy z jego rzeczywistego znaczenia, gdyż temat znaczenia nie został podjęty głośno.

– Czy to jest randka, czy na wpaół przypadkowa kolizja dwojga wolnych strzelców?
– zapytał minionej nocy, zanim z nieba lunęła wiosenna ulewa, nabłyszczając asfalt i ściekając po obu parach okularów, które zdjęli, po czym mogła go pocałować.

Teraz przy krawężniku zatrzymała się zamówiona limuzyna.

– Dobry Boże – westchnął. – Nie spodziewałem się, że przyjedzie tak prędko.

– Dokończ jedzenie. To jest najważniejsze. Zjedz tyle, ile zdołasz. Limuzyna zaczeka.

Widziała, że nie ma apetytu i wciska w siebie posiłek z samozaparciem, jakby to było zadanie do wykonania. Drobne kęsy jagnięciny.

– Ludzie to naprawdę barany – powiedział, żując. – Głupie barany. W gruncie rzeczy w stadzie baranów jest zawsze jeden mądry osobnik, a reszta w owczym pędzie wyłącza myślenie i tępo lezie za nim. „Co robi Maurice?”, pytają się nawzajem. „Dokąd Maurice idzie? Chodźmy za nim!”. Stado jako jeden organizm.

– Zupełnie jak armia – wtrąciła.

Przełknął z trudem i przez chwilę nic nie mówił.

– Taaa. Czasami. Ale już cywile i wojskowi nigdy ze sobą nie współpracowali. – Wyciągnął z kuskusu liść laurowy. – Nie cierpię wawrzynu – rzucił, pozbywając się wroga z talerza. – Jak zamierzasz spędzić resztę czasu tutaj? – zapytał, zgarniając pozostałość dania widelcem i formując w małe kupki z wąwózami i dolinkami.

– Znajdę sobie jakieś zajęcie – odparła. – Ale bez ciebie to nie będzie to samo.

Odłożył widelec i złapał ją za rękę, przez co poczuła ucisk w piersi.

– Tylko pamiętaj: nigdy nie pij do lustra – przestrzegł ją.

– Bez obaw. Zawsze piję do telewizora.

Miała nadzieję, że do niej zadzwoni, znalazłszy się w Waszyngtonie.

Cofnął rękę, pogmerał w portfelu, cisnął na blat banknoty i pochwycił walizkę.

Wstali równocześnie i wolnym krokiem podeszli do limuzyny. Szofer w błękitnym berecie wysiadł, żeby otworzyć drzwiczki. Tom położył walizkę na tylnym siedzeniu i odwrócił się, żeby coś powiedzieć, lecz szybko zmienił zdanie i po prostu zajął swoje miejsce. Kiedy drzwiczki za nim trzasnęły, opuścił szybę.

– Nie wiem, jak to ująć – zaczął – ale... no... nie zapomnij o mnie.

– Jak mogłabym zapomnieć?

– Na to wolę nie znać odpowiedzi, *ma chère*. – Schyliła głowę, a on przycisnął wargi do jej policzka na dłuższą chwilę.

– Mam nadzieję, że nasze ścieżki jeszcze się kiedyś skrzyżują – powiedziała, cofając się. A potem, jakby mówiła do głuchego, ułożyła z dwóch palców krzyżyk, co wyglądało raczej tak, jakby odżegnywała się od wilkołaków. Nie miała talentu nawet do języka migowego. *Lapsus signi*. Kiedy limuzyna ruszyła, zawołała jeszcze: – Udanego lotu!

Odwrócił głowę po raz ostatni.

– Ej, wszystkie płyny mam w podręcznym! – zawołał aluzjnie przez otwarte okno.

Poderwała dłoń do ust, aby posłać mu całusa, jednakże limuzyna skręciła ostro w rue du Bac. Całus trafił w próżnię. Ale Tom machnął jeszcze przez okno gestem karacisty, mogącym również posłużyć za pożegnanie, zanim limuzyna zdążyła zniknąć za rogiem i w zgiełku ulicznym.

★

Lata wcześniej, na przyjęciu bożonarodzeniowym u wspólnego znajomego, podczas gdy ich małżonkowie puszczały dymka na werandzie, znaleźli się koło siebie w kuchni, potrząsając otwartymi butelkami wina, by sprawdzić, która nie jest jeszcze zupełnie pusta. Minionego dnia, wraz ze zdjęciem zwycięskich domków z piernika na wystawie w centrum handlowym, przesłał jej wiadomość o treści: „Zażyłem trzy adderalle i zrobiłem je wszystkie dla ciebie”. Z pokoju obok dolatywała piosenka Boba Dylana *Gotta Serve Somebody*.

– Czego w życiu żałujesz najbardziej? – zapytał, stając tuż obok. W sumie było około dziesięciu pustych butelek, które wspólnie i metodycznie przechylali, oglądali pod światło, a nawet unosili wysoko, by zajrzeć do środka przez grube szkło. – Mamy tu samych poległych – mruknął. – Chciałbym być optymistą i powiedzieć, że są w połowie pełne, nie w połowie puste, ale one wszystkie są kompletnie puste!

– Jeżeli życie człowieka nie niesie jakiejś szczególnej wagi – odpowiedziała na

zadane pytanie – jego żale są tyle samo warte co głupi, wymięty bilet do cyrku, który dawno opuścił miasteczko.

Twarz mu pojaśniała z rozbawienia i przepicia.

– A jaki to los czeka twoje miasteczko?

Milczała przez chwilę.

– Hm, na pewno różna pogoda – odparła z namysłem. – Opady śniegu. Burze z piorunami. Słońce. Ludzie będą chodzili dalej do kościoła i siedząc w swojej świątyni, czasem ujrzą klaunów uciekinierów w tylnych ławkach, z białymi rękawiczkami na dłoniach.

– Klaunów uciekinierów? – zapytał.

– To będzie ucieczka. W pewnym sensie.

– Z zimnej strefy? – dopytywał.

– W poszukiwaniu ciepła wspólnoty.

Pokiwał głową z zadowoleniem.

– Przeszłość jest dla nieudaczników, co, dziecinko?

– Coś w tym stylu. – Nie była pewna, czy się z tym zgadza, lecz potrafiła docenić moc takiego twierdzenia.

Ożywił się. Nachylił się bliżej niej, dotykającej pośladkami kuchennego blatu.

– Masz czasami wrażenie, że nikt nie rozumie, o czym mówisz, że wszyscy tylko udają... oprócz mnie?

Przyjrzała mu się uważnie.

– Tak – odpowiedziała. – Tak.

– Ha! – rzucił, prostując się. Pochwycił jej rękę; prąd ją przeszedł, po czym zniknął, kiedy już przestał ją trzymać. – Wszystkim nam zależy na szczęśliwym zakończeniu.

DZIĘKUJĘ ZA WSPÓLNIE SPĘDZONY CZAS

*

Nazajutrz po śmierci Michaela Jacksona oddałam mu hołd na swój sposób. Włączyłam odtwarzanie jego wideoklipów na YouTube i siedziałam przy stole w kuchni po ciemku, za jedyne źródło światła mając blask leżącego pośrodku blatu iPoda. Wysłuchałam *Man in the Mirror* i *Bena*, swojej ulubionej piosenki, mimo że traktowała o szczurze zabójcy. Staralam się nie myśleć o tym, że jest o szczurze, szczególnie że było to zarazem imię mojego byłego chłopaka, który dowiedziawszy się o zgonie Jacksona, przysłał mi e-maila ze Stambułu. Najwyraźniej w Turcji nie miał z kim o tym pogadać.

„Jak tylko usłyszałem, że nie żyje, natychmiast mi się przypomniałaś – napisał. – Ty i ten twój słodki, gibki taniec, który wykonywałaś do jednego z jego szybszych utworów”.

Ja zmuszałam się do pozytywnego myślenia.

– No, przynajmniej to nie Whitney Houston umarła – powiedziałam do kogoś przez telefon. Każda upływająca chwila życia niosła niewiele informacji, aż tu nagle następował jej zalew.

– Mamo, co ty wyprawiasz? – zapytała moja piętnastoletnia córka Nickie. – Kiedy tak siedzisz w kuchni, wyglądasz jak jakaś wariatka.

– Słucham muzyki.

– Ale czemu tak...?

– Żeby ci nie przeszkadzać.

– O, to rzeczywiście ci się udało – odparła.

Ostatnio obwieściła, że pragnie mieć własny reality show, aby cały świat poznał rozmiar jej udreki.

Wyciągnęłam z uszu słuchawki.

– Co jutro włożysz?

– Cokolwiek. Jakie to ma znaczenie?

– Eee, właściwie żadnego.

Nickie opuściła kuchnię wolnym krokiem. Oczywiście, że to, jak ubierają się młodzi, nie ma żadnego znaczenia – i tak wyglądają cudownie, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, co tylko zwiększa ich urok. Szłyśmy razem na ślub Marii, jej dawnej opiekunki. I to ja powinnam się przejmować tym, co na siebie włożę.

✱

To był wiejski ślub, pół godziny drogi za miastem, ale choć przyjechałyśmy na czas, jakimś cudem byłyśmy ostatnie. Goście snuli się na wpół bez celu. Maria – atrakcyjna temperamentna Brazylijka – wychodziła za miejscowego farmera, po raz wtóry (znaczy za drugiego farmera z drugiej farmy). Ten pierwszy, Ian, był również obecny; zatrudniła go jako muzyka. Podczas gdy goście kręcili się w kółko z winem w styropianowych kubkach, Ian grał ze swego miejsca melancholijną wersję *I Want You Back*. Z tym że tak naprawdę niespecjalnie chciał, żeby do niego wróciła. Siedział uśmiechnięty i kiwał wszystkim głową, najwyraźniej zadowolony ze swego udziału w tym specyficznym pożegnaniu. To on stanowił *clou* programu. Miał na sobie koszulkę z napisem DZIĘKUJĘ ZA WSPÓLNIE SPĘDZONY CZAS. Było to wyjątkowo optymistyczne, jak i użyteczne, a przy tym także do pewnego stopnia piękne. Zaciekawilo mnie, jak osiąga się taki efekt. Mnie samej nigdy nie udało się nic choćby odrobinę zbliżonego. „Małżeństwo to długa rozmowa” – napisał Robert Louis Stevenson. Szczęściarz, zmarł w wieku czterdziestu czterech lat i nigdy nie przekonał się o prawdziwości własnych słów.

– Nie wierzę, że to włożyłaś – szepnęła do mnie Nickie ubrana w ażurową letnią sukienkę koloru lila.

– Tak, wiem. To chyba była pomyłka. – Ja miałam na sobie dopasowaną sukienkę z syntetyku w lamparcie cętki: preferowałam kamuflaż. Wyobrażałam sobie, że lampart nosi cętkowane futro z powodu środowiska, w jakim przyszło mu żyć, rojącego się od węży i wymagającego wtapiania się w tło. Lamparty bały się węży oraz szympansów, które z kolei bały się lampartów: swego rodzaju impas między drapieżcą a ofiarą, szczególnie że co do tego, kto jest kim w tym układzie, panowało pewne zamieszanie, nieobce również głębi mojej szafy. Być może naoglądałam się za dużo filmów przyrodniczych.

– Może zaniósłabyś Ianowi szklanekę lemoniady – rzuciłam do Nickie. Sama zdążyłam już porwać kubeczek z winem z mijającej mnie czarnej plastikowej tacy.

– Może bym zaniósła – odparła i ruszyła przez trawnik.

Nie mogłam się napatrzeć na jej szerokie opalone plecy i swobodny krok. Była z niej wspaniała wielkoludka. Dziwiłam się, że trafiła mi się taka córka. I szalałam na jej punkcie z obawy – nie mniejszej niż o własne życie.

– Dobrze, że zostaliście z Marią na przyjaznej stopie – powiedziałam do Iana.

Jego ojciec, pozwolewszy sobie na żenujące gorące uczucie teścia do odchodzącej synowej, znosił tę sytuację gorzej od niego. Snuł się z zamglonym wzrokiem po skraju posiadłości i popijając bodaj dzin z lodem, myszkował wzrokiem za Marią, tylko czekając chwili, aż wyjdzie z domu, aż nadarzy się sposobność, aż zostaną na moment sami i będzie mógł ją chyłkiem objąć.

– To prawda. – Ian się uśmiechnął. Ian westchnął. I przez mgnienie oka wszystko wydawało się totalnie popieprzone.

Ale zaraz to wrażenie zniknęło. Uczestniczenie w ślubach miało swoją wartość dla ducha: zapewniało równowagę w kontekście uroczystości żałobnych. Ludzie nie powinni chodzić po tej ziemi tylko po to, by opłakiwać innych. A gdyby nie śluby i wesela, zostałyby same pogrzeby i stypy. Byłam świadkiem, jak matka zapuszcza korzenie na parkingu pod stadionem, zamieniając się w liszajowatego rododendrona, jak gdyby taki efekt wywarło na nią ciągłe oglądanie meczów. Byłam świadkiem, jak bystry student filologii zaczyna kontestować ideę pisarstwa, jak gdyby taki efekt wywarło na niego ciągłe pisanie. I byłam świadkiem, jak obrońca z urzędu zakłada fundację równych praw, jak gdyby trzeba było zapłacić za sprawiedliwość własnym życiem. Byłam świadkiem, jak tuzin osób staje się kawałkiem kamienia z nazwiskiem wyrytym na powierzchni tak idealnie, iż mogło się wydawać, że faktycznie wszyscy skamienieli i dostali nowe życie na podobieństwo księżycy, który zdaje się żywy dzięki złudzeniu optycznemu i przypominającej twarz tarczy. Przerzuciłam na pustą stronę setkę kartoników w obrotowym wizytowniku. Niech więc sobie opiekunka będzie znowu oblubienicą. Niech wychodzi za mąż raz po raz. Tyle namiętnej i prawdziwej miłości przetoczyło się w ukryciu i szczęło, nie znalazłszy wyrazu, że niech sobie bierze górę jakieś przypadkowe, niedogodne uczucie. Jest tak mało czasu.

Obecnie na grząskim trawniku przed Ianem stała elegancka, wysoka, zapadająca się obcasami w darni kobieta z mikrofonem, śpiewająca do jego akompaniamentu Águas de Março. Mój umysł, imitując tekst piosenki, też błędził. Patyk. Kamień. Krowi placek. Zapłakane oczy matki.

– Tu jest jakiś pierdylion Brazylijczyków – poinformowała Nickie, pojawiając się ze szklanką lemoniady w każdym ręku.

– A czego się spodziewałaś? – Wzięłam od niej szklankę Iana i objęłam ją ramieniem.

– Nie mam pojęcia. Wcześniej widziałam tylko jej siostrę. I to raz. Dobra strona jest taka, że nie ja jedna ubrałam się na kolorowo.

Spoglądałyśmy ponad trawnikiem w stronę domu. Matka i siostra Marii stały przy

krzakach róż, robiąc sobie zdjęcia bez panny młodej.

– Obydwie są bardzo podobne do matki. – Poznałyśmy się przy jakiejś okazji, skinęłam jej więc teraz głową. Trudno powiedzieć, czy to dostrzegła.

Nickie potaknęła z uśmiechem.

– Ich ojciec zginął w wypadku samochodowym. Zatem do niego raczej nie są podobne.

Uderzyłam ją lekko w ramię.

– Nickie, ciszej...

Przez moment milczała.

– Myślisz czasem o tacie?

– Czyim tacie?

– Daj spokój.

– Chodzi ci o nieeeegooo?

Wyjeżdżając – z domu, z miasta, z kraju, zewsząd – i pakując tak niewiele rzeczy, że moim zdaniem musiał wrócić, powiedział do mnie:

– Dasz radę wychować Nickie sama. Dobrze ci to pójdzie.

Na co ja odpowiedziałam:

– Naćpałeś się?

– Trochę – odparł wtedy, nie przerywając składania niebieskiej wiatrówki.

– Tak, o niego. O złego – potwierdziła teraz Nickie. Przyjaciołom czasami mówiła, że jej ojciec nie żyje, a zapytana, jak umarł, wbijała smętny wzrok w jakiś odległy punkt przestrzeni i dopowiadała: „Och, tamta partyjka wisielca poszła naprawdę źle”.

Samotne matki i ich jedynaczki łączyła nieco wypaczona rodzinna relacja, o ile w ogóle można je było nazwać rodziną. Być może bardziej przypominały obleśnych filmowych kumpli porozumiewających się w sposób bardzo odległy od tego, co słyszy się w normalnych domach. Zgoła nieziemski. Zahaczający o gadkę szmatkę właściciele psów wyprowadzonych do parku. Z nutą siostrzanego przekomarzania się silniejszą, niżby wypadało. Mimo wszystko wołałam to od staropanieństwa, do którego predysponowały mnie geny, jak sądziłam swego czasu, by później jednak rzucić wyzwanie własnemu przeznaczeniu i ostro, zbyt ostro, powalczyć o odmianę losu, najwyraźniej czekającego mnie i tak. Skoro człowiek był zdany na samego siebie przy narodzinach, skoro był zdany na samego siebie, umierając, i skoro bez wątplenia był zupełnie sam po śmierci, po co miałyby się „godzić z samotnością” pomiędzy tymi ekstremami? Z całą pewnością jednak nie musiał się uczyć życia w samotności. Samotność przychodziła mu naturalnie. Pod tym względem przypominała jazdę na rowerze. Z jadącym na linii strzału – z broni wymierzonej własnoręcznie do samego siebie. Samotność to powietrze w oponach, wiatr we włosach. Nie trzeba jej szukać z szeroko rozpostartymi ramionami. Z szeroko rozpostartymi ramionami można co najwyżej spaść z siodełka i boleśnie się potłuc... Chyba za dużo wina wypiałam w zbyt

krótkim czasie.

Maria wyszła z domu w prześlicznej sukni ślubnej bez ramiączek, białej jak śnieg.

– Fantastyczne przebranie – skomentowała Nickie kpiąco.

Była z niej zarówno bystra obserwatorka, jak i zapalona adeptka krawiectwa kostiumowego; jako dziecko wybawiła się za wszystkie czasy w wesele, nie zapominając o ślubnych bukietach zrobionych z różnokolorowych gąbek, z długą rączką, wyrzucanych w powietrze i nierzadko lądujących w obręczy do kosza na ścianie garażu. Była również fanką Halloween. Chodziła z gromadą innych dzieci i zbierała datki na UNICEF przebrana w strój maskujący snajpera bądź bombowca samobójcy, kamizelki nie wyłączając. Kiedy miała osiem lat, udawała leśną nimfę, driadę, choć pytana w progę, kogo przedstawia, odpowiadała każdorazowo, że „triadę”. Już wtedy przepełniało ją poczucie wyższości i świadomość wybrakowanej wyobraźni dorosłych – „Kim znowu? Wampirka?” – tak że widząc zmieszanie sąsiadów, robiła marsa i rzucała z wyrzutem: „Nie słyszeli państwo o greckiej mitologii?”. Nickie umiała straszyć. Zamiast pukać do drzwi innych ludzi, wołała otwierać nasze; zerkała spod skraju wiedźmowego kapelusza i śmiała się gdakliwie. „Chyba pora wracać do naszych klientów” – oświadczyła pewnego razu, w roku swoich piątych urodzin, i złapała mnie za rękę, ciągnąc za sobą do domu. Była nieustraszona: w szkolnej stołówce zawsze siadała przy stole dla dzieci cierpiących na alergię pokarmową, ponieważ miał tam swoje miejsce jej ulubiony kolega – taka stołówkowa wersja *Czarodziejskiej góry*. Dzieciństwo mojej córki, jak każdy sen, ilekroć człowiek stara się go przywołać, przybierało formę przejaskrawionych, oderwanych obrazów, po czym rozpływało się całkowicie. Wysoka, długonoga i nieprzenikniona wydawała się teraz snajperem bardziej niż kiedykolwiek. Czułam się przy niej sparaliżowana i kochałam nie tyle obecną najeżoną Nickie, ile tę dawną, która wciąż gdzieś tam w niej tkwiła, aczkolwiek była to raczej kwestia wiary. Niewątpliwie taki cel przyświecał temu, kto wynalazł wiarę: żeby przeżyć nastoletniość własnych dzieci. Z drugiej strony po to też była śmierć: żeby zupełnie uwolnić się od nastolatków. Ostatnimi czasy, gdy Nickie upierała się przy swoim, wrzeszcząc na mnie obraźliwie po całym domu, zaczynałam się w milczeniu rozbierać, powoli ściągając bluzkę przez głowę, aby jej nie widzieć, i dopiero to kazało jej się pośpiesznie ewakuować. Moc uciszającą miała w jej wypadku budząca niesmak nagość – tylko i aż.

– Nie wierzę, że ubrała się na białe – dodała moja córka na widok Marii.

Wzruszyłam ramionami.

– Jaki kolor powinna włożyć?

– Szary! – padła natychmiastowa odpowiedź. – Dla podkreślenia, że ma mózg! Znaczą szare komórki.

– Właściwie – powiedziałam – mówili niedawno w telewizji publicznej, że szara

jest wyłącznie najbardziej zewnętrzna część mózgu, zwana korą, mimo iż wcale nie przypomina kory. Reszta mózgu zawiera istotę białą. Zapewne dla symetrii.

Nickie parsknęła, jak zawsze, gdy z moich ust padały słowa „telewizja publiczna”.

– No to powinna włożyć szary kolor dla podkreślenia, że ma pół mózgu.

Skinęłam głową.

– Rozumiem, o co ci chodzi.

Goście pochłaniali kanapki z papierowych talerzyków i robili sobie zdjęcia z panną młodą. Z panem młodym już niekoniecznie. Nazywał się Hank, co stanowiło zdrobnienie nie od Henry’ego, lecz od Johannes, i w przeciwieństwie do reszty osób nie nosił okularów przeciwsłonecznych, za to wpatrywał się w Marię, mrużąc oczy z dumy i niedowierzania. Hank też był muzykiem, aczkolwiek głównie naprawiał bandza i gitary – zmieniał struny i kładł nową warstwę lakieru na pudła instrumentów – i tak właśnie poznał się z Marią i Ianem.

Nagle w powietrzu rozniosła się woń patynowanego srebra, zapowiadająca deszcz. Podeszłam do Iana, który rozglądał się za nową piosenką, od niechcienia przebierając palcami po strunach i za wszelką cenę nie patrząc na ojca pożerającego wzrokiem Marię.

– Co tam dla nas masz? *I’ll Be There?* – zapytałam wesoło.

Zawsze go lubiłam. Ich miłość była książkowa: poznali się, studiując za granicą, po czym wrócili do kraju już po ślubie – wprawiając w niemały szok ojca Iana. Ian kochał Marię i był wobec niej lojalny, jakiegokolwiek fabuły była bohaterką, jednakże ona lubiła akcję, a opowieść według niej musiała być przykuwająca, w przeciwnym razie traciła zainteresowanie główną postacią, którą czasami była sama, a czasami nie. Jej przeznaczeniem było wychodzić za mąż raz po raz. Ian uśmiechnął się i zaczął śpiewać *I Will Always Love You* głosem podobnym do Boba Dylana, aczkolwiek bez cienia szyderstwa.

Zawahałam się. Zostałam. Nie przerywałam.

– Prawdziwy święty z ciebie – stwierdziłam, gdy skończył. Był z niego słodki chłopak; za dzieciństwa Nickie często zachodził do nas i grał za domem w piłkę z nią i z Marią.

– Nie, nie... Jestem tylko zdetronizowanym królem kukurydzy. Odkupiła ode mnie farmę. Znaczący ją jej odsprzedałam, a ona zabiła na tym interes, pozbywając się starej i kupując nową. – Pokazał na ciągnące się za namiotem w nieskończoność pole z karłowatą kukurydzą, stojącą po kolanka w błocie; czerwiec nie był dostatecznie ciepły, żeby osuszyć kałuże. Czarno widziałam plony pomidorów i marihuany tego roku. – Zeszłej nocy śniło mi się, że występowałam w *West Side Story* i zapomniałem refrenu jednej z piosenek: „Lubię być w Ameryce...” i tak dalej. Nie trzeba Freuda, żeby to zinterpretować.

– Uhm – przyznałam mu niechętnie rację.

– Jezu, co on wyprawia? – zapytał, po czym szybko spuścił wzrok i odwrócił głowę.

Ojciec Iana nadal krążył na obrzeżach posiadłości, teraz już lekko chwiejnym krokiem, i ani na moment nie odrywał spojrzenia od panny młodej.

– Starsze pokolenie – powiedziałam, kręcąc głową, jakbym sama do niego nie należała – nie potrafi znieść zmian. Postrzega życie jako pasmo kumulujących się strat. W pewnym momencie zaczyna to człowieka przerastać.

– Jezu – bąknął Ian, podnosząc znowu wzrok i wbijając go w ojca. – Czemu po prostu jej nie przeboleje...

Upiłam łyk wina, nie wypuszczając z ręki jego lemoniady. Kawałek dalej, przy jabłoni, pomykały trzy wiewiórki. Wiewiórczy trójkącik wyglądał złowieszczo, jak omen jakiejś plagi.

– Jakie jeszcze piosenki chowasz w zanadrzu? – zapytałam. Nickie stała z boku, rozmawiając z Johannesem Hankiem.

– Muszę coś zostawić na właściwą ceremonię.

– A będzie w ogóle jakaś?

– Chyba tak. No, może trochę niewłaściwa. Zamierzają oboje coś wyrecytować.

– Aha.

– Przejdą od namiotu w stronę domu, powiedzą, co mają do powiedzenia, i będzie można już jeść.

Każdy przyniósł coś ze sobą i wystawił specjały na długim stole pomiędzy domem a stodołą. Ja dołożyłam swoje dwa kurczaki, omyłkowo usmażone przy włączonej funkcji czyszczenia piekarnika, podczas słuchania w kuchni na iPodzie piosenek Michaela Jacksona. Uznałam, że prezentują się należycie: może trochę odłaziły od kości, ale ogólnie wyglądały nieźle, aczkolwiek raczej nie tak świetnie jak na samym początku, kiedy były ekologiczne, chłodzone powietrzem i warte fortunę. Robiąc przedwczoraj zakupy w sklepiku ze zdrową żywnością, aż jęknęłam, zobaczywszy przy kasie rachunek, na co kasjerka rzuciła:

– Tak. U nas trzeba umieć kupować.

– Trzydzieści trzy dolary trzydzieści trzy centy. Może to na szczęście.

– Taaa. Będzie z tego tyle szczęścia, ile spotkało te dwie kury – odparła kasjerka.

– Będzie ksiądz czy ktoś? Ślub odbędzie się zgodnie z prawem? – zapytałam teraz Iana.

Z uśmiechem wzruszył ramionami.

– Mają powiedziec sakramentalne „tak” dwa razy. Podwójne ubezpieczenie.

Postawiłam jego lemoniadę na najbliższym stoliku i klepnęłam go lekko w ramię. Równocześnie spojrzeliśmy na Hanka, który założył krawat zrobiony z małych żółtych koralików uformowanych w kształt kolby kukurydzy. Było to zarazem genialne i tandetne – jak większość rzeczy wymyślonych przez człowieka.

– Dużo tych „tak” – skomentowałam.

– Wiem. Ale mimo to nie zamierzam dowcipkować.

– Dowcipkować?

– Nie wspomnę o tic-tacach ani ptakach...

– Czemu miałbyś wspominać? Przecież nie jesteś drużbą.

Ian wbił wzrok w ziemię i nieznacznie wykrzywił usta.

– O, rany. Zrobili cię swoim drużbą? – Wytrzeszczyłam na niego oczy. Za młodu godzinami ćwiczyłam odwrotne ptasie mrugnięcie.

– Nawet nie pytaj – poprosił.

– Nie przejmuj się. – Objęłam go ramieniem. – George Harrison miał to samo. I nikt tego nie rozrząsał. Przynajmniej zbyt często.

Szybkim krokiem podeszła do nas Nickie.

– Mamo. Twoje kurczaki wyglądają obrzydliwie. Jakby wpadły pod ciężarówkę.

Zaczęły się przygotowania do ceremonii ślubnej, w których nie uczestniczył tylko Ian, mający zapewnić oprawę muzyczną. Goście chcieli zdążyć przed burzą, zanim nadciągną z zachodu chmury i wszystko zepsują. Pierwsze ruszyły druhny, pokonując krótki odcinek pomiędzy namiotem a krzewami róż, gdzie miały paść słowa przysięgi. Ian zagrał *Treulich geführt*. Były ubrane na pastelowo: jedna w odcieniu niedojrzałej moreli dziecięcej aspiryny, druga – seledynu klonazepamu najmniejszej mocy, trzecia zaś bladej żółci trochę silniejszej dawki tego ostatniego. Świetny pomysł, żeby nadać weselu wygląd apteki. Czemu o tym nie pomyślałam? Czemu nie pomyślałam o tym wcześniej?

– Kochany Hanku, czy bierzesz sobie tę oto...

Rzeczywiście, Hank odparł „tak, tak”, po czym zamienili się rolami i Maria też powiedziała „tak, tak”. Na koniec Maria zdjęła okulary przeciwsłoneczne. Powstrzymałam się, żeby nie westchnąć: „Ech, młodzi...”. Czas spowolnił swój bieg, potem stanął, a wreszcie przestał istnieć – któż mógł w takim razie wiedzieć, ile go upłynęło?

Od strony drogi dobiegł odgłos mechanicznego grzmotu. Co dziwne, nie była to burza. Zza zakrętu wyłoniła się grupa motocyklistów, którzy – zamiast minąć nas z rykiem – zwolnili, a następnie przejechali bramę; był ich tuzin, wszyscy na harleyach. Nie znałam się na motorach, ale wiedziałam, że każdy motocyklista od Platteville do Manitowoc ma harleya. Należało to do miejscowej tradycji. Przybysze wyłączyli silniki. Nie mieli kasków – wszyscy nosili na głowie bandany, nie licząc prowadzycy, który założył futbolowy kask ochronny z doczepionymi pluszowymi psimi uszami, odciętymi od dziecięcej zabawki i przylepionymi po obu stronach. Właśnie on, prowadzycy, wyciągnął pistolet i oddał trzy strzały w powietrze.

Kilkoro gości krzyknęło. Ja nie byłam w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku.

Motocyklista w kasku z psimi uszami zaczął wrzeszczeć.

– Mam pozwolenie na broń, a zresztą to były ślepe naboje i w ogóle to strzelałem

w obronie własnej, gdyż naszej grupie przysługuje serwitut rozciągający się aż po ten podjazd. Co jeszcze? Byliśmy molestowani jako dzieci i jako dorośli i poza tym nażarliśmy się biszkoptów z kremowym nadzieniem. Co jeszcze? Generalnie jesteśmy bardzo spokojnymi ludźmi. Wiemy jednak, że życie potrafi przynieść wstrząsy, gdy zmienia się zwrotnicę. W czym mieści się zarówno sejsmologiczna, jak i kolejowa metafora. I właśnie dlatego, kiedy życie mknie niegrzecznie przed siebie, trzeba mu ustąpić. Rozumiemy to doskonale. Okazja taka jak ta oznacza koniec skrzyżowań na drodze. Wszystkie błędy zostały już popełnione, z czego wynika, że nie sposób zrobić nowego. Przynajmniej dużego. To już za wami. Najpierw będę mówił do panny młodej. – Rozejrzył się, ale nikt się nawet nie poruszył. Odchrząknął więc. – Błędy człowieka mają zdolność wyskakiwania zniecka i tężenia w uroczę ogrodowe rzeźby, niemogące go więcej zranić. To tak jak z cmentarzem. I podobnie jak na cmentarzu w grę wchodzi wolność będąca przeciwieństwem prawdziwej swobody. – Powiódł skonfundowanym wzrokiem ku Marii. – Wszystko sprowadza się do rozedrganej kwantowej strefy... – Poprawił się niespokojnie na siodełku, jakby to ostatnie wyrażenie go wydrenowało. – Jak już wspominałem, będę mówił do panny młodej. Czy mam może przyjemność...?

Maria krzyknęła coś do niego po portugalsku. Druhny się do niej przyłączyły.

– Co mówią? – zapytałam szeptem córkę.

– Nie znam portugalskiego – odparła Nickie. – Przez całe moje dzieciństwo Maria chwaliła mnie za wszystko słowami „dobra robota”, tak więc teraz uważam ten zwrot za portugalski.

– Tak – mruknęłam. – Ja też.

– Dobra robota! – Moja córka zwróciła się do motocyklisty tonem zaczepki. – Świetnie się spisaleś, dupku, psując całe wesele!

– Nickie, zostaw to dorosłym – szepnęłam.

Jednakże wszyscy stali bez ruchu jak sparaliżowani – z wyjątkiem Iana, który (pozornie aż na horyzoncie) odłożył gitarę na ziemię, podniósł się bardzo powoli z białego składanego krzeselka i złapawszy je obiema rękoma, uniósł nad głowę.

– To ty nie jesteś Caitlin? – Uszaty motocyklista dalej mówił do Marii, która dalej go przeklinała, wymachując gałązkami mięty i tawuły.

– *Và embora, babaca!* – Pokazała mu środkowy palec, po czym powtórzyła ten sam gest, kiedy Hank usiłował ją uspokoić. – *Foda-se!*

Motocyklista rozejrzył się ponownie, tym razem z taką miną, jakby brał pod uwagę fakt, że pomylił wiejskie wesele. Wyciągnął telefon komórkowy, zdjął kask, wdusił przycisk szybkiego wybierania i odwrócił się, zanim rozmówca się zgłosił.

– Yo! Tu Joe. Chyba dałeś mi zły adres... Taaa... Nie, wciąż nie rozumiesz. Caitlin tu nie ma... Co? Nie, to ty mnie posłuchaj! Próbuję ci powiedzieć, że adresat nieznanym. To nie tutaj. Tu nie mówić po angie... – Zatrzasnął klapkę. Nałożył kask z powrotem.

Tymczasem zbliżał się do niego leniwym kłusem Ian z krzeselkiem nad głową, wydając z siebie przenikliwy krzyk bohatera na weselu byłej żony.

– Wybaczcie, ludziska – rzucił motocyklista. Ianowi posłał tylko niedowierzające spojrzenie. Strzygnął w jego stronę pluszowym uchem i poprawił się na siodełku harleya. – Pomyliłem adresy!

I cały jego gang, zbytnio upalony, aby komukolwiek zagrażać, uruchomił motory, po czym odjechał z rykiem silników, wznosząc tumany kurzu na żwirowym podjeździe. Odetchnęłam z ulgą na ten widok. Ian gonił ich drogą, wyjąc i nie opuszczając uniesionego nad głowę krzeselka, mimo że dawno został daleko w tyle.

– Może powinniśmy go powstrzymać? – zasugerowała Nickie. Ktoś obok nas dzwonił już po policję.

– Niech to z siebie wyrzuci – odparłam.

– Pewnie – zgodziła się i ruszyła prosto do Marii. – Dobra robota! – usłyszałam jeszcze, jak mówi do dawnej opiekunki. – Dobra robota z tym ślubem! – Po czym uwiesiła się na niej i zgarbiona, zasmarkana zaczęła szlochać na jej ramieniu.

Ciężko mi było na to patrzeć. Czułam się tak, jakby ktoś wyrzył mi w sercu grubą, zygzakowatą czarną linię.

– Dziękuję za przyśncie, Nickie. Obydwie jeździecie wielgie.

Ian nie wrócił i nikt go nie szukał. Było pewne, że zdąży przed deszczem. Didżej puścił z głośników jakąś muzykę. Znowu ten Michael Jackson. Codziennie było kogo opłakiwać i co świętować. Codziennie były nowe smutki i stare radości: cywilizacja poznała tę prawdę dawno temu i nieustannie nam o niej przypominała. Czy to chciał powiedzieć motocyklista? Przeniosłam się bliżej bufetu.

– Na głód najlepsze jest jedzenie – odezwałam się do całkowicie mi obcej osoby.

Ukroiłam sobie plasterek szynki. Włożyłam do ust nadziewane jajko, ale powściągnęłam chęć umieszczenia go między dziąsłami a zębami i zrobienia koszmarnego grymasu, jak za dziecięcych lat. Przeżułam, połknęłam i sięgnęłam po następne. Jeszcze trochę i zacznę przypominać nazartego węża, który połknął szczura. Znaczą Bena. Węże ponoć konsumowały poledwicę wyłącznie wtedy, gdy położyło się przed nią głowę małego gryzonia. Płynęła z tego jakaś nauka, ale jaka – miałam zrozumieć po wypiciu jeszcze odrobiny wina.

– Och, spójrzcie tylko na te biedne kury – rzekłam dwuznacznie z pełnymi ustami.

Krążyła plotka, że tort wciąż jest w lukrowaniu i że trochę to jeszcze potrwa. Kilka par zaczęło tańczyć, aby zdążyć, zanim rozedrą się ciemne chmury, wszystko psując. Obok stołu z jedzeniem był mniejszy, z wystawką różnorodnych środków odstraszających owady, przypominający toaletkę w wytwornych łazienkach publicznych dla pań. Goście psikali się i smarowali nieco za blisko potraw, a różne wonie mieszały się w powietrzu z zapachem zbliżającego się deszczu.

Motocyklista miał rację: należało unieść ociężałe stopy, na oślep zrobić parę

kroków wstecz, zaryzykować utratę równowagi, zaryzykować upadek w bezdenną otchłań, byle zrobić życiu miejsce. Czy o to właśnie mu chodziło? Kto to mógł wiedzieć. Goście podrygiwali do wtóru Michaelowego *Shake Your Body*. Moim marzeniem było to, aby zagrano ten kawałek na moim pogrzebie. Myślałam też o *Takin' It to the Streets* Doobie Brothers i *Have Yourself a Merry Little Christmas* – ot, żeby zrobić sobie z ludzi jaja.

Odłożyłam papierowy talerzyk i styropianowy kubek. Odszukałam spojrzeniem ojca Iana, który znowu popadł w minorowy nastrój.

– Zatańcz raz z kimś w swoim wieku! – zawołałam do niego i ponieważ nie odkrzyknął: „Nie ma mowy!”, ruszyłam w jego stronę przez trawnik.

Z bliska dostrzegłam, że od czasów, gdy przyjeżdżał do nas po Marię swym srebrnym sportowym wozem kawalera z odzysku, zrobił sobie lifting: usunął cienie i opuchliznę pod oczyma – wolał wyglądać na zaskoczonego przygłupa niż na pięćdziesiąt sześć lat. Złapałam go za obie ręce i okręciłam w kółko.

– Hola – powiedział niemal z uśmiechem i oswobodziwszy jedną dłoń, zatrzepotał nią teatralnie. W języku migowym oznaczało to aplauz.

Nie chcąc tracić tchu potrzebnego mi do tańca, stłumiłam śmiech. Wyszczrzyłam się tylko i – ha – na moment wyszło słońce, rozświetlając ścianę czerwonej, wirującej stodoły.

PODZIĘKOWANIA

Za wspaniałomyślną lekturę i wnikliwe uwagi podziękowania niechaj przyjmą: Julian Barnes, Charles Baxter, Melanie Jackson, Mona Simpson, Lorin Stein i Victoria Wilson.

PRZYPISY

- [1] Nawiązanie do piosenki Fran Landesman *Spring Can Really Hang You Up the Most*, stanowiącej aluzję do *Jałowej ziemi* T.S. Eliota [wszystkie przypisy pochodzą od redakcji].
- [2] „Oto nie zdrzemnie się/ ani nie zaśnie/ Ten, który czuwa nad Izraelem”, Ps 121:4, Biblia Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań-Warszawa 1971.
- [3] Edna St. Vincent Millay, *Epitafium*, [w:] Mary Higgins Clark, *Śmierć wśród róż*, tłum. Hanna Baltyn, Prószyński i S-ka, Warszawa 1997.
- [4] Henry James, *Skrzydła gołębiczy*, tłum. Ludwik Stawowy, Anna Kłosiewicz, Prószyński Media, Warszawa 2011.
- [5] Borders – duża amerykańska sieć księgarni, która w 2011 roku ogłosiła bankructwo. Ang. *border* – granica, *bore* – nudziarz.